www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 29 (1019)
15-21.07.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

WYŚCIG PO LEKI DO APTEKI

POLAK KOCHA RYZYKO

JAN LECHOŃ – NIESAMOWICIE WRAŻLIWY PLOTKARZ

CO WARSZAWKA WIE O MAZURACH

Współczesny kapitalizm to kapitalizm spekulantów

KIEDY ŚWIAT SIĘ ZAWALI?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 29 >
9 771509 311904

Od Jałty do Października '56

Państwo, którego nie da się wymazać z historii. Nowe teksty znanych autorów.

42 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
Książkę można też zamówić na **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość dostawy kurierem InPost – 14,90 zł.

Kolejny tom już wkrótce w sprzedaży!

Wydajemy serię książek o Polsce Ludowej. Pokażemy jej obiektywny i wyważony obraz. Jesteśmy to winni młodym Polakom, którym zamiast prawdy serwuje się kłamstwa.
Zainteresowanych tą serią prosimy o wsparcie.
Każda wpłata ma znaczenie.

eprasa.pl 9d8a1fa481

CYTATY

NANCY PELOSI,
przewodnicząca Izby Reprezentantów USA
Nie chcę impeachmentu, chcę zobaczyć Trumpa w więzieniu.
„Forum"

ALEKSANDER SMOLAR,
prezes Fundacji Batorego
Gdyby do Ursuli von der Leyen przykładać miary polskiej prawicy, to jest wręcz lewaczką.
„Polska The Times"

JERZY MAKSYMIUK,
dyrygent
Nienawidzę amatorszczyzny, ubolewam, że sprzyja jej internet. Zaśmiecamy własne głowy.
„Charaktery"

KATARZYNA GROCHOLA,
pisarka
Mamy społeczeństwo chore na obojętność, brak empatii. Na nienawiść.
„Viva!"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Polska Rzeczywiście Ludowa

Za kilka dni będziemy obchodzili 75-lecie Polski, która przeszła do historii jako Polska Rzeczpospolita Ludowa. Państwo, które dla kilku pokoleń Polaków było prawdziwą ojczyzną, z wszystkimi jej zaletami i wadami. A dla polityków o lotności furmanki stało się jakąś czarną dziurą. Można by machnąć ręką na ignorantów, dla których szkoła od zawsze była wrogiem, więc międlą te swoje kilkaset słów bez większego ładu i składu. Ale co zrobić z cynikami, którzy porobili kariery, opowiadając takie brednie jak były premier Bielecki, który ogłosił, że okres PRL to czas większych zniszczeń niż okupacja niemiecka? I z tymi, którzy opowiadali o ruinach po PRL, a później sprzedawali te rzekome ruiny? Pieniędzmi z ich wyprzedaży kolejne rządy ratowały budżet państwa. Hańbą dla nich jest to, że gdy po PRL zostało 1650 zakładów przemysłowych, nowe władze 650 doprowadziły do upadku.

Polityka bredzisławów oparta jest na starej zasadzie: kłam, kłam, a coś z tego zostanie i zastąpi prawdę. Ogłupianie młodszych pokoleń, bombardowanych czarnymi kalkami, prowadzi do podważania uczciwych życiorysów i osiągnięć ich babć i dziadków. Przez lata udawało się to także z powodu tchórzostwa polityków wybieranych do parlamentu dzięki głosom wyborców lewicowych. Na szczęście zaczęło się to choć trochę zmieniać. Przybywa ludzi, którzy nie dają sobie pluć na życiorysy. Wypełnione ciężką pracą i wielkimi osiągnięciami. Jedyna droga to czynne przeciwstawianie się kłamcom, oportunistom i karierowiczom.

Najśmielszy projekt społeczny w historii Polski wart jest solidnej dokumentacji, bo wtedy łatwiej bronić prawdy. Fakty są silną stroną PRL. Nie trzeba jej idealizować. Warto jednak przypominać jej oczywiste osiągnięcia. Bezcenne dla Polski przesunięcie granic na zachód. Bezprecedensowy awans społeczny i cywilizacyjny milionów ludzi. Demokratyzacja oświaty, do której dostęp uzyskali także najbiedniejsi i liczni analfabeci odziedziczeni po Polsce przedwojennej. Ubezpieczenia społeczne, urlopy, powszechny dostęp do wypoczynku. Możliwość uczestnictwa w kulturze. Wysoki poziom uczelni. To nie spadło z nieba. Stało się tak, bo miliony ludzi zakasały rękawy. W naszej nowej serii wydawniczej Polska Rzeczywiście Ludowa piszemy o ich historii. O historii ich ojczyzny.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 9d8a1fa481

W NUMERZE

ZAGRANICA

8 Kiedy świat się zawali?
– rozmowa z prof. Ladislauem Dowborem

26 Tu nie będzie żadnej rewolucji
Czesi protestują, Babiš trwa

30 Łowcy plastiku
Jak oczyścić Morze Śródziemne

KRAJ

12 Wyścig do apteki
Lista brakujących leków nigdy nie była tak długa

20 Legenda ginącego ludu
– rozmowa z Waldemarem Mierzwą

24 Mieszkanie dwa razy sprzedane
Uwaga na umowy z deweloperami

52 Wisła to mój Jukon
– rozmowa z Leszkiem Naziemcem

OBSERWACJE

15 Nie potrafią żyć bez ryzyka
Polacy i sporty ekstremalne

34 Przesuń w prawo, jeśli wierzysz
Religijne aplikacje randkowe

56 Etniczni celebryci
Szerpowie – najbardziej znany lud Himalajów

MEDIA

38 Niewidzialna ręka to właśnie wy
Tak się kiedyś pomagało

KULTURA

42 Od złego bohatera do obrońcy Amazonii
– rozmowa z Vincentem Casselem

46 Qulturalia

48 Niesamowicie wrażliwy plotkarz
Jan Lechoń był postrachem towarzystwa

66 Farba znaczy krew
Malarstwo współczesnych artystek

ZDROWIE

60 Nie wiedzą, że mają HIV
Przybywa zakażonych kobiet

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Polska Rzeczywiście Ludowa

29 Jan Widacki
Kto ty jesteś? Polak mały

33 Roman Kurkiewicz
Drzewa, pasy, pustosłowia

37 Tomasz Jastrun
Druga pocztówka z wakacji

45 Edward Mikołajczyk
Magnetyzm Antosia

51 Agnieszka Wolny-Hamkało
Lisy w pudłach

15
OBSERWACJE

NIE POTRAFIĄ ŻYĆ BEZ RYZYKA
Polacy i sporty ekstremalne

30
ZAGRANICA

ŁOWCY PLASTIKU
Jak oczyścić Morze Śródziemne

42
KULTURA

OD ZŁEGO BOHATERA DO OBROŃCY AMAZONII
– rozmowa z Vincentem Casselem

Projekt okładki: Iza Niezgoda

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 9d8a1fa481

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Prof. Ludwik Stomma:
Propagandowy fałsz o PRL

Prof. Piotr Girdwoyń:
PiS walczy kodeksem

Timothy Snyder
i jego kłamstwa

Milanówek zamiast Mediolanu, czyli **turystyka alternatywna**

Trzeba się różnić

Często się słyszy wezwania (życzenia), aby partie, które utworzyły Koalicję Europejską, wypracowały wspólny projekt strategii rozwojowej dla Polski. To nie jest ani dobra, ani możliwa droga i nic dziwnego, że takie głosy odbijają się od ściany. Zamiast o wspólnych wartościach chciałoby się raczej słyszeć o różnicach w ich pojmowaniu, tak aby każda partia mówiła swobodnie i otwarcie we własnym imieniu. Kosiniaka-Kamysza z Biedroniem się nie sklei. Wspólne jest natomiast dążenie do naprawienia państwa prawa i relacji z Unią Europejską, czyli określenie zasad, w jakich okolicznościach mają się ujawniać różnice właściwe społeczeństwu pluralistycznemu i unijnej wspólnocie. Zaczęło się ich psucie od pierwszego niewykonania postanowień Trybunału Konstytucyjnego, do czego nikt nie był uprawniony.

Andrzej Lam

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański
Arłukowicz na prezydenta

Bodnar na prezydenta

Mój kandydat na prezydenta to Adam Bodnar, bo zna i rozumie prawo. Na strażnika konstytucji nadaje się lepiej niż lekarz. A najchętniej widziałabym na tym stanowisku prof. Monikę Płatek, ale ona nie ma szans w naszym patriarchalnym społeczeństwie.

Teresa Jakubowska

Pisowcy jak pozytywki

TVN zaprasza jako gości pisowców i każe nam słuchać ich opinii, a właściwie tego, co kazał im mówić prezes. Na każdym kroku mijają się z prawdą, są jak nakręcone pozytywki. Ich słowotoku nikt nie może przerwać. Nikt ich nie kontruje. Po co ich zapraszać? Ostatnio mówią o sadzeniu drzew. Aż się prosi przypomnieć wycięcie dużej części Puszczy Białowieskiej, w której drzewa rosły setki lat, a minister drwal szybciutko załatwił wycinkę. Gdzie i na co poszły pieniądze za drewno z wyciętej puszczy? Niedługo będzie powtórka z rozrywki, bo puszczy nic już nie chroni. Chyba tylko ekolodzy.

Jeżeli TVN zaprasza pisowców, niech rozmawiają z nimi ludzie, którzy potrafią przerwać ich monologi i pokazać drugą stronę medalu. Uważam, że na każde kłamstwo PiS opozycja powinna mieć kontrargument i głośno oraz długo go powtarzać.

Elżbieta Więckiewicz-Kwiatkowska

Czy zerowy PIT dla młodych jest dobrym pomysłem?

PiS stara się robić wszystko, byle tylko nie sięgnąć po najprostsze i najskuteczniejsze rozwiązanie, czyli progresję podatkową. Zyski z zerowej stawki będą największe dla tych młodych, którzy osiągają największe dochody, np. asystentów politycznych. Trzeba przy tym pamiętać, że osoby o dochodach nieprzekraczających 13 tys. zł podstawy opodatkowania mają kwotę wolną w wysokości 8 tys. zł, więc ich realny podatek to 900 zł i tyle mogą zyskać w skali roku.

PYTANIE TYGODNIA
Czy zerowy PIT dla młodych jest dobrym pomysłem?

Adam Jaśkow

ZDJĘCIE TYGODNIA

Zmiana klimatu to problem nas wszystkich, ponad jakimikolwiek podziałami – twierdzi 13-letnia Inga Zasowska, która przed Sejmem protestuje pod hasłem Wakacyjny Strajk Klimatyczny.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 9d8a1fa481

Prof. Hanna Gronkiewicz-Waltz została **szefową misji „Neutralne klimatycznie i inteligentne miasta" przy Komisji Europejskiej.**

Teren Roztocza, obejmujący obszar Polski i Ukrainy, **został wpisany na listę rezerwatów biosfery UNESCO.** Dołączył do 701 rezerwatów biosfery w 124 krajach oraz 11 w Polsce.

Rafał Skąpski po raz trzeci został prezesem zarządu spółki Targi Książki, która organizuje Warszawskie i Śląskie Targi Książki oraz Nadmorskie Plenery Czytelnicze w Szczecinie i Gdyni.

Jan Śpiewak nie znieważył Jacka Kotasa i Macieja Domżały. Wyrok warszawskiego sądu, choć nieprawomocny, oznacza, że miał on prawo umieścić ich na mapie ukazującej głównych rozgrywających w warszawskiej reprywatyzacji. Domżała i Kotas weszli w posiadanie kamienicy przy ul. Madalińskiego na Mokotowie.

328,8 tys. zezwoleń na pracę w Polsce wydano cudzoziemcom w 2018 r. O 40% więcej niż w roku 2017.

Po Siemiatyczach, które już w 2017 r. uruchomiły ekologiczne wiaty autobusowe, także **Białystok wprowadza przystanki obsadzone sukulentami i innymi roślinami** odpornymi na warunki atmosferyczne.

Adam Glapiński, prezes NBP, **dostał od Rady Polityki Pieniężnej żółtą kartkę.** Na 10 członków RPP czterech głosowało **przeciwko sprawozdaniu finansowemu NBP za 2018 r.**

87% lokali gastronomicznych w miejscach często odwiedzanych przez Polaków w okresie wakacyjnym **oszukuje na wadze, cenach, podmianie surowców na tańsze i jakości.** Czyli na wszystkim.

Na 247 230 tegorocznych maturzystów co piąty nie zdał egzaminu maturalnego, 12,9% oblało z jednego przedmiotu, a 6,6% z kilku.

Huta Częstochowa ogłosiła upadłość. Ukraiński właściciel wstrzymał produkcję. Pracę może stracić 1235 osób zatrudnionych w hucie i ok. 5 tys. w zakładach współpracujących. Rząd mówiący o okradaniu polskiego przemysłu nie kiwnął nawet palcem.

47% studentek na 94 uczelniach publicznych doświadczyło w trakcie nauki molestowania (raport Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka). Nie badano uczelni prywatnych.

W ciągu pięciu miesięcy tego roku **więcej niż 31 tys. osób straciło prawo jazdy na co najmniej trzy miesiące.** Co drugi za przekroczenie dozwolonej prędkości o ponad 50 km/godz. w terenie zabudowanym.

Ponad 700 tys. osób z powodu nadmiernej otyłości kwalifikuje się do leczenia operacyjnego.

PRZEBŁYSKI

Wojna Jędryska z Morawieckim

Ile może premier Morawiecki? Cierpliwość i wpływy premiera testuje Mariusz Orion Jędrysek, odwołany miesiąc temu wiceminister środowiska, główny geolog kraju. Pogrywa z Morawieckim jawnie i bezczelnie. Mieszka sobie z rodziną w… ministerstwie. I skutecznie torpeduje powołanie nowego wiceministra. Rządzi z tylnego siedzenia. A z dyrekcją Państwowego Instytutu Geologicznego spotyka się w… parku. Na Morawieckiego naciska przez media. Na przykład kuriozalnym tekstem Adama Maksymowicza w „Dzienniku Gazecie Prawnej". Czytamy i widzimy Jędryska. Ekipy Rydzyka i Macierewicza pazurami trzymają się posad w geologii. I co im Morawiecki zrobi?

Nerwowi działacze SDP

Kogo reprezentuje Rada Etyki Mediów? Duże kłopoty z odpowiedzią na to proste pytanie mają: Krzysztof Skowroński, prezes SDP, oraz Jolanta Hajdasz i Witold Gadowski, wiceprezesi tej organizacji. No bo jakże to? Piszą, że rada nie reprezentuje środowiska dziennikarskiego. Czyli że Krystyna Mokrosińska, honorowa przewodnicząca SDP, to nie ich środowisko? A Ryszard Bańkowicz, Helena Kowalik i Krzysztof Bobiński to nie są wybitni dziennikarze? Bojkotowanie takich tuzów nie ma sensu. A na skołatane nerwy proponujemy działaczom SDP positivum.

Gróbarczyk – smakosz globalny

Prawdziwy smakosz rzuci robotę i poleci na wyżerkę nawet na koniec świata. Tak jak Gróbarczyk, bonza z PiS. Formalnie Marek Gróbarczyk dostaje kasę za bycie ministrem gospodarki wodnej i żeglugi śródlądowej. Czyli za coś, co teraz kompletnie dołuje. Czemu więc się dziwić, że minister ucieka z roboty w egzotyczne podróże. Pod byle pretekstem. Na przykład na powitania załogi „Daru Młodzieży". Gróbarczyk witał ją w Tallinnie, Kapsztadzie, Singapurze, Panamie, Londynie. Na bogato. Bo z „degustacją lokalnych polskich produktów".

Globalny myśliciel z prawej flanki

No i wszystko jasne. Globalnego ocieplenia po prostu nie ma. A co jest? „Globalne klimakterium i histeria lewactwa". Autorem tego odkrycia jest Jacek Liziniewicz z powiązanej z Antonim Macierewiczem „Gazety Polskiej", pisma utrzymującego się z licznych reklam spółek skarbu państwa. Dają im, bo muszą! Ale zamiast żywienia ekipy Macierewicza wolą łożyć na popierający Morawieckiego tygodnik „Sieci". Chyba też zarażony przez lewactwo. Bo wierzący w globalne ocieplenie.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 9d8a1fa481

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Którzy politycy najgorzej mówią po polsku?

PROF. JERZY BRALCZYK,
językoznawca, UW

Dobrze, jeśli politycy poprawnie mówią po polsku, ale jeszcze lepiej, gdy ich wypowiedzi mieszczą się w granicach normy przyzwoitości. Niepoprawność jest czasem wynikiem tylko nieuwagi, a nie trwałego niedowładu językowego. Czasem jej się czepiamy, mimo że ważniejsze są te elementy wypowiedzi, które wskazują na agresywność, brak empatii i życzliwości czy arogancję lub są jawnie kłamliwe. Bardzo poruszyło mnie to, że Jarosław Kaczyński zabrał głos „bez żadnego trybu", bo okazał w ten sposób lekceważenie dla pozostałych osób w sali sejmowej. Niezwykle rażąca jest wulgarność czy prowokacje takich posłów jak Dominik Tarczyński, którzy na tym budują popularność. Byłoby dobrze, gdyby władze ich partii nie promowały tych językowych agresorów, a one traktują ich jak frontmenów.

HENRYK MARTENKA,
publicysta „Angory"

Język potoczny dzisiejszej klasy politycznej odzwierciedla jej brak tożsamości, bo środki językowe używane przez wszystkich aktorów sceny publicznej są niemal identyczne. Wszyscy komunikują się płaskim, ubogim językiem, pozbawionym cech indywidualnych. Na poziomie językowym nie sposób odróżnić wypowiedzi wicepremiera Sasina od wypowiedzi byłego ministra Siemoniaka. Kierwińskiego od Kownackiego również. Dzielić je może jedynie ekspresywność. Różnice językowe dzielące wypowiedzi premier Kopacz i posłanki Pawłowicz wyrażają wyłącznie emocje. Tylko dlatego, że politycy mówią językiem zhomogenizowanym, a przez to banalnym, jako eksces odbierane są pojęcia rzadkie czy czerpane ze slangu naukowego. Zwracają one uwagę publiczności i bezwiednie tworzą efekt komizmu, jak popis Waldemara Pawlaka mówiącego o postawie kompradorskiej czy Jarosława Kaczyńskiego oskarżającego sędziów o ojkofobię. Silnie za to odróżniają się językowo wypowiedzi ludzi bez elementarnego wykształcenia i podglebia literackiego, jak Lech Wałęsa czy Tadeusz Rydzyk, odstające od i tak niewyszukanej normy.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Purystów językowych w tej grupie policzyłbym na palcach obu rąk. Na pewno błędnie języka polskiego nie używał Włodzimierz Cimoszewicz, dość poprawnie wypowiadał się Aleksander Kwaśniewski. Mowa więc raczej o ludziach ze „starszej szkoły", choć obecnie pozytywnie wyróżnia się m.in. Michał Kamiński. Niestety, większość polityków łamie Ustawę o języku polskim, a najczęściej działacze PiS. Jeśli więc poprawną polszczyznę uznać za element patriotyzmu, to trudno ich nazwać prawdziwymi Polakami. Niepoprawne posługiwanie się językiem zdarza się, mimo używania bardzo wyszukanych słów, nawet prezesowi Kaczyńskiemu.

EWA GOJAWICZYŃSKA,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Większość. Liderem jest bez wątpienia pan prezes. „Pernamentnie", „wzięłem"; o „Wolsce" szkoda wspominać, chociaż świadczy o nierozumieniu cytowanego tekstu. Jego najbliższy kolega w fopasach (a co!) to Ryszard Czarnecki. Obaj to ofiary zaniedbań rodzicielskich i systemowych. Obaj bredzą jak potłuczeni, w dodatku robią karygodne błędy językowe. A co do ogółu wybrańców narodu, to odmiana liczebników świadczy o nieuprawnionym otrzymaniu świadectwa ukończenia szkoły podstawowej.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 9d8a1fa481

Kiedy świat się zawali?

Świat ma pieniądze, żeby zatrzymać katastrofę, która nadchodzi. Ale nie potrafi ich użyć

Rozmawia
Robert Walenciak

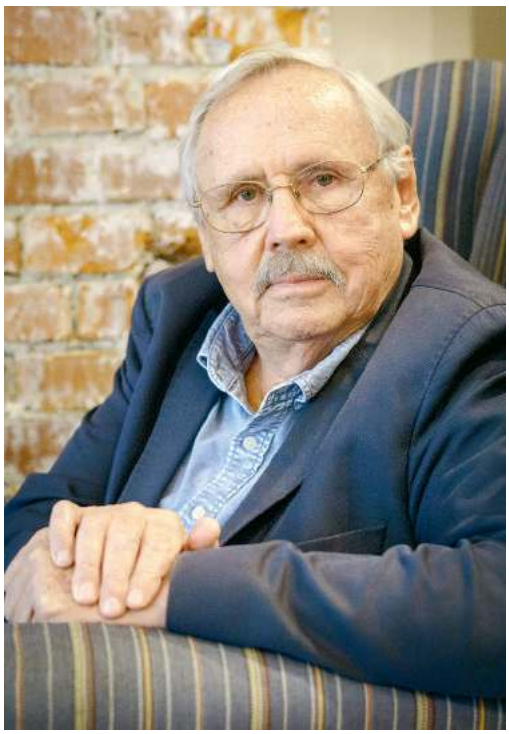

PROF. LADISLAU DOWBOR

Zniszczą nas zmiany klimatu, zanieczyszczenie, rozszarpią nierówności? Świat się zawali? Już niedługo?

– Już się zawala. Spójrzmy na megatrendy. Mamy tu dwie główne osie. Pierwsza to problem środowiska. Generalnie są to zmiany klimatu, globalne ocieplenie, zanieczyszczenie środowiska, zanieczyszczenie wód. Miliardy ludzi są pozbawione dostępu do wody pitnej. Planeta ubożeje. Od lat 70. ubiegłego wieku, w ciągu 40 lat, straciliśmy 52% gatunków zwierząt. Zniknęły. Teraz można jeździć samochodem po drogach i nie ma owadów na szybie. Znikają owady, znikają pszczoły. Wycinane są lasy.

W Brazylii!

– W Brazylii, w Indonezji, w Afryce… W Brazylii w czasach prezydenta Luli zmniejszyliśmy wycinanie lasów z 8 tys. km kw. do 4 tys. km kw. rocznie. A teraz znów wycinają 8 tys. km kw. Jest problem zanikania całej sfery rybołówstwa na świecie. Ziemia zatruwana jest chemikaliami. Na świecie tracimy co roku ok. 70 tys. km kw. żyznej ziemi. To wszystko dzieje się praktycznie niezauważalnie, powoli, niemal tego nie dostrzegamy. *Slow motion catastrophe*. Powolna katastrofa. Dewastacja natury to jej jedna oś, druga – wielkie światowe nierówności. Te nierówności zaczęły się pogłębiać od lat 80. XX w.

Jak?

– Przede wszystkim zmienił się kapitalizm. Spójrzmy na pieniądz! To już nie jest to, co się drukuje, ten papierowy, którego używało moje pokolenie. W kieszeni wszyscy mamy 3% światowych płynności. 97% to są zapisy na kontach.

Te pieniądze źle pracują

Które można elektronicznie przerzucać po całym świecie.

– To zmieniło banki, rozwinęło różne pozabankowe systemy i nowe sposoby zarabiania. Można chociażby zarabiać na wysokich stopach procentowych. Dziś, inwestując w tradycyjną gospodarkę, w przyrost produkcji i usług, osiąga się 2% zysku rocznie. A inwestując w instrumenty finansowe, ma się między 7 a 9%. Nie ma więc sensu wydawać na produkcję! Produkcja – to przecież trzeba zorganizować, wytworzyć, sprzedać, jest przy tym wiele pracy. A produkty finansowe? Ale to wywołuje efekt śnieżnej kuli. Jeśli jestem miliarderem i lokuję ten miliard na 5% rocznie w papiery wartościowe, codziennie dostaję 137 tys. dol. Na drugi dzień mam już miliard plus 137 tys. itd. W efekcie 1% najbogatszych ma tyle samo, ile pozostałe 99%. I zgarnia coraz więcej. W Brazylii sześć osób ma więcej niż biedniejsza połowa kraju.

Brazylia liczy 206 mln mieszkańców…

– Właśnie, sześć osób ma więcej niż 103 mln Brazylijczyków. Dawniej krytykowało się tego kapitalistę, który miał fabrykę. Wołano, że wyzyskuje robotników, organizowano strajki itd. Ale on przynajmniej kupił maszyny i organizował pracę. A ten dzisiejszy kapitalizm nic nie daje, wręcz przeciwnie! Ludzie myślą, że jak kupują akcje, to jest to lokata finansowa, że będą mieli z tego zarobek, a te pieniądze pójdą do firmy na inwestycje. Nic z tego! One z reguły są przerzucane na lokaty finansowe. Bo tam będzie większy zysk. Amerykanie oceniają, że na każde tak inwestowane 10 dol. do normalnej gospodarki wraca 1 dol. Tylko 10% wraca, reszta to spekulacja. Dlatego, mimo że tak fantastycznie rozwija się technologia, gospodarka rozwija się tak powoli.

Bo pieniądze źle pracują?

– Spójrzmy na Europę. Apple nie płaci podatków – albo jakiś symbo-

Ladislau Dowbor – profesor na Papieskim Uniwersytecie Katolickim w São Paulo. Jako ekspert ONZ doradzał w tworzeniu modeli ekonomicznych w krajach Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Opublikował ponad 50 książek i artykułów naukowych na temat ekonomii rozwoju społecznego. W Polsce ukazała się jego praca „Co to za gra?". Członek Concilium Civitas, grupy polskich naukowców pracujących na zagranicznych uczelniach. Pierwsze spotkanie Concilium Civitas odbyło się w Warszawie 9-10 lipca.

eprasa.pl 9d8a1fa481

„Kapitalizm zabija planetę" – pod takim hasłem tysiące ludzi demonstrowały w marcu w Maladze w ramach ruchu „Piątki dla przyszłości" zainicjowanego przez szwedzką uczennicę Gretę Thunberg.

liczny. Amazon nie płaci podatków. A kto płaci? Zwykli ludzie, którzy ciężko pracują. Na nich to się utrzymuje. Jeśli podzielić światowy PKB na 7,6 mld ludzi, okaże się, że byłoby to 3,5 tys. dol. na miesiąc, na rodzinę czteroosobową. Starczyłoby dla każdego na dobre życie. Problem nierówności na świecie, biedy, nie jest ekonomiczny. Leży w naszej nieumiejętności organizacji, zarządzania. I w tym, że wszystkie te pieniądze i wielka część ekonomii kręcą się w sferze światowej. Rządy niby są...

Czas spekulantów

...ale nie mają na ten światowy kapitalizm wpływu.

– Kiedy w Brazylii Dilma Rousseff chciała zmniejszyć stopy procentowe, bo to jest lichwiarstwo, po prostu ją obalili. A stopy procentowe w Brazylii wynoszą dla firm średnio 52%.

Inflacja jest wysoka?

– 3,5%.

To nie można pojechać do Argentyny i tam wziąć kredyt?

– Wielkie koncerny międzynarodowe biorą kredyty za granicą. Ale normalne rodziny, a także średnie i małe przedsiębiorstwa, biorą w swojej dzielnicy, w lokalnym banku. 52%! To dane z kwietnia tego roku. A dla rodziny, dla osób fizycznych kredyt w banku jest oprocentowany na 119%. Coś kupujesz na raty, np. lodówkę, to kredyt jest na 80%.

To się nie opłaca!

– Z kolei klasa średnia i wyższa są zadowolone. Mają nadwyżki, nie są zadłużone, lokują pieniądze na kontach oszczędnościowych, dla nich wyższe stopy procentowe są dobre. Ja za wszystko płacę gotówką i się nie zadłużam. Ale masa ludzi nie ma takiej gotówki, musi kupować na raty.

Czy ludzie nie mogą sobie wzajemnie pomagać? Na zasadzie mikropożyczek, sąsiedzkiej samopomocy kredytowej?

– W Brazylii już mamy 114 wspólnotowych banków rozwoju. To się tworzy. W innych krajach też. To bardzo dobry kierunek, ale spójrzmy na skalę problemów... Na konferencji klimatycznej w Paryżu w roku 2015 zdecydowano: „Znajdziemy 100 mld dol., żeby pomóc inicjatywom dotyczącym ochrony środowiska". Ile pieniędzy jest w rajach podatkowych? Od roku 2008 zaczęto te dane publikować. I okazuje się, że w rajach podatkowych jest między 21 a 32 bln dol. „The Economist" jest ostrożniejszy, pisze, że to przynajmniej 20 bln. W Paryżu, dla ratowania świata, zdecydowano, że zebranych zostanie 100 mld dol. Tymczasem w rajach podatkowych jest 200 razy więcej. A co to są za pieniądze?

W dużym stopniu niejasnego pochodzenia.

– To ucieczka od podatku, korupcja, sprzedaż broni itd. Więc taka sytuacja jest etycznie nie do przyjęcia. Politycznie również. A z punktu widzenia ekonomicznego mamy kompletny bałagan. Bo pieniądze idą nie tam, gdzie iść powinny. Nie na to, czego świat potrzebuje.

A czego świat potrzebuje?

– Ponieważ mamy problem środowiskowy i problem nierówności, te pieniądze powinny iść na zmiany

Mamy dwie katastrofy. Niszczenie planety i potworną sytuację społeczną.

eprasa.pl 9d8a1fa481

technologiczne, żeby zatrzymać katastrofę klimatyczną. I żeby wchłonąć ekonomicznie te 4 mld dziś niepotrzebnych ludzi.

Ale tych pieniędzy nie ma...

– Bo rządy nie potrafią się dogadać i nie potrafią zmusić wielkich firm do współpracy. A one są naprawdę wielkie. W tej chwili międzynarodowy handel żywnością i surowcami jest w rękach 16 firm. Cały handel. Współczesny kapitalizm to już nie kapitalizm producenta, to kapitalizm spekulantów. Ludzie nie rozumieją, dlaczego ropa raptem kosztuje 70 dol. za baryłkę, za chwilę 100 dol., a potem znowu 70 dol. Tłumaczą sobie, że to Chiny więcej kupiły… Skąd! Zawsze jest ok. 98 mln baryłek dziennie. Ale im większe są wahania cen, tym więcej można na tym zarobić. W każdym razie mamy dwie katastrofy. Niszczenie planety oraz potworną sytuację społeczną. A rządy nie mają narzędzi, by sobie z tym poradzić.

1% najbogatszych ma tyle samo co pozostałe 99%. I zgarnia coraz więcej.

Czas chciwości

Ameryka mogłaby narzucić swoją wolę, ma pakiet kontrolny w świecie.

– Ma też w świecie 800 baz wojskowych. Ma przede wszystkim kontrolę nad systemami łączności. Amerykanie pozwalają sobie podsłuchiwać Merkel, podsłuchiwali Dilmę Rousseff w Brazylii… Bardzo bawiła mnie dyskusja, że Rosjanie interweniowali w wyborach amerykańskich. Bo ja nie znam jednych wyborów na świecie, w których Amerykanie by nie interweniowali! Oni mają nie tylko swoje bazy. Niedostatecznie patrzymy na ich sieć przedsiębiorstw. Bo teraz nie trzeba być na miejscu, by zarządzać firmą. Na przykład Nestlé. To firma szwajcarska? A kto ma w niej najwięcej akcji? Amerykanie. Można sobie siedzieć w Nowym Jorku i trzymać setki firm w różnych krajach. Zmienił się też w firmach proces decyzyjny. Niedawno w Brazylii mieliśmy ogromną katastrofę, zginęło kilkadziesiąt osób, pękła tama w kopalni rudy żelaza Córrego do Feijão. Otóż okazuje się, że inżynierowie w tej firmie już dwa lata temu alarmowali, że zapora cieknie. Że mogą być problemy.

Cały międzynarodowy handel żywnością i surowcami jest w rękach 16 firm.

I co im odpowiadano?

– Właścicielem kopalni jest wielki koncern Vale. To spółka akcyjna. Połowę jej akcji ma holding finansowy kontrolowany przez drugi największy bank w Brazylii, który też ma akcjonariuszy. Gdyby to był stary kapitalizm, to byłby właściciel kopalni. On by myślał: „Może być katastrofa, trzeba zainwestować w zabezpieczenia". A tu masz akcjonariuszy, radę nadzorczą, zarząd. I taki prezes zarządu może mówić: „Panie inżynierze, ma pan rację. Ale ja nie mogę dać panu pieniędzy na remont tamy. Bo jeżeli dam, to mnie nie będzie. Odwołają mnie. Z tego powodu, że nie przynoszę zysków". I tak pewnie ich rozmowa wyglądała… A dlaczego dzisiaj w tych firmach mają tak wysokie pensje? Bo ich solidarność musi rosnąć. I ich bonus zależy od tego, ile urośnie.

A to zmusza prezesa zarządu, żeby był bezwzględny wobec pracowników i uległy wobec władzy zwierzchniej. I żeby windował zyski firmy, ile się da.

– Kupiłem w Brazylii opakowanie witaminy C. Kosztowało 14 reali, to ok. 14 zł. Sprawdziłem – koszt produkcji wynosi 3 centy. Oczywiście jest jeszcze puszeczka…

Może warta centa!

– Weźmy koncern BP. W roku 2010 mieliśmy potworną katastrofę w Zatoce Meksykańskiej. Był wybuch na platformie Deepwater Horizon, 100 mln ton ropy wyciekło do morza. BP musiał zablokować 20 mld dol. na odszkodowania i oczyszczenie. Koncern zaproponował akcjonariuszom, że zmniejszy dywidendę, bo musi wygospodarować te pieniądze. A jaka była odpowiedź wielkich akcjonariuszy? *No way*! Więc BP musiał sprzedać różne swoje zasoby, żeby zachować dobry wynik finansowy. Czyli lepiej wyprzedawać firmę, zmniejszać ją, żeby górze dawać pieniądze. Taki jest ten system. Taki jest ten kapitalizm, który na naszych oczach się zmienia. Tworzy się coś zupełnie nowego. Dla mnie to jest jak przejście z epoki rolnej do epoki przemysłowej. Przechodzimy do epoki kapitalizmu cyfrowego. W tym kapitalizmie najważniejszym środkiem produkcji nie są maszyny i surowce. Najważniejsza jest wiedza. A to zmienia wszystko. Bo zasoby fizyczne są określone. A zasoby wiedzy – nie.

Czas gniewu

OK. Jeżeli tak jest, jeżeli kapitalizm się zmienia, możemy przyjąć, że podczas zmiany występują

eprasa.pl 9d8a1fa481

Tegoroczna demonstracja 1-majowa na Wall Street w Nowym Jorku.

turbulencje, a potem jakoś to wszystko się ułoży.

– Kłopot w tym, że technologie, które tworzymy, przekraczają nasze umiejętności społeczne. Wciąż jesteśmy tymi samymi ludźmi, co setki lat temu. Egoistami. Spójrzmy na świat. 7,6 mld ludzi. Wszyscy chcą więcej konsumować – więc wszędzie mamy konflikty. I katastrofa się zbliża. Wszyscy wiedzą, że się zbliża, wiedzą dlaczego i nie robią nic, żeby jej zapobiec. Wiedzą, że Ziemi grozi katastrofa ekologiczna, że nierówności społeczne eksplodują. I też nic…

Dlaczego coraz większe nierówności prowadzą do katastrofy?

– Te nierówności mają skutki. Globalne. Mamy klęskę głodu. Tymczasem samego ziarna produkujemy więcej niż kilo na osobę dziennie. Nie ma więc żadnego powodu, żeby ludzie głodowali. Ale 20-25 tys. dzieci dziennie umiera z głodu. Jak w Tajlandii kilkunastu chłopców ugrzęzło w jaskini, cały świat przejmował się ich losem, Elon Musk mówił, że wyśle specjalną łódź podwodną, która do nich dotrze. Tymczasem nie można uratować 25 tys. dzieci, choć to przecież w skali świata kosztowałoby grosze. Ta obojętność jest etycznie okropna. Ale też jest okropna od strony politycznej. Bo po prostu rozbija cały system demokratyczny.

Współczesny kapitalizm to kapitalizm spekulantów.

Dlaczego rozbija system demokratyczny?

– Bo dzieli ludzi. Trwale. Oni przestają się czuć wspólnotą. Nie ma jak ich połączyć. Jak połączyć w Wenezueli oligarchię, która żyła z ropy i robiła zakupy w Miami, z tą ludnością, która raptem chce mieć coś do jedzenia? A Algierczycy, którzy widzą w telewizji, jak tam, z drugiej strony morza, żyje się w pięknych i bogatych miastach, w Saint-Tropez i innych? Nie ma co się dziwić, że wielu z nich ryzykuje życie, żeby tam się dostać! Oglądałem niedawno we francuskiej telewizji wywiad z Libijczykiem. Mówili mu: „To kryminał wysyłać ludzi pontonami przez morze". A on odpowiadał: „Owszem, to kryminał. Ale dlaczego wy, zamiast wysyłać statki na Morze Śródziemne, nie pomożecie, żeby stworzyć miejsca pracy u nas?". Ten system, który mamy, jest po prostu niefunkcjonalny, politycznie niefunkcjonalny. Nie da się tego utrzymać. Czyli nie da się utrzymać demokracji. Pamiętam, kiedy zaczynałem pracę jako dziennikarz, jeździłem do wschodniej Brazylii. Taka bieda! Ci biedni kłaniali się, zgięci wpół. Dzisiaj już tego nie ma! Biedny ogląda telewizję i wie, że może mieć szpital, gdzie jego żona może rodzić, że może być szkoła dla jego dziecka. Wie, że powinien to mieć. A gdy tego nie ma, ludzie są wściekli, zdesperowani.

I wtedy głosują na populistów i autokratów?

– No tak, mamy Trumpa, brexit, Bolsonara w Brazylii, Erdoğana w Turcji, jest zwariowany Duterte na Filipinach…

Może współczesna demokracja nie potrafi oddzielić ziarna od plew?

– Ludzie czują się bardzo niepewnie. I jest dla nich oczywiste, że to wszystko, co wokół nich się dzieje, jest nie *fair*. Że są oszukiwani, manipulowani. I to wywołuje gniew. Ludzie kierują się w swoich wyborach emocjami – negatywnymi, takimi wychodzącymi wprost z ich trzewi. Spod wątroby. I łapią tego Bolsonara, łapią byle kogo. Ale nie możemy mówić, że głosują idioci albo że to przypadkowe głosy. Są potężne firmy marketingu politycznego, które tym się zajmują. Ci z Cambridge Analytica byli też w Brazylii podczas ostatnich wyborów. Też pracowali. Wykorzystali ten gniew. Ale przecież nic realnie nie zrobili, by był mniejszy.

A on rośnie?

– Tak. Bo niszczymy świat. I nie potrafimy w tym niszczeniu się zatrzymać.

Robert Walenciak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SIPA USA/EAST NEWS, FORUM/REUTERS

eprasa.pl 9d8a1fa481

Ewa Rogowska

Wyścig do apteki

Dzięki ministrowi zdrowia młodzi ludzie poznali, czym są społeczne listy kolejkowe

Iwona wyszła z domu bez śniadania. 11 lipca jak co dzień miała połknąć tabletkę Euthyroxu, bo jest chora na niedoczynność tarczycy, ale dzień wcześniej jej się skończył. A skoro lek trzeba brać na czczo, rano nic nie zjadła. Poprzedniego dnia dostała od lekarza receptę na dwa opakowania. Weszła do apteki i usłyszała, że leku nie ma. I że w hurtowniach też brakuje. Ze zdziwieniem stwierdziła, że również w innych pobliskich białostockich aptekach lek jest niedostępny. Zadzwoniła do Basi, chorej na to samo. – *Hello*, Iwona, w jakim świecie ty żyjesz?! – zbeształa ją Basia. – Nie słyszałaś, że są problemy z Euthyroxem?

Wstyd się przyznać, ale nie słyszała. Stąd ten poranny rajd. W jednej aptece nie ma, w drugiej nie ma… W kolejnej dowiedziała się, że pacjenci stworzyli społeczną listę kolejkową, więc może się dopisać. Ale kiedy lek będzie, jeszcze nie wiadomo. W następnej aptece okazało się, że właśnie dostali dwa takie opakowania, jakich potrzebowała, a listy społecznej tu nie ma. Kupiła. I była tak szczęśliwa, jak dawno jej się nie zdarzyło. Gdy wyszła z apteki, zaczepiła ją reporterka jakiejś stacji telewizyjnej. I ona, która nigdy nie mówi do kamery, odczuła potrzebę, żeby podzielić się z widzami swoim szczęściem. Wtedy pomyślała, że już nigdy nie chce tak się bać o swoje zdrowie.

Nie wolno przerwać

Na początku lipca Naczelna Izba Aptekarska stwierdziła, że brak dostępu do podstawowych produktów leczniczych przybiera dramatyczne rozmiary. Tak właśnie – dramatyczne. W panikę wpadli chorzy na nadciśnienie, astmę, alergie, cukrzycę, POChP, czyli przewlekłą obturacyjną chorobę płuc, i choroby tarczycy, bo braki w hurtowniach i aptekach dotyczyły leków na te schorzenia. Potem do przewlekle chorych dołączyły równie spanikowane osoby, które chciały się zaszczepić przeciw wściekliźnie, odrze, meningokokom, żółtaczce typu A czy HPV. W kraju zagwarantowano jedynie takie ilości szczepionek, które pozwalają wykonać obowiązkowe szczepienia dzieci.

Do tej pory nie zdarzyło się, by lista niedostępnych leków na choroby przewlekłe była tak długa i by w hurtowniach skończyły się nawet zamienniki. Chorzy, by ratować zdrowie, a nawet życie, bo przecież przerwanie przyjmowania leku może grozić śmiercią, musieli robić zakupy w aptekach u zachodnich i południowych sąsiadów. I tylko minister zdrowia zachował zimną krew. 10 lipca w komunikacie ministerstwa stwierdzono, że za część braków na rynku aptecznym odpowiadają mafie lekowe. Winny jest też oczywiście poprzedni rząd, bo nie dość skutecznie z tymi mafiami walczył. A fakt, że obecny rząd kieruje państwem już ponad trzy i pół roku, nie ma znaczenia.

> Do tej pory nie zdarzyło się, by lista niedostępnych leków na choroby przewlekłe była tak długa i by w hurtowniach skończyły się zamienniki.

Aptekarze biją na alarm

Od 1 kwietnia br. funkcjonuje Zintegrowany System Monitorowania Obrotu Produktami Leczniczymi. Dlaczego więc, mając tak nowoczesne narzędzie, rząd nie zorientował się, że przybywa leków, których chorzy nie mogą kupić? A jeśli się zorientował, dlaczego działał nieskutecznie albo nie zrobił nic? Dlaczego to Naczelna Izba Aptekarska musiała pod koniec czerwca wysłać pismo do dyrektora medycznego firmy Merck Sp. z o.o. z prośbą o wyjaśnienie, jak długo będą trwały utrudnienia w dostępie do leku Glucophage, przeznaczonego dla chorych na cukrzycę, o czym informowali farmaceuci? Szczególnie niepokojące było to, że brakowało jego postaci o przedłużonym działaniu. I to Naczelna Rada Aptekarska otrzymała od firmy wyjaśnienie, że faktycznie dostępność postaci o przedłużonym działaniu jest przejściowo ograniczona. Merck poinformował też, że podjął działania, które mają tę sytuację polepszyć, m.in. zdecydował się stopniowo zwiększyć moce produkcyjne w zakładzie w Niemczech. A tymczasem na początku lipca zaplanowana jest dostawa do Polski leku o przedłużonym działaniu.

Zresztą już w połowie czerwca Merck powiadomił, że czasowo niedostępny będzie w polskich aptekach preparat Euthyrox dla osób cierpiących na niedoczynność tarczycy. Obiecywał wówczas, że pod koniec miesiąca do Polski dotrze ponad 843 tys. opakowań leku w różnych dawkach. Zdaniem firmy problem wynikł z faktu, że w Europie wzrosło zapotrzebowanie na ten lek, a moce produkcyjne przedsiębiorstwa były zbyt małe. I tu Merck obiecywał, że zamierza je zwiększyć. Ale oczywiste jest, że to się nie dzieje z dnia na dzień. Zanim jednak to nastąpi, firma będzie monitorować rezerwy w innych krajach, aby sprawdzić, czy można przesłać do Polski tyle opakowań leku, by zapewnić zapas na półtora miesiąca. Dlaczego Ministerstwo Zdrowia nie podjęło w takim momencie interwencji i nie sprowadziło w trybie awaryjnym zamienników? Dlaczego doprowadzono do tego, że tysiące chorych przeżywały dramat, bojąc się, że mogą nie otrzymać leku?

70, 180 albo pół tysiąca

Kiedy w lipcu wyszło na jaw, że rynek leków przeżywa zapaść, na portalach internetowych pojawiły się informacje od chorych, którzy bez skutku poszukiwali niezbędnych

eprasa.pl 9d8a1fa481

specyfików. Na jeden z tych portali zgłoszenia przysłało ponad 300 osób. Powstała lista ponad 70 leków niedostępnych lub takich, których dostępność jest ograniczona. Znalazły się na niej: „Accupro – lek na nadciśnienie, Acenocumarol – lek przeciwzakrzepowy, Andepin – lek przeciwdepresyjny, (…) Berodual – lek zapobiegający stanom spastycznym oskrzeli i rozszerzający oskrzela, Bespres 160 mg, Beto 150 ZK, Cardura XL i Caramlo 8 mg + 5 mg – leki na nadciśnienie, (…) Depakine Chronosphere 250 – lek przeciwpadaczkowy, Divina – lek stosowany w hormonalnej terapii zastępczej, Effox long 50 – lek stosowany do leczenia choroby niedokrwiennej serca oraz niektórych postaci przewlekłej niewydolności krążenia, (…) Euthyrox N 25, 50, 75, 88, 100, 112, 125 – lek na niedoczynność tarczycy, (…) Gabitril Tiagabinum – lek przeciwpadaczkowy, Glucobay, Glucophage XR 500, 750 – leki stosowane w leczeniu cukrzycy, (…) Lokren, Lotensin 5 mg – leki na nadciśnienie, Metformax 500 – lek stosowany w leczeniu cukrzycy, Mirtagen – lek przeciwdepresyjny, (…) Novo-Helisen Depot – lek stosowany w leczeniu schorzeń alergicznych, Palin – lek stosowany przy ostrym zapaleniu dróg moczowych, Paroxinor, Paro-Gen – leki przeciwdepresyjne, (…) Pradaxa – lek przeciwzakrzepowy, Protopic – lek stosowany do leczenia umiarkowanych i ciężkich postaci atopowego zapalenia skóry, Pulmicort – lek stosowany przy astmie oskrzelowej, przeciwalergiczny Purethal, (…) Ventolin – lek stosowany przy astmie, Vetira – lek przeciwpadaczkowy, Zoladex – lek stosowany w leczeniu m.in. raka sutka”.

Naczelna Izba Aptekarska również zrobiła podobne zestawienie, tym razem na podstawie zgłoszeń aptekarzy. Znalazło się w nim 180 leków. Zostało ono wręczone ministrowi zdrowia, żeby miał świadomość, jak poważna jest sprawa. Do tych 180 leków dochodzą 324 z opublikowanej 5 lipca, aktualizowanej co dwa miesiące, listy leków, które są zagrożone brakiem dostępności, bo problemy z dostępem do nich zgłasza co najmniej 5% aptek w danym województwie. Jak tłumaczyło Ministerstwo Zdrowia, by uspokoić potencjalnych kupujących, ta lista zawiera nie leki, których nie ma na rynku, ale te, które mogłyby z rynku zniknąć w wyniku eksportu. Powstaje po to, by zapobiec ich wywozowi za granicę. Na eksport leków z tej listy trzeba mieć zezwolenie Głównego Inspektora Farmaceutycznego.

Minister i dziennikarze

Atmosfera wokół rynku leków stała się tak napięta, że minister zdrowia zdecydował się 11 lipca wystąpić na konferencji prasowej razem z prezes Naczelnej Rady Aptekarskiej Elżbietą Piotrowską-Rutkowską i głównym inspektorem sanitarnym Jarosławem Pinkasem, odpowiedzialnym za rynek szczepionek. Z wypowiedzi ministra wynikało, że dzięki działaniom resortu problem leków zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Najważniejsze jest to, że te substancje, których brakowało, już są na terenie Polski – powiedział minister. – W aptekach jest od ponad 8 tys. do 14 tys. leków, a realnych problemów jest około pięciu, bo problem dotyczy zaledwie kilku

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 9d8a1fa481

substancji. Mówiliśmy m.in. o Euthyroxie. Mamy zapewnienie, że nie tylko ten lek, ale także leki na cukrzycę i choroby płuc już są w Polsce. Jednocześnie jesteśmy w kontakcie z tymi producentami, żeby szybciej nas informowali o swoich problemach i żebyśmy mogli reagować najszybciej, jak się da.

Dziennikarze zarzucili ministrowi, że dostawa Euthyroxu, która podobno właśnie dotarła do Polski, nie zjawiła się dzięki niemu, bo jest to po prostu opóźniona dostawa z początku czerwca, która miała dotrzeć pod koniec czerwca. Czyli nie było żadnej nadzwyczajnej interwencji ministerstwa.

Elżbieta Piotrowska-Rutkowska powiedziała, że z danych przedstawionych przez resort zdrowia wynika, że leki, których brakowało, znajdują się w hurtowniach farmaceutycznych. – Mam nadzieję, że w najbliższym czasie zostaną one sprzedane aptekom – stwierdziła.

Główny inspektor sanitarny natomiast zapewnił, że w pełni realizowany jest program szczepień ochronnych dzieci. Czego zresztą nikt nie podważał, bo zgłaszane braki dotyczyły szczepionek nieobjętych programem obowiązkowych szczepień. Ale też powiedział, że jest pełna dostępność do szczepień zalecanych.

Krytyczny raport NIK

Wiadomo było, że któregoś dnia zapaść na rynku leków musi nastąpić. Pod koniec 2018 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport dotyczący obrotu lekami w Polsce, który obejmował rok 2016 oraz trzy kwartały 2017. W ramach kontroli sprawdzono działalność Ministerstwa Zdrowia, Głównego Inspektoratu Farmaceutycznego oraz sześciu wojewódzkich inspektoratów farmaceutycznych. NIK stwierdziła, że mimo wprowadzonych mechanizmów mało skuteczne było przeciwdziałanie niekontrolowanemu wywozowi leków za granicę. Stwierdzono poza tym, że polski rynek farmaceutyczny odpowiada wartości ok. 1% PKB i był w ostatnich latach największym rynkiem w Europie Środkowej oraz szóstym w Unii Europejskiej. W 2015 r. wynosił on 29,8 mld zł, w 2016 – 31,7 mld zł, w 2017 – 33,3 mld zł, a w 2021 r. ma wynosić 39,6 mld zł. Pokusa, by robić niejasne interesy z lekami, pojawiła się zapewne w 2012 r., kiedy wprowadzono urzędowe ceny leków refundowanych, co sprawiło, że leki te znacznie potaniały. Ich wywóz z Polski stał się bardzo opłacalny. W rezultacie, jak oceniła NIK, wartość produktów leczniczych wywożonych do krajów Unii Europejskiej wynosiła 3,5 mld zł, a według szacunków 57% leków było wywożonych z Polski nielegalnie.

Wszystkie podmioty działające na rynku leków miały według znowelizowanego Prawa farmaceutycznego składać raporty dotyczące zapasów magazynowych i sprzedaży leków. Dane te miały spływać do Zintegrowanego Systemu Monitorowania Obrotu Produktami Leczniczymi. Zaczęto go tworzyć w 2012 r., ale wprowadzano prawie siedem lat. A system ten dałby jasne informacje o tym, co się dzieje na rynku farmaceutycznym.

Jak stwierdziła NIK, Główny Inspektorat Farmaceutyczny nie miał dostatecznie dużo inspektorów, by kontrolować rynek farmaceutyków w takim stopniu, w jakim powinien. Na przykład hurtownie powinny być kontrolowane raz na trzy lata, a rocznie sprawdzano ich jedynie 10-12%. Ta znikoma liczba kontroli uniemożliwiała skuteczny nadzór. Nieskuteczne były również działania GIF dotyczące ujawniania odwróconego łańcucha dystrybucji. Takich przypadków w 2016 r. stwierdzono 16, a w trzech kwartałach 2017 r. – jedynie pięć. Od 2015 r. w sumie wszczęto 39 postępowań administracyjnych w stosunku do właścicieli hurtowni, ale nie cofnięto żadnego zezwolenia na prowadzenie hurtowni farmaceutycznej. Jedynie w czterech przypadkach skierowano zawiadomienie do organów ścigania. Na dodatek mimo stwierdzenia naruszeń Prawa farmaceutycznego GIF nie nakładał kar pieniężnych. Chociaż np. za prowadzenie apteki bez zezwolenia grozi kara do 500 tys. zł.

Trudno powiedzieć, dlaczego tak się działo, ale na pewno takie postępowanie sprzyjało negatywnym zjawiskom na rynku farmaceutycznym. Pierwsza kara za wywóz bez zgody GIF za granicę produktów leczniczych zagrożonych brakiem dostępności została nałożona dopiero we wrześniu 2018 r. Wynosiła ona 47,1 mln zł (!). W 2016 r. GIF wydał 362 decyzje odmowy wywozu leków deficytowych za granicę, a w 2017 r. nie wydał ani jednej.

Wojewódzkie inspektoraty farmaceutyczne często odkrywały, że podmioty prowadzące działalność leczniczą kupowały duże ilości deficytowych leków, miały więc wątpliwości, czy na pewno leki te będą wykorzystywane do udzielania świadczeń zdrowotnych. O takich przypadkach informowały wojewodów, ci jednak niekiedy odmawiali przeprowadzenia kontroli. Można odnieść wrażenie, że komuś zależało na tym, by rynek farmaceutyczny był nieprzejrzysty i by można było przeprowadzać nielegalne transakcje.

Naczelna Izba Aptekarska stwierdziła, że brak dostępu do podstawowych produktów leczniczych przybiera dramatyczne rozmiary.

O tym, że obecny kryzys na rynku leków jest pokłosiem m.in. działalności mafii lekowej, jasno powiedziało Ministerstwo Zdrowia. Warto by w obliczu tego, co się teraz działo na rynku farmaceutycznym, zadbać o bezpieczeństwo polskich pacjentów. Jak? Szczególną opieką trzeba otoczyć produkcję leków w Polsce. Jednym z powodów obecnego kryzysu jest bowiem zamknięcie ze względów ekologicznych części fabryk w Chinach, dostarczających substancji czynnych do produkcji leków w Unii Europejskiej. – My gwarantujemy ciągłość dostaw wysokiej jakości produktów oraz wzrost polskiego PKB, miejsca pracy, poprawę bilansu handlu zagranicznego – twierdzi Krzysztof Kopeć, prezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego. – Warto więc wspierać produkcję leków w kraju, bo to się zwyczajnie opłaca.

A od ministra zdrowia można oczekiwać, że nadrzędną sprawą będzie bezpieczeństwo zdrowotne Polaków.

Ewa Rogowska

eprasa.pl 9d8a1fa481

Nie potrafią żyć bez ryzyka

Spadochroniarstwo, BASE jumping, wspinaczka, speleologia, freediving. Dlaczego szukamy niebezpieczeństw?

Anna Brzeska

Skoki na bungee w Karpaczu.

Słońce, palmy, błękitne baseny... Patrząc na foldery biur podróży, trudno rozpoznać, czy to Turcja, Egipt, a może Tunezja. Mało co już robi na nas wrażenie. Nic więc dziwnego, że niektórzy w ogóle nie biorą pod uwagę tego typu wakacji. I wybierają takie, podczas których w ich żyłach zamiast alkoholu z drinka z palemką popłynie adrenalina.

Dlaczego ryzykujemy? Ile głosów, tyle motywacji. Jak wyjaśnia Beata Mieńkowska, psycholog sportu i terapeutka, prof. Steven Reiss odkrył, że każdy dorosły człowiek ma 16 tzw. motywatorów, silnie związanych z emocjami. Należą do nich: władza, niezależność, ciekawość, uznanie, porządek, gromadzenie, honor, idealizm, kontakty społeczne, rodzina, status, rewanż, piękno, jedzenie, aktywność fizyczna i spokój. Okazuje się, że w zasadzie każdy z nich – mimo że są zupełnie różne – może stać za decyzją o uprawianiu ryzykownych aktywności.

Wysokie góry, czyli niezależność

– Od kilku lat chodzę po Tatrach Wysokich, wspinam się. Skoczyłam dwa razy z samolotu w tandemie – opowiada Agata Sikorska, mama trójki dzieci (18, 16 i 8 lat). – Chcę jeszcze polecieć szybowcem, balonem, paralotnią i zrobić wiele innych rzeczy, póki jestem sprawna i młoda. A robię to dlatego, że już się w życiu poświęciłam. Doszłam do wniosku, że nikt go za mnie nie przeżyje.

Agata chce spróbować jeszcze wielu aktywności. – Pierwsze dziecko urodziłam, mając 19 lat, później kolejną dwójkę. Skoncentrowałam się głównie na nich. Oczywiście zawsze chciałam mieć dzieci, a czas pieluch, zupek i ząbkowania był najlepszym w moim życiu, ale przez to niewiele widziałam, niczego nie przeżyłam. Poza tym od dzieciństwa ciężko pracowałam w sklepie rodziców, nie byłam nad morzem, w górach ani za granicą – wyznaje.

> Im bardziej człowiek się boi przed skokiem, tym większa jest euforia po skoku.

Przełomem był rozwód. – Rozwiodłam się i zaczęłam żyć. Zdobyłam już Rysy i całą Orlą Perć. Chcę wejść na Gerlach, Krywań i Łomnicę. Moim marzeniem jest Mnich – opowiada.

Agata od pięciu lat jest instruktorem fitnessu i trenerem personalnym, uprawia też taniec. Sport ma stałe miejsce w jej życiu, jest spełniona i szczęśliwa, od dawna zatem przygotowana do nowych wyzwań. Zdarzają się jednak osoby, które traktują ryzykowne sporty jako szybkie lekarstwo.

eprasa.pl 9d8a1fa481

– W trudnych sytuacjach życiowych, kiedy sobie nie radzimy, wybór ekstremalnych aktywności jest jednym z gorszych – przestrzega Beata Mieńkowska. – Nie rozwiązujemy w ten sposób naszych problemów, tylko je zagłuszamy. Zdarza się, że chcemy sobie udowodnić, że jesteśmy silni fizycznie. Ale ten, kto zdobywa szczyty, ekstremalnie biega czy nurkuje, może jednocześnie bać się życia i ten lęk próbuje sobie skompensować. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy, którzy uprawiają sporty ekstremalne, boją się życia. Jeśli jednak nie próbuję przyjąć do wiadomości swoich problemów, zrozumieć ich i rozwiązać, lecz kompensuję je jakąś aktywnością, zwykle nie jest to optymalna droga.

Skydiving, czyli zwycięstwo

Agata opowiada o swoim pierwszym skoku: – Dostałam go rok temu na urodziny od znajomych. Pojechałam do Piotrkowa z mieszanymi uczuciami. Gdy poznałam swojego tandeminstruktora, stres opadł szybciej niż ja z 4,2 tys. m. Wszyscy skoczkowie byli bardzo pozytywnymi ludźmi, dawali poczucie bezpieczeństwa. Po szkoleniu podjechaliśmy do samolotu. Trochę byłam zdziwiona. Samolot – kupa żelastwa. Myślałam sobie: jak to się wzniesie w górę? Ale ci ludzie dookoła, uśmiechnięci i na luzie, wpakowali się do tego złomu. W górze huk. Później już nie było czasu na myślenie. Sprawdzenie uprzęży i skok. Było nas z 15 osób. Doszłam do krawędzi, zobaczyłam chmury, poczułam podmuch zimnego wiatru.

Tu odzywa się mój lęk wysokości i pytam Agatę, jakim cudem nie spanikowała. – Chciałam to zrobić. Śniło ci się kiedyś, że spadasz, i podskoczyłaś na łóżku? Takie uczucie strachu pojawiło się podczas wyskoku. A później było mi zimno, powietrze mnie zatykało, miałam trudności z oddychaniem. Leciałam głową w te domki i poletka. Czad! Nagle szarpnęło nas do góry i się zatrzymaliśmy – tak mi się wydawało. Oczywiście spadaliśmy dalej, tylko o wiele wolniej. Zrobiło się ciepło, mogłam oddychać, słyszałam za sobą głos instruktora. Pozwolił mi sterować i zapytał, czy chcę wlecieć w obłok. Wlatywałam więc w puszyste chmury jak w bajce o Muminkach! W końcu wylądowaliśmy na łące.

O wyjaśnienie tego, co się dzieje w naszej głowie w trakcie skoku, pytam psycholożkę. – Nasze ciało początkowo jest napięte – nie możemy przecież być rozluźnieni już w samolocie. Jednak gdy lądujemy lub już wtedy, gdy rozłoży się spadochron, automatycznie doznajemy tego rozluźnienia. I to właśnie sprawia nam przyjemność – tłumaczy Beata Mieńkowska. – Sam wyrzut adrenaliny oczywiście również jest przyjemny. To zwycięstwo. „Wygrałem, jestem dobry, potrafiłem to zrobić".

Freediving, czyli kontrola nad własnym ciałem

Tomasz Smoleński nurkuje ze sprzętem od 16 lat, jest divemasterem PADI, czyli zawodowym instruktorem, i właśnie zaczyna przygodę z freedivingiem – nurkowaniem bez butli. – Odkąd pamiętam, lubię oglądać różne rzeczy pod wodą, fotografować je. Aby móc to robić dłużej, nurkuję od kilkunastu lat ze sprzętem, do głębokości 50 m – mówi.

Co go fascynuje w nurkowaniu na wstrzymanym oddechu? – Dużo w tym sporcie odkrywania własnego ja, medytowania, kontroli nad własnym ciałem – wyjaśnia. – Myślę, że może to być dobre zajęcie dla osób, które nie radzą sobie z emocjami. Tu będą musiały. Na tym polega ekstremalność tego sportu. Bo jednocześnie walczymy i jesteśmy spokojni. Organizm próbuje wziąć wdech mimo naszej woli. Mięśnie międzyżebrowe i przepona mimowolnie zaczynają się kurczyć, więc musimy temu przeciwdziałać, być rozluźnieni. Jeśli bowiem napinamy mięśnie, zużywamy zbyt dużo tlenu. Trzeba więc się dogadać z samym sobą, by mieć kontrolę nad własnym ciałem.

Tomek zapewnia, że freediving, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie musi być niebezpieczny. A taką łatkę w pewnym sensie przykleił mu słynny film Luca Bessona „Wielki błękit" z 1988 r., którego dwaj główni bohaterowie nurkują bez butli bardzo głęboko, niemal na granicy życia i śmierci. – To sport ekstremalny, ale nie nazwałbym nurkowania na bezdechu przesadnie ryzykownym – zapewnia. – Na zawodach freedivingowych był do tej pory jeden zgon na 50 tys. startów. Pływanie w dal (czyli takie, gdzie pozostaje się pod wodą, ale nie nurkuje w głąb – przyp. red.) to w ogóle absolutnie bezpieczna konkurencja, bo jesteśmy ciągle blisko powierzchni. Nawet w razie utraty przytomności ktoś nas wyciągnie. Rekreacyjny freediving nad Morzem Śródziemnym, na rozsądną głębokość, z partnerem i asekuracją, na miarę naszych możliwości, też jest bezpieczny. Organizm ssaków potrafi uruchamiać różne mechanizmy obronne na wypadek ustania oddechu – to m.in. obkurczanie się śledziony i drobnych naczyń krwionośnych w kończynach, spadek tętna czy spowolnienie metabolizmu. Rekordziści świata są w stanie bezpiecznie wstrzymać oddech na ok. 12 minut – mężczyźni i 9 minut – kobiety.

BASE jumping, czyli więcej przyjemności

W dyscyplinie uprawianej przez Marka Skowrona jest trochę na odwrót, przynajmniej jeśli chodzi o jego własne motywacje. Od 10 lat jest instruktorem spadochroniarstwa, ale jego pasją stał się też BASE jumping, czyli skakanie ze stałych obiektów, takich jak klify, mosty czy wysokie budynki. – Ryzyko jest duże ze względu na niewielką wysokość – zwraca uwagę. – Z samolotu skaczemy aż z 4 tys. m. W BASE są to obiekty od 30 m wysokości. Do tego dochodzi bliskość skały czy budynku. Jeśli więc spadochron obróci się o 180 st. i po otwarciu lecimy w kierunku klifu, z którego skakaliśmy – bywa to bardzo niebezpiecznie.

Dlaczego ryzykuje w ten sposób? Marek stwierdza, że ryzyko nie jest powodem skakania, ale jednocześnie przyznaje, że strach czy stres sprawiają, że ten skok dostarcza dużo więcej przyjemności: – Im bardziej człowiek boi się przed skokiem, tym większa euforia po skoku. Samo wymyślenie tego, jak się dostać na jakiś budynek, daje ogromną satysfakcję. Nie chodzi mi o uciekanie przed policją, ale bardziej o samo wymyślenie tej drogi – czasem przez jakiś opuszczony szyb

Ryzyko daje radość i satysfakcję, poczucie wyzwolenia.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Skoki w tandemie – rozsądna dawka adrenaliny.

windy, kanał, czasem po drzewie czy przez jaskinię.

Marek Skowron zapewnia, że nie czuje się uzależniony od adrenaliny: – W zeszłym roku przez siedem miesięcy miałem problemy z kręgosłupem, nie skakałem. Ale nie lubię siedzieć na kanapie. Gdy mam kontuzję, czuję, że mnie nosi, jestem przygnębiony. Może w pewnym sensie uzależniające jest właśnie to, że chcemy się rozwijać? W tym sporcie mówi się, że człowiek się rozwija, jeśli wychodzi poza strefę komfortu. Ryzyko daje radość i satysfakcję, poczucie wyzwolenia.

Pytam Marka, dlaczego nie wystarczyły mu skoki z samolotu. – BASE daje dużą swobodę – wyjaśnia. – W zwykłych skokach dużo zależy od innych ludzi. Musi być samolot, pilot, inne osoby, by ten lot się udał, dostępne lotnisko. W BASE człowiek jest niezależny.

Zaznacza też, że są ludzie, którzy idą jeszcze dalej: – Tak, niektórzy tracą kontakt z rzeczywistością. Każdy ma jednak swoje podejście do życia, więc nie chcę ich oceniać. Ja lubię mieć dom, stałą pracę. Niektórzy zaś mieszkają w vanie – to ich dom.

Z czego wynika to, że niektórzy szukają spokoju i przeżyć estetycznych, a inni adrenaliny, od której szybko się uzależniają. Czy tacy się urodzili? Beata Mieńkowska: – Nie chciałabym mówić, że jest jakiś typ ludzi predysponowanych do uzależnienia. – Myślę, że każdy z nas może się uzależnić. Oczywiście mamy określony temperament, czyli taką część w nas, która jest w mniej więcej 50% uwarunkowana genetycznie. Jednak geny da się kompensować różnymi cechami osobowości, nad którymi zawsze możemy pracować.

Spadochroniarstwo, czyli ucieczka...

Szymon Krawczyk wykonał 126 skoków ze spadochronem, obecnie jest pilotem czterolinkowych latawców. Dlaczego skakał z samolotu? Wcale nie dla ryzyka! – Skok można podzielić na dwa etapy – tłumaczy. – Najpierw jest skupienie, bo musisz wykonać zadanie, którego każdy moment jest zaplanowany. W końcu otwierają się drzwi i już nie masz wyjścia. A raczej masz jedno wyjście. Potem następuje skok – to przełamanie, mentalne i fizyczne. Na początku czujesz miękkość powietrza, a potem zaczynasz w nim dryfować, wykonując wcześniej zaplanowane czynności. Patrząc na wysokościomierz i widząc zaplanowaną wysokość otwarcia, znowu masz pełne skupienie. To kolejny etap – moment kulminacyjny, w którym okazuje się, czy spadochron zadziałał prawidłowo. Kiedy spadochron się otworzy, czujesz miękkość, następuje totalna cisza. I właśnie to jest dla mnie najlepsze! Po prostu cieszę się tym chwilowym uczuciem błogości w locie na czaszy. To wszystko pociąga mnie bardziej niż adrenalina.

Szymon przyznaje, że w skokach jest ona potrzebna, by się skoncentrować – i przetrwać. – Byłem raz w sytuacji, kiedy spadochron otworzył się nieprawidłowo i musiałem podjąć decyzję, czy na nim lądować, czy otworzyć awaryjny – opowiada. – Nie miałem pewności, czy wyląduję poprawnie. Przypomniała mi się wtedy sytuacja doświadczonego skoczka, który złamał kręgosłup, bo nie przystąpił do procedury awaryjnej. Uznałem, że nie będę ryzykował. Wszystko dobrze się skończyło i było to jedno z bardziej niesamowitych doświadczeń. Chodzi o to, by tę procedurę rozpocząć do pewnej wysokości, zwanej wysokością awaryjną. Problem w tym, że trzeba wtedy wypiąć spadochron główny. Ten system ratuje nam życie, gdy zadziałamy podręcznikowo, jednak ludzie giną przez to, że z różnych przyczyn zwlekają. Czasza spadochronu ma wartość materialną, więc jeśli się z niej wypinamy, bo np. źle się otworzyła, możemy ją zgubić. To głupie, ale niestety takie „ekonomiczne" myślenie również doprowadza do wypadków. Niektórzy też uzależniają się od skoków.

Ten, który zdobywa szczyty, ekstremalnie biega czy głęboko nurkuje, może jednocześnie bać się życia.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Potem zaś duże ambicje stają się niewspółmierne do umiejętności. Adrenalina potrafi przesłonić właściwą percepcję.

Skoczek opowiada także, jak jego zdaniem zmienia się środowisko skaczących: – Nadeszła generacja ludzi, którzy uciekają od korporacji, sam jestem tego przykładem. Traktują ten sport jako odskocznię i przez to czasem odstępują od zasad. Coraz mniej osób podchodzi do sportu spadochronowego z należytym respektem, a coraz więcej traktuje go jako sposób wyżycia się. W korporacji funkcjonują w ciasnych ramach, a tu mają taką pseudowolność. Bo to nie jest wolność, w tym sporcie też musimy stosować się do reguł. Tak samo jest w BASE jumpingu. Nigdy go nie uprawiałem, ale obserwuję jego rozwój i widzę, że to wszystko zaczyna się komercjalizować – znane marki wykładają na to kasę. A jeśli w grę wchodzą pieniądze, czujesz się zobligowany, by skoczyć, nawet jeśli nie jest to w danej sytuacji zbyt bezpieczne. Ja byłem już zmęczony obecnością „gladiatorów", mężczyzn, którzy stale chcą udowodnić, że są lepsi.

Beata Mieńkowska przyznaje, że coraz częściej spotyka w gabinecie ludzi w różnym wieku i różnej płci żyjących w ciągłym napięciu. – Wielu mówi: „Mam wrażenie, że całą dobę czuwam, jestem w trybie *stand-by*". Najczęściej są to osoby, które przychodzą z różnymi dolegliwościami psychosomatycznymi, m.in. związanymi z tym, że funkcjonowały w nierównowadze psychofizycznej, czyli w ich życiu zdarzyło się coś niespodziewanego bądź coś takiego działo się przewlekle. I jeśli na to ciało nałożą ekstremalny wysiłek fizyczny, nie pomagają sobie – ostrzega terapeutka. – Mogą się pojawić różnego rodzaju dolegliwości, np. zmęczeniowe złamania kości, bóle, zaburzenia układu wydalniczego. To epidemia naszych czasów.

Psycholożka zaznacza jednak, że wręcz namawia ludzi do aktywności fizycznej, ale gdy przyjdzie właściwy czas, bo po traumatycznych zdarzeniach musi być również czas na żałobę. Nie radzi podejmować od razu wyzwań ekstremalnych. A jeżeli koniecznie muszą one takie być, ważna jest umiejętność kompensowania napięcia. – Ale jest tu jeszcze inna pułapka – dodaje Beata Mieńkowska. – Jeśli adrenalina jest wydzielana zbyt często, to automatycznie – bo o tym decyduje układ współczulny – blokujemy wydzielanie serotoniny. Jeśli podejmujemy taką aktywność kolejny raz i jeszcze kolejny, możemy przestać odczuwać radość z tego, co robimy. Albo ta radość będzie krótkotrwała.

Szymon Krawczyk: – Na jeden z campów przyjechało dwoje ludzi, którzy przyznali się, że zaczęli skakać, dlatego że wcześniej mieli myśli samobójcze. Nie radzili sobie z życiem. W skakaniu zobaczyli szansę, żeby coś zmienić poprzez wyjście ze strefy komfortu. Ale znałem też skoczka, który popełnił samobójstwo, mimo że wcześniej nie zdradzał żadnych objawów depresji. Niektórzy więc balansują na granicy.

Jura Krakowsko-Częstochowska – eldorado dla osób uprawiających wspinaczkę skałkową.

…i porządkowanie życia

Grzegorz „Iwan" Kucharczyk, skoczek spadochronowy i instruktor z niemal 30-letnim stażem, szef Atmosfera Skydiving Club, od lat obserwuje skaczących z kolejnych roczników i długo może mówić o powodach stawania się „narwańcem". – U mnie często skaczą ludzie w wieku 30-50 lat, którzy porządkują swoje życie, są po rozwodach lub w ich trakcie. Oczywiście skoki są niebezpieczne, ale to jest tylko płachtą na młode – i stare – byki. Gdy więc w życiu przychodzi okres porozrzucania misternie poukładanych bierek, taki byk myśli sobie, że może czas zrobić coś niezwykłego – wyjaśnia.

W przypadku Grzegorza praca nad sobą, zanim stał się rozważnym ojcem i mężem, i człowiekiem, który uczy młodych odpowiedzialności, była długa. – Miałem z 10 razy szytą głowę, odgryziony język, wbity w oczodół śrubokręt, kilka razy mało nie zszedłem z tego łez padołu – wylicza. – W podstawówce chodziłem po lodzie na stawie, ale tylko wtedy, gdy był cienki, gruby mnie nie interesował. Chodzenie po gzymsie też nie było normalnym zajęciem i cieszę się, że mój syn jest zupełnie inny.

Instruktor przyznaje jednak, że dużą rolę odgrywa tu nie tyle temperament, ile potrzeba silnych emocji. Którą według niego ma każdy – choć może ją realizować w różnych obszarach. – Ludzie często boją się czegoś, co w istocie nie stanowi zagrożenia, a przechodzą do porządku dziennego nad realnym ryzykiem – stwierdza. – To, jak wyobrażamy sobie daną aktywność, powoduje reakcje naszego organizmu. Nakręcamy się. Prawie każdy potrzebuje emocji. Ktoś zrobi sobie piekło w życiu prywatnym i też

eprasa.pl 9d8a1fa481

ma codziennie adrenalinę. A tu musi być tak, że jest adrenalina i wysiłek – a potem wypoczynek, endorfiny. Bez tego dopełnienia adrenalina spala człowieka, jest toksyczna. Tryb turbo nie może być włączony cały czas.

Beata Mieńkowska wyjaśnia, że ten szkodliwy mechanizm działa już na poziomie różnych procesów w naszym ciele: – Mamy bardzo silną grupę mięśni biodrowo-lędźwiowych, które mocno reagują na różne przeciążenia psychofizyczne. Ta grupa mięśni otacza największą wiązkę nerwów układu współczulnego, znajdującą się mniej więcej na wysokości trzeciego kręgu krzyżowego, czyli w dole brzucha. Nasz układ współczulny nie potrzebuje jednak stale wielkiego napięcia, by dobrze funkcjonować. Potrzebujemy napięcia i rozluźnienia. By zachować równowagę, muszę robić i jedno, i drugie. Dlatego ważne, by to napięcie kompensować poprzez relaksację, regenerację i odpowiednie oddychanie.

Ekspertka radzi więc, by uprawiając sporty wysokiego ryzyka – czy nawet te mniej ryzykowne, ale związane z dużym wysiłkiem – poszukać dobrego fizjoterapeuty lub psychoterapeuty pracującego z ciałem, który „pomoże nam się rozciągać czy prawidłowo oddychać, zadbać o to, by nie zagłuszyć swojego stresu czy traumy, nie przyćmić napięcia".

Podkreśla, że ważne jest zadanie sobie pytania, co się z nami dzieje, gdy nie możemy w danym momencie oddać się aktywności: – Jeżeli np. dziś nie mogę skoczyć, bo muszę się opiekować chorą mamą, i z tego powodu jestem zdenerwowana, to warto się zastanowić, dlaczego tak się czuję. To oczywiście indywidualna sprawa, ilu takich skoków potrzeba, by się uzależnić. Nie twierdzę, że wszystkie osoby, które to robią, są uzależnione. Ale jeśli ta adrenalina wydziela się zbyt często, może to prowadzić nawet do agresji.

Zdaniem Grzegorza „Iwana" Kucharczyka to nie tylko kwestia adrenaliny. Sam jest przykładem, że jeśli przetrwa się narwaną młodość (Grzegorz przyznaje, że kilka razy był blisko granicy), można znaleźć złoty środek. – W tym wszystkim chodzi nie tylko o uzależnienie od adrenaliny, ale również o sztukę przygotowywania się do danej aktywności, która zaczyna pożerać normalne życie. Popatrzmy na himalaistów. Ich hobby przekształca się często w toksyczną pasję. Niszczą wszystko, zanurzeni w świecie przygotowań. A mnie bardzo się podoba moje życie, bycie mężem i ojcem, gotowanie, prace w ogrodzie, naprawianie wszystkiego w domu. Odkąd z Ulą (żona Grzegorza, prowadzi z nim Atmosfera Skydiving Club) mamy Grzesia, inaczej podchodzę do eksperymentów. Inne rzeczy mnie teraz kręcą – praca z ludźmi, tłumaczenie im pewnych pułapek, które sami na siebie zastawiają. Uczę ich, jak wyrabiać w sobie nawyki bezpieczeństwa. Cóż, młody narwaniec powiedziałby, że skapcaniałem – stwierdza.

Speleologia, czyli forma medytacji

Edyta Żyła rekreacyjnie zajmowała się speleologią (alpinizm jaskiniowy) i wspinaczką skałkową. Teraz jest mamą dwulatki, więc poprzestaje na kolarstwie górskim. – Wspinałam się do siódmego miesiąca ciąży. Potem partner umierał ze zmartwienia, więc odpuściłam, ale na rowerze jeździłam do końca – opowiada. – Uprawiam te sporty, bo przyszły mi z wielką łatwością. Coraz wyższe skały, głębsze i trudniejsze jaskinie, większe dystanse i przewyższenia. Kiedyś tego nie zauważałam, ale dziś wiem, że te aktywności są moją formą medytacji. Dawniej liczyło się dla mnie raczej pełne adrenaliny skupienie, bo speleologia i wspinaczka wymagają koncentracji totalnej. Lubię być sam na sam z liną, z jaskinią.

W jaskiniach Edyta znajduje spokój i ciszę. – Spróbuj wyłączyć czołówkę, a mózg spłata ci figla i będziesz widziała i słyszała nieistniejące rzeczy – zachęca. – Gdy jesteś sama w jaskini, poczucie czasu staje się fikcją. To cisza absolutna, taka, która wręcz przeszkadza.

Przyznaje jednak, że wiele może się zdarzyć. – I wiele się działo. Raz byliśmy pierwszym w sezonie zespołem w rumuńskich jaskiniach w okręgu Bihor – opowiada. – Przecieraliśmy szlaki, nikt nie wiedział, w jakim stanie aktualnie jest jaskinia. Jedna z towarzyszek w poszukiwaniu przejścia spadła plecami na kamienie z wysokości prawie 3 m. Skręciła kręgosłup. Nie było szans na wezwanie pomocy, a do tego szła burza, grożąca zalaniem jaskini i ściąganiem piorunów na ścianę jej komina. Mieliśmy do pokonania 100 m w pionie. Dziewczyna ze skręconym kręgosłupem sama wyszła, krzycząc z bólu, a pozostała dwójka asekurowała jej dojście i targała sprzęt. To była jej decyzja. Wiele ją to kosztowało, ale dała radę. Zaprzyjaźniliśmy się potem z ratownikami i pod koniec wyjazdu poszliśmy razem do jeszcze jednej, prostej jaskini. Zależało nam na tym, żeby nasza koleżanka miała od razu kontakt z jaskinią, żeby mogła przełamać traumę. Ratownik, z którym się zaprzyjaźniliśmy, zabrał swoją dziewczynę. I w pewnym momencie jej kolano wygięło się w drugą stronę. On stracił głowę, a my wyciągaliśmy dziewczynę z jaskini i transportowaliśmy do szpitala oddalonego o prawie 100 km.

Dlaczego Edyta robi to wszystko mimo ryzyka? Odpowiada pytaniem na pytanie, czy znam tę reklamę, gdzie „laski piszczą na widok szafy pełnej butów, a faceci za ścianą wrzeszczą na widok lodówki pełnej piwa". – Ja tak mam na widok pięknej góry, ściany czy kanionu. Bez tych wyjazdów tygodnie zamieniają się w jeden ciąg, a weekendy nie mają znaczenia, przelatują przez palce. Nosi mnie jak alkoholika, brakuje mi czegoś, jestem poirytowana. Wystarczająco dużo czasu siedzimy w miastach, w biurach, żeby tracić czas na kiszenie się w domu. Muszę mieć coś, co sprawia, że jak siadam na tyłku, myślę: „O, jak fajnie usiąść, ale było mega!". Jeśli siedzisz pół dnia, posadzenie tyłka na innej sofie nie da ci takiego uczucia.

W trudnych sytuacjach życiowych, kiedy sobie nie radzimy, wybór ekstremalnych aktywności jest jednym z gorszych.

•

Ponieważ mam lęk wysokości, skakać nie zamierzam. Sprawdzam więc ze stoperem, na ile czasu mogę wstrzymać oddech. Za pierwszym razem tylko 50 sekund. Ale wystarczy zadanie jednego pytania Tomkowi Smoleńskiemu i już mam wynik 75 sekund. Zanim jednak zapiszę się na kurs freedivingu, posłucham rad Beaty Mieńkowskiej i zrobię badania lekarskie.

Anna Brzeska

FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI/AGENCJA GAZETA, FOTOLIA, ALBIN MARCINIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 9d8a1fa481

Legenda ginącego ludu

Historia zabrała Mazurom prawie wszystko. Zostawmy im więc mazurskość

Rozmawia Marek Książek

Co „warszawka" wie o Mazurach?

– Wolałbym, abyśmy nie nazywali ludzi z dużych miast „warszawką", bo sam, lublinianin z urodzenia, osiadłem na Mazurach po kilkuletnim pobycie w stolicy. Choć rzeczywiście czasami trudno tu do „warszawki' się przyznawać, bo sam już na początku rozmowy nierzadko słyszę: „Dzwonię do pana ze stolicy…". Lata lecą, a „warszawka" się nie zmienia, jest przekonana o swojej wyższości i konieczności prowadzenia misji cywilizacyjnej w mazurskich wioskach i miasteczkach. Jakoś to wytrzymujemy, bo sezon jest krótki.

Starsi wiedzą o Mazurach niewiele, młodsi prawie nic.

Wyższość jest, a co z wiedzą?

– Starsi wiedzą o Mazurach niewiele, młodsi prawie nic. Oczywiście w obu grupach są wyjątki, ale większość nie tylko nie wie, ale też nie widzi potrzeby posiadania takiej wiedzy. Dla nich Mazury to lasy i jeziora, wszystko, co na północ od Nasielska i Ostrołęki oraz na wschód od Wisły. Najstarsi pamiętają jeszcze Mazurów, najmłodsi o nich nawet nie słyszeli. Książki czytają nieliczni, „Różę" Smarzowskiego obejrzało w kinach trochę ponad 400 tys. osób. To zresztą nie był film pomocny w zrozumieniu Mazur. Coś, co się dobrze ogląda, rzadko jest prawdziwe. Uczciwość nakazuje porzucić bzdurną a powszechną tezę, że Mazurzy czekali na Polskę jak na wyśnioną matkę, a ta okazała się złą macochą. Prawda jest taka, że w 1945 r. ani Mazurzy nie czekali na Polskę, ani Polska nie chciała Mazurów.

Czy wiedział to Gałczyński, który pod koniec życia często bywał w leśniczówce Pranie?

– Mistrz Konstanty gościł w Praniu okresowo w latach 1950-1953. Mazur nie znał, ale i nie czuł potrzeby zapoznania się z ich dziejami. Pisał tu dużo, ale prawie nic o Mazurach. Gdyby Ziemowit Fedecki, który tę leśniczówkę w Puszczy Piskiej Gałczyńskim polecił, był wówczas oczarowany Bieszczadami, mielibyśmy do czynienia z bieszczadzkim mitem poety. Mamy z mazurskim, przyniesionym z Warszawy, tak często powtarzanym, że w końcu większość z nas weń uwierzyła. Mit ten opiera się na wielu fantasmagoriach, ale i jednym fundamentalnym kłamstwie, jakoby poeta wyjechał na Mazury zrozpaczony z powodu zakazu druku, wydanego przez władze w czerwcu 1950 r., a mającego być konsekwencją socrealistycznego ataku Adama Ważyka na poetę podczas V Zjazdu Związku Literatów Polskich, kiedy to Ważyk mówił: „Słuszniej by było, gdyby Gałczyński ukręcił łeb temu rozwydrzonemu kanarkowi, który zagnieździł się w jego wierszach".

Mazurskie „zesłanie" było dobrowolnym wyborem poety?

– Raczej potrzebą. Mistrz dobrze się czuł w głuszy nad Jeziorem Nidzkim. Poprawę zdrowia zawdzięczał przede wszystkim spokojowi lasów, życiu bez gorączkowości, bliskości ludzi, którzy niczego – może poza abstynencją – od niego nie oczekiwali. Sam wolał wędrować w głąb puszczy niż do pobliskiej wsi, o Mazurach zaś chyba niczego nie przeczytał. W prańskiej leśniczówce powstały m.in. „Niobe", „Wit Stwosz", „Kronika olsztyńska" i „Pieśni". Żaden z tych utworów nie jest mazurski, najbliższa geograficznie, dzięki tytułowi, choć sam Olsztyn leży na Warmii, jest oczywiście „Kronika", ale i ta za mazurską może być uznana właściwie jedynie dlatego, że na Mazurach została napisana. Mazurski mit Gałczyńskiego zawdzięczamy Andrzejowi Drawiczowi i córce poety Kirze. Zaczęto go budować późno, prawie 20 lat po śmierci poety. Anegdota głosi, że już w 1957 r. żaden mieszkaniec pobliskich miejscowości nie pamiętał o pobytach poety letnika z Warszawy, a na pytanie o Gałczyńskiego pracownik nadleśnictwa miał odpowiedzieć, że „na liście leśniczych na pewno nie ma takiego nazwiska". Ale im więcej czasu mijało od ostatniego pobytu poety w Praniu, tym bardziej jakby go pamiętano, najlepiej zaś ci, którzy widywali go rzadko lub nie widywali wcale.

A twórcy legendarnego STS-u w latach 50. i 60. w Krzyżach? Mieli więcej pojęcia o tej ziemi?

– Ludzie Studenckiego Klubu Satyryków przynajmniej Mazurami się zainteresowali. Nim sami odkryli Krzyże, pojawił się we wsi Andrzej Strumiłło, absolwent krakowskiej ASP. To jemu przypisuje się powiedzenie, że „senne Krzyże są sposobem na życie". Strumiłło osiedlił się tu w 1953 r. w opuszczonej chałupie, z żoną i dwójką dzieci. Przed wojną tę puszczańską wieś zamieszkiwało prawie 500 Mazurów, osiem lat po wojnie było ich ledwie kilkunastu. Strumiłłowie wyjadą stąd w 1956 r., artysta będzie jednak wracał do Puszczy Piskiej często,

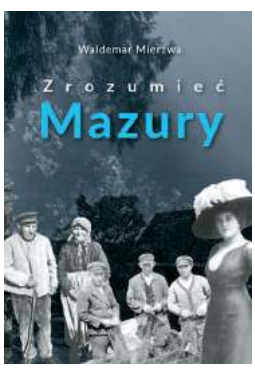

Waldemar Mierzwa – (ur. w 1958 r.) badacz historii i kultury mazurskiej, właściciel Oficyny Wydawniczej Retman, autor wielu książek o regionie, publicysta, mazurski działacz społeczny. Jego ostatnia książka „Zrozumieć Mazury. Rzecz w 50 odsłonach" ukazała się kilka tygodni temu.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Waldemar Mierzwa z zespołem Mazurski Zrének, składającym się w większości z dzieci z mazurskich rodzin.

WALDEMAR MIERZWA

– mazurski autor i wydawca książki „Zrozumieć Mazury"

by pobudować się w Niedźwiedzim Rogu nad brzegiem Śniardw. Dom w Krzyżach przejmie zaś Stanisław Popowski, były leśniczy z Prania, który gościł w swojej leśniczówce rodzinę Gałczyńskich. To nie Strumiłło jednak zbuduje legendę Krzyży. Jej autorstwo można przypisać pewnie kilku osobom, ale pierwszeństwo trzeba oddać Agnieszce Osieckiej, która odkryła Mazury już w połowie lat 50. Najpierw przemówił do jej wyobraźni „Archipelag ludzi odzyskanych" Igora Newerlego, potem, podczas kajakowej ekspedycji z koleżanką ze studiów Hanną Żurek, zauroczyły ją tutejsze jeziora, w końcu zachwyciła się zagubionymi w Puszczy Piskiej wioskami.

Osiecka trafi do Krzyży dzięki kolegom z założonego w 1954 r. STS-u.

– Tak. Po raz pierwszy przyjedzie wiosną 1956 r. z Jarosławem Abramowem-Newerlym, synem Igora, i Andrzejem Jareckim. Zacznie od Zgonu, w Krutyni pozna Karola Małłka, „króla Mazurów", odsuniętego przez komunistyczne władze od mazurskich spraw. Osiecka polubi Krzyże, puszczę i Mazurów, do końca lat 70. będzie tu przyjeżdżać co roku. Mazury uzna za odkrycie swojego pokolenia, w „Szpetnych czterdziestoletnich" napisze, że „wszystkie nasze dawne podróże na Mazury miały charakter rytualny, to były drogi do jasności".

Przez kilkadziesiąt lat Krzyże będą miejscem wakacyjnych pobytów wielu osób związanych z STS-em. Odwiedzać ich tu będą przedstawiciele stołecznej bohemy: pisarze, aktorzy, plastycy, satyrycy, pojawią się też politycy i luminarze kultury. Poza już wymienionymi m.in.: Olga Lipińska, Barbara Wrzesińska, Krystyna Sienkiewicz, Jerzy Markuszewski z żoną Zofią Góralczyk, Andrzej Drawicz, Jerzy Dobrowolski, Ryszard Pracz, Stanisław Tym, Daniel Passent, Andrzej Wajda, Marian Brandys, Wojciech Siemion, Anna Prucnal, Jan T. Stanisławski, Jacek Janczarski, Maryla Rodowicz, Ignacy Gogolewski, Władysław Kowalski i Bohdan Łazuka. Po latach Barbara Wrzesińska napisze, że w Krzyżach „życie toczyło się na gankach, między grą w kości a szklanką wina i ogórkiem kiszonym". Romansowano, politykowano, środowiskowo spiskowano, obficie trunkowano, w miarę możliwości ucztowano, a ktoś nazwie Krzyże letnim oddziałem legendarnego warszawskiego SPATiF-u. Nikomu nie przeszkadzały brak bieżącej wody, wygódka na podwórku ani nawet to, że w jedynym „punkcie sprzedaży pomocniczej", jak zapamiętał kompozytor Adam Sławiński, były tylko „zapleśniałe sporty i zbielała ze starości czekolada", a na dostawę chleba czekano w dwóch kolejkach: „długiej, babskiej, i krótszej, chłopskiej, zgodnie z regułami patriarchatu najpierw obsługiwano mężczyzn".

Dzięki letnikom Krzyże i mieszkańcy wsi zostali uwiecznieni w literaturze.

– Zrobił to m.in. Edward Stachura, który uczył się tu smażyć placki i patroszyć ryby, co opisał w „Jak mi było na Mazurach". Jerzy Putrament przedstawił Krzyże w cyklu opowiadań „Piaski". Sporo pisała sama Osiecka. Mazury są tematem jej wierszy, felietonów, nawet powieści dla dzieci „Dzień dobry, Eugeniuszu", no i oczywiście piosenek. Do dzisiaj trwa spór, komu poświęcona była ta najsłynniejsza, „Na całych jeziorach ty" – leśniczemu Popowskiemu czy Jeremiemu Przyborze. Osiecka przestała przyjeżdżać do Krzyży w latach 80., kiedy zaczęła czuć się tu obco. Rozstała się wierszem „Zabierz mnie stąd" (Zabierz mnie stąd na litość boską, / bo to już nie są te Mazury, / gdzie się jeździło kochać wiosną / i powracało w czas purpury). Mazur nie przestała kochać do końca, choć pisać już o nich nie mogła, bo „serce się kraje. Tylu przyjaciół nie żyje, tylu wyjechało, tylu do cna zmieszczaniało, a ja sama połamałam się".

Jaki stosunek mieli STS-owcy do Mazurów?

W 1945 r. ani Mazurzy nie czekali na Polskę, ani Polska nie chciała Mazurów.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Starzy Mazurzy z Szymonki koło Rynu. Początek XX w.

– Małłka na pewno szanowali, wieloma innymi byli na pewno oczarowani, przede wszystkim ich gwarową staropolszczyzną i surowymi zasadami. Olga Lipińska wspominała ukochaną przez STS-owców Mazurkę Augustę Kwiatkowską jako „ewangeliczkę, mówiącą po niemiecku i mazursku, piszącą szwabią i czytającą Biblię, ale i jako wielką damę, bo mimo że chłopka, odznaczała się naturalną inteligencją i wrażliwością". Obu stronom, reprezentującym dwa tak różne światy, na pewno jednak nie było łatwo. Inna Mazurka, Anna Sewastynowicz, do dzisiaj mieszkająca w Krzyżach, która przez lata zajmowała się działką Olgi Lipińskiej, wspomina w „Księdze Puszczy Piskiej" o nieporozumieniach między przedstawicielami artystycznej kolonii a miejscowymi. Pamięta, że kiedyś warszawiakom przeszkadzało, jak przez wieś ganiano krowy na łąki, bo droga była piaszczysta i im się kurzyło. Potem, gdy miejscowi chcieli robić asfalt, znów im się nie podobało…

Dzisiejsze Krzyże nie przypominają tych z czasów STS-u.

– Wieś już dawno straciła leśno-rolniczy charakter, właściciele wielu domów przyjeżdżają na wypoczynek z różnych części kraju, tak jak w innych miejscach na Mazurach hałas coraz częściej pokonuje tu ciszę. Liczba stałych mieszkańców spadła poniżej stu. Niewielu letników w ogóle kojarzy STS, wiele nazwisk nic już dla nikogo nie znaczy. Gdyby zapytać o STS, wygrałaby pewnie odpowiedź, że to reklamowane w telewizji zakłady bukmacherskie. Rację miał też związany z Mazurami przez swój dom w Kierzku Bohdan Czeszko, który zauważył w „Nostalgiach mazurskich", że „rychło umiera pisarz wraz z tym, co wymyślił i zapisał (…). Ostają się geniusze albo dziwacy".

Ostał się za to historyczno-literacki reportaż Melchiora Wańkowicza „Na tropach Smętka".

– To pierwsza polskojęzyczna tak obszerna relacja z Prus Wschodnich. Celem wyprawy, którą pisarz odbył z córką Martą po wodach i szosach Mazur, Warmii i Powiśla w 1935 r., miało być m.in. zapoznanie się z sytuacją mówiących po polsku Mazurów, nigdy wcześniej niepodlegających bezpośrednio państwu polskiemu. Mistrz Melchior, uważający później tę książkę za pierwszą napisaną ze świadomym zamiarem literackim, odwiedził wówczas z córką Ełk, Mikołajki, Giżycko, Ruciane i inne miejscowości; popłynęli kajakiem Krutynią i statkiem z Pisza do Węgorzewa. Jak zauważył historyk Tadeusz Oracki, przedwojenni polscy czytelnicy przyjmowali „Na tropach…" z takim samym zainteresowaniem, z jakim wcześniej przyjmowano w Europie sensacyjne książki o tępieniu Siuksów i Irokezów.

Czy Wańkowicz często trafiał w podróży na Mazurów?

– Wańkowiczom, 15 lat po przegranym przez Polskę z kretesem plebiscycie z 1920 r. o przynależność państwową części Prus Wschodnich, zdarza się jeszcze dość często słyszeć tu mazurską polszczyznę. Po części jest to także wynikiem obrania trasy pozwalającej na odwiedzenie rodzin mazurskich działaczy plebiscytowych. Dramatyczne to wizyty. Ruch polski nie istnieje. Jego orędownicy, pozostawieni samym sobie, zaszczuci przez hitlerowskie władze, a nawet najbliższych sąsiadów, nie palą się do rozmów.

Rozmowy odmówił najwybitniejszy ówczesny poeta mazurski Michał Kajka.

– Ze strachu. Wańkowicz powie po latach, że dzieliła ich bariera narastającego, zwierzęcego wręcz, strachu poety o siebie i bliskich.

Istotnie ruch polski w Prusach Wschodnich był wtedy taki słaby?

– To są już czasy hitlerowskie. Mazurzy poszli za Hitlerem. Nieprzypadkowo na wiecu w Ełku wódz III Rzeszy stwierdził, że w całych Niemczech nie ma drugiej tak wiernej krainy jak Mazury. Stało się tak przede wszystkim z przyczyn ekonomicznych. Nastąpiła znacząca poprawa sytuacji gospodarczej tej zaniedbywanej przez wieki krainy, a co za tym idzie – warunków życia jej mieszkańców. Proces mazurskiej fascynacji faszyzmem znakomicie uchwycił w powieściach urodzony w Ostródzie, wówczas Osterode Ostpreussen, Hans Hellmut Kirst. Jego bohaterowie, prości ludzie z zapomnianych przez Boga mazurskich wiosek, szybko znajdują swoje miejsce w strukturach narodowej partii.

Gałczyński wolał wędrować w głąb puszczy niż do pobliskiej wsi.

Dla wielu jest ona pierwszą i jedyną szansą zrobienia kariery, będą tacy, którzy dla osiągnięcia tego celu poświęcą nawet swoje człowieczeństwo. Wańkowicz chciałby być optymistą, pisze coś o polskim duchu tej krainy, którego nadal boją się Niemcy, ale cała jego relacja tak naprawdę tej tezie przeczy.

Spotkania z dawnymi działaczami polskimi stały się powodem ataku na pisarza. Zarzucano mu, że naraził ich na represje. Zaatakowano go jeszcze przed wojną.

FOT. MAŁGORZATA MIERZWA, ARCHIWUM

eprasa.pl 9d8a1fa481

– Specjalna komisja uwolniła go wówczas od zarzutów. Atak kontynuował po wojnie historyk i politolog, generał MSW Tadeusz Walichnowski. Skończyło się to rozprawą sądową, uniewinniający pisarza wyrok wydał Sąd Najwyższy już po śmierci pana Melchiora.

Kończąc wstęp do pierwszego powojennego wydania reportażu, Wańkowicz apelował, aby nie przyczynił się on do uogólnień, a czytelnik nie zamykał oczu „na gęsto rozsiane po książce napomknienia o tym, jak znacznie ludność, zwłaszcza na Mazurach, była zniemczona".

– Prosił, by czytelnik zaznajomił się z książką bez przesłanek „dyktowanych przez pobożne chęci". Apelował o realizm, którego Polakom tak często brakowało w ocenie sytuacji w polskojęzycznych częściach Prus Wschodnich. Mazurzy końca lat 30. XX w. są już ludem zniemczonym, za rządów gauleitera Ericha Kocha następują ostatnie akty germanizacji – wielką odgórną akcję zniemczania polskich nazw miejscowych uzupełni, w dużej części oddolna i spontaniczna, zamiana polsko brzmiących nazwisk na te bez podejrzeń niemieckie. Polacy, utożsamiani przez wieki przez protestanckich Mazurów z dybiącymi na ich wolność wyznaniową katolikami, znani im jako biedni robotnicy sezonowi, a podczas wojny przymusowi, i jeszcze do niedawna jako żydowscy dzierżawcy mazurskich jezior z rosyjskiego Królestwa Polskiego, staną się dla hitlerowskiej propagandy na Mazurach znakomitym celem. Mazurzy w tego wroga w większości uwierzą.

Czy była szansa, żeby po wojnie Mazurzy zostali w Polsce?

– Nie, nie tylko dlatego, że problem mazurski nie znajdował zrozumienia u nowej władzy. Polacy, tak jak wcześniej Niemcy, oczekiwali od Mazurów tylko jednego – bezwzględnego podporządkowania się. Mazurzy, na ile mogli, zaczęli kontestować nowe porządki. Swoją drogą wydarzenia z 1945 r. zaskoczyły wszystkich. Mazurzy, podobnie jak inni Wschodnioprusacy, nie dopuszczali do siebie myśli, że ich państwo może po siedmiu wiekach przestać istnieć w kilka miesięcy, a Polacy – że Mazury dostaną się w ich władanie na dłużej. Mazurzy, gdy w to uwierzyli, jeśli sami nie zostali wysiedleni, szukali możliwości wyjazdu, Polacy zaś musieli zacząć się urządzać na wyrabowanej przez ich współziomków ziemi. Nim to nastąpiło, był czas odwetu. Mazurzy, jak wszyscy Niemcy, płacili cenę za III Rzeszę. Powie ktoś, że trzeba było nam, Polakom, umieć tak po chrześcijańsku wybaczyć. Myślę, że ten, kto tak mówi, oczekuje od Polaków zbyt wiele. Jestem przeciwnikiem pedagogiki wstydu. Niech każdy naród bije się w swoje piersi. Zanim zacznie się tego wymagać od nas, wypadałoby najpierw głośno uderzyć się we własne.

Dziś prawdziwych Mazurów już nie ma?

– Są, tu w regionie jeszcze kilka tysięcy, może pięć-sześć. Jednak część nie afiszuje się ze swoimi korzeniami, życie nauczyło ich ostrożności. Uwaga ta dotyczy zresztą także Mazurów żyjących dziś w Niemczech. O ile bowiem dla wielu Polaków Mazur był Niemcem, o tyle dla większości Niemców oczywiście Polakiem. Po umowie Gierek-Schmidt, w której „za marki" daliśmy wielu Mazurom, Warmiakom i Ślązakom zgodę na wyjazd, Niemcy zaczęli z przekąsem mówić, że wprawdzie my mamy Mazury, ale oni Mazurów. Ci, którzy wyjechali do Niemiec w tamtych latach, dożywają dziś kresu swoich dni, ich dzieci i wnuki od dawna wolą jechać na urlop na Kanary niż do heimatu.

Czy mieszkańcy dzisiejszych Mazur mają prawo nazywać się Mazurami?

– W przeciwieństwie do wielu tzw. nowych Mazurów uważam, że prawa przynależności do ludu i jego dziedzictwa kulturowego nie nabywa się wraz z miejscem urodzenia czy zamieszkania. Ci, którzy nie pochodzą z mazurskich rodzin, nie mają prawa czuć się Mazurami, nawet jeśli na Mazurach się urodzili lub od lat tu mieszkają. Historia zabrała Mazurom prawie wszystko. Zostawmy więc dzisiaj, proszę, Mazurom mazurskość.

Marek Książek

Agnieszka Osiecka uzna Mazury za odkrycie swojego pokolenia.

KSIĄŻKA

Między Polską a Rosją – Igor i Swiatosław Bełzowie

Trzecia część trylogii o polsko-rosyjskim dialogu kulturalnym autorstwa Grzegorza Wiśniewskiego, kulturoznawcy, muzykologa i publicysty, doczekała się znakomitego przekładu na rosyjski autorstwa Anastazji Kuzmiczewej.

Książka wyróżnia się wysoką kulturą słowa, erudycją autora oraz bogactwem faktograficznym. Historia życia wybitnych postaci – Igora i Swiatosława Bełzów – została opowiedziana z pasją i lekkością. Każde zdanie odsłania interesujące fakty z życia potomków wielkiego Władysława Bełzy – autora „Katechizmu polskiego dziecka".

Opowieść „Między Polską a Rosją – Igor i Swiatosław Bełzowie" stanowi uhonorowanie wkładu rosyjskich twórców w popularyzację w Rosji kultury polskiej. A ta zawdzięcza Igorowi Bełzie nie tylko odkrywcze i rzetelne prace o Chopinie. Zebrał on także i wydał utwory nieznanych dotąd polskich kompozytorów XVIII i XIX w., otwarty był również na współczesną polską muzykę. Analizował np. twórczość Krzysztofa Pendereckiego.

Literaturoznawca, krytyk muzyczny, publicysta Swiatosław Bełza zapisał się jako wybitny działacz kultury. Idąc w ślady ojca, całe życie poświęcił sztuce. Jego książki i artykuły tworzą unikatową antologię tekstów, w której można prześledzić historię światowej kultury i literatury. Reprezentował rzadko dziś spotykany typ człowieka – był niezwykle inteligentny, wszechstronnie wykształcony, biegle władał kilkoma językami; znakomity szermierz, przystojny, elegancki, dżentelmen o nienagannych manierach.

Narracja książki Grzegorza Wiśniewskiego niczym górski strumień płynie po meandrach życia dwóch przedstawicieli rosyjskiej inteligencji twórczej. Plastyczność figur słownych oraz perfekcja wypowiedzi sprawiają, że tekst czyta się jednym tchem. Podobna nuta pobrzmiewa także w pozostałych częściach trylogii: „Bałakiriew w Warszawie i Żelazowej Woli" (Warszawa 2011) oraz „Polskie drogi w Petersburgu: Świacki, Słonimski, Britaniszski, Koczergin" (Warszawa 2014). Te również występują w obu wersjach językowych.

Patrycja Spytek

eprasa.pl 9d8a1fa481

Mieszkanie dwa razy sprzedane

Wojskowa psycholożka wybrała sobie jedno mieszkanie, ale sprzedać jej chciano drugie. Przez rok walczyła o rozwiązanie umowy z deweloperem

Michał Sobczyk

Internetowe ogłoszenie było na tyle zachęcające, że wczesnym latem 2018 r. Dorota Stanisławska umówiła się na rozmowę w sprawie kupna mieszkania w powstającym w Łodzi apartamentowcu. – Świetna lokalizacja, przyzwoite ceny, więc po spotkaniu z agentem nieruchomości zdecydowałam, że to będzie moje miejsce na ziemi – wspomina. Razem pojechali do biura sprzedaży firmy Murapol Projekt, jednego z największych deweloperów w Polsce, gdzie z miłym, bardzo młodym człowiekiem podpisała umowę rezerwacyjną.

W umowie rezerwacyjnej i w umowie deweloperskiej jest mowa o dwóch różnych mieszkaniach.

Jedynym problemem wydawał się wówczas wylot do Afganistanu, gdzie mieszkanka Sieradza miała pracować jako wojskowy psycholog. Uspokojono ją, że jeśli nie zdąży podpisać umowy deweloperskiej w formie aktu notarialnego, będzie mogła to za nią zrobić upoważniona osoba. – Ostatecznie okazało się, że lot mam 11 czerwca, a dokumenty będą gotowe dwa dni później. Pojechałam więc z mamą do kancelarii notarialnej, gdzie na podstawie numeru rezerwacyjnego sporządzono dla niej stosowne upoważnienie. Gdy dostałam od mamy informację, że „wszystko podpisane", bardzo się ucieszyłam. Wpłaciłam pierwszą ratę, 55 tys. zł, i byłam pewna, że wszystko jest na dobrej drodze. Zaczęłam nawet przeglądać katalogi z meblami – opowiada.

Koniec marzeń o pokoju

Radość nie trwała długo. „W umowie rezerwacyjnej i w umowie deweloperskiej jest mowa o dwóch różnych mieszkaniach" – usłyszała od ojca 14 czerwca, gdy zadzwoniła z bazy do domu. – Powiedziałam mu, że to niemożliwe, ale kiedy przesłał mi zeskanowaną umowę, okazało się, że ma rację. Od razu zadzwoniłam do człowieka, który uścisnął mi rękę i powiedział: to mieszkanie będzie pani – relacjonuje Dorota Stanisławska. Wyjaśnił on, że na podstawie informacji przekazanych mu przez agenta nieruchomości zrozumiał, że ostatecznie zdecydowała się ona na inne mieszkanie. Dodał też, że to wymienione w umowie rezerwacyjnej… sprzedał już komuś innemu.

– To prawda, że mejlowałam do agenta nieruchomości w sprawie teoretycznej możliwości zmian w umowie rezerwacyjnej, ponieważ decyzję podjęłam szybko i chciałam w domu jeszcze raz przejrzeć plany. To była luźna korespondencja, nie wiedziałam nawet, że pracownik biura sprzedaży Murapolu jest o niej informowany – wyjaśnia. Wspomniany pracownik mógł źle zrozumieć wiadomość od agenta, w której pani Dorota potwierdziła swój pierwotny wybór, ale jej zdaniem nie jest to żadne usprawiedliwienie. Podkreśla, że nie zgłaszała chęci zmiany żadnemu przedstawicielowi dewelopera, a jedynie pośrednikowi, że nikt z firmy nie skontaktował się z nią, by potwierdzić rzekomą decyzję, oraz że numer mieszkania, na które się zdecydowała, znalazł się w tytule przelewu i w pełnomocnictwie dla mamy. – Poza tym, zgodnie z umową, wszelkie zmiany musiałyby zostać wprowadzone w formie pisemnej, w związku z czym Murapol obowiązywała ta jej wersja, którą podpisałam w ich biurze w Łodzi – tłumaczy pani Dorota. Lokal, którego dotyczyła umowa deweloperska, jej nie satysfakcjonował, m.in. ze względu na inny rozkład pomieszczeń.

– Zaproponowałam, żeby w związku z tym sprzedali mi identyczne mieszkanie w bloku budowanym obok. Dowiedziałam się, że wymagałoby to mojego stawiennictwa w biurze w Łodzi, co z oczywistych powodów nie wchodziło w grę. A rezerwację jakoś mogli zmienić bez mojej obecności – irytuje się. Twierdzi, że pracownik biura sprzedaży nie zaproponował jej żadnego wyjścia z sytuacji. – Choć umowa deweloperska zawarta poza zakresem uprawnień mojego pełnomocnika była nieważna, a zarezerwowane przeze mnie mieszkanie sprzedał innej osobie, oświadczył, że moje protesty go nie obchodzą i że mam wpłacać kolejne raty.

Z bazy wojskowej w Afganistanie trudno znaleźć prawnika w Polsce, ale pani Dorota była przekonana, że to ona ma rację. – Moim zdaniem akt notarialny został podpisany z przekroczeniem uprawnień. Wojskowy radca prawny nie znał się na nieruchomościach, ale powiedział mi, że nie wpłacałby Murapolowi kolejnych rat, bo będzie to jakiś rodzaj potwierdzenia, że akceptuję zawartą umowę na mniej atrakcyjne mieszkanie. Tym bardziej że może ona się okazać nieważna, a wtedy nie będę miała ani pieniędzy, ani prawa do mieszkania, które jest w niej wymienione.

Wojna pozycyjna

Według pani Doroty biuro sprzedaży uparcie podtrzymywało swoją wersję: nie widzą żadnego problemu poza tym, że nie wpływają kolejne raty. Psycholożka zarzeka się, że centrala firmy w Bielsku-Białej nie odpisała na żadną z jej wiadomości, nie można też było tam się dodzwonić. – Byłam zaszokowana: ogromna firma, która sprzedaje tysiące mieszkań, dopuściła do takiej pomyłki i nawet nie poinformowała mnie, że zmienia moją rezerwację.

Czuła się oszukana i miała zszargane nerwy, a przecież i bez problemów z mieszkaniem stresu w Afganistanie jej nie brakowało. Ale największą cenę zapłaciła jej mama. – Kiedy w styczniu wróciłam do domu, nie poznałam jej. Czuła się tak bardzo winna, że nie zauważyła sprzeczności

eprasa.pl 9d8a1fa481

Dorota Stanisławska wymarzyła sobie mieszkanie w Łodzi.

w dokumentach, że przez miesiąc nie mogła spać i schudła 10 kilo – wspomina pani Dorota.

Kontratak

Już po powrocie do kraju przypomniała sobie, że zna dobrego prawnika. Ten doradził, aby nie szła na razie do sądu, tylko wysłała Murapolowi wezwanie do zwrotu nienależnego świadczenia, powołując się na nieważność umowy, wraz z propozycją kontaktu w sprawie ugody. Uświadomił jej ponadto, że ma w ręku mocną kartę – deweloper nie będzie mógł sprzedać mieszkania, którego nie spłaca, gdyż jej nazwisko zostało wpisane do księgi wieczystej. A jeśli już je sprzedał, to w październiku, gdy blok zostanie oddany do użytku, będzie miał na karku drugiego wściekłego klienta.

Szef działu prawnego Murapolu oddzwonił do radcy i przyznał, że zaproponowane przez niego rozwiązanie – klientka zrzeknie się prawa do niechcianego lokalu w zamian za zwrot wpłaconych pieniędzy i obie strony się rozejdą w jakiej takiej zgodzie – jest faktycznie najsensowniejsze i że spółka prawdopodobnie się do niego przychyli. Dorota Stanisławska uwierzyła, że sprawa wreszcie znajdzie szczęśliwy finał. Niestety, przedwcześnie. – Ostatni raz z Bielska-Białej zadzwoniono do mnie w lutym. Od tego czasu nikt nie odbierał telefonów ani nie odpisywał na moje mejle i oficjalne pisma. Być może po prostu zapomnieli o sprawie. Jestem w stanie zrozumieć, że dla tak dużej firmy 55 tys. zł to śmieszna kwota, ale nie dla mnie. Ciężko zapracowałam na te pieniądze, nie spadły mi z nieba – mówi psycholożka.

Odsiecz

Pechowa klientka była pewna, że nie pozostaje jej nic innego jak pójść do sądu, ale postanowiła spróbować jeszcze jednego – zwróciła się z prośbą o pomoc do dziennikarza PRZEGLĄDU.

Murapol, pracownik biura sprzedaży i notariuszka, w obecności której podpisano umowę deweloperską, otrzymali prośby o wyjaśnienie, jak doszło do obecnej sytuacji i jakie działania podejmowali lub zamierzają podjąć, by rozwiązać problem. Nie minęła godzina, gdy do pani Doroty zadzwoniła notariuszka z informacją, że sprawdziła dokumenty i rzeczywiście jest rozbieżność między umową rezerwacyjną i pełnomocnictwem a umową deweloperską. Przeprosiła za niedopatrzenie, podkreślając jednocześnie, że o sprawie dowiedziała się dopiero od PRZEGLĄDU. Wyraziła ubolewanie, że ze względu na brak informacji nie miała wcześniej możliwości „pomóc stronom w rozwiązaniu zaistniałej pomyłki poprzez dostępne środki prawne”.

Jej interwencja, a być może także planowana publikacja tekstu sprawiły, że deweloper po miesiącach ciszy skontaktował się z pełnomocnikiem pani Stanisławskiej. Odpowiedział też na zadane pytanie. „Uprzejmie informujemy, że aktualnie wyjaśniamy sprawę z naszą klientką Panią Dorotą Stanisławską. Pierwsze wnioski są takie, że Pani Dorota Stanisławska zrezygnowała z pierwotnie zarezerwowanego mieszkania, stąd wynikłe nieporozumienie. Niemniej jednak dążymy do rozwiązania problemu w sposób neutralny dla naszej Klientki i aktualnie rozważamy i negocjujemy możliwe pozytywne rozwiązania”, napisała dyrektor ds. PR i marketingu.

Rozejm?

Już kilka dni później notariuszka przesłała pani Dorocie skan porozumienia, podpisanego przez prezesa Murapolu, wkrótce pocztą dotarł oryginał dokumentu. – Wierzę, że tym razem, dzięki wstawiennictwu pani notariusz, uda się doprowadzić sprawę do końca, ale mimo wszystko chciałam, żeby ten artykuł się ukazał. Po pierwsze, dlatego że gdyby nie PRZEGLĄD, o swoje pieniądze zapewne procesowałabym się następne kilka lat. Po drugie, dlatego że przez rok nikt z Murapolu nie raczył ze mną porozmawiać jak z człowiekiem. Niech inni potencjalni klienci deweloperów liczą się z tym, że kiedy już wpłacą pieniądze, w razie problemów nie będą mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc – ostrzega. Po trzecie, jest zła, że pracownicy łódzkiego oddziału firmy nie ponieśli żadnych konsekwencji. Jej rozgoryczenie pogłębia fakt, że mieszkanie, które chciała nabyć „w zamian”, ale jej odmówiono ze względu na nieobecność w kraju, nadal stoi puste. – Widocznie nie byłam godna, by je kupić – ironizuje.

Dorota Stanisławska liczy, że wkrótce odzyska wpłaconą ratę, ale obawia się, że może już nie odzyskać serca do Łodzi. – To było mieszkanie moich marzeń. Młody człowiek bez skrupułów sprzedał je komuś innemu, a ja zostałam z pustym kontem. ■

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9d8a1fa481

Manifestacja na Letnej.

Tu nie będzie żadnej rewolucji

Niemal 300 tys. Czechów wyszło na ulicę, żądając odwołania premiera. Andrej Babiš o dymisji nawet nie myśli

Łukasz Grzesiczak, Anna Maślanka

Jeżeli Czesi wychodzą na ulicę, wiedz, że dzieje się coś poważnego. Kiedy wychodzi ich tak wielu, że ze względów bezpieczeństwa zamykane są praskie stacje metra, to znak, że dzieje się coś naprawdę poważnego.

Kto w czerwcową niedzielę wyciągnął Czechów z hospód? Kto tak ich zdenerwował, że zrezygnowali z odpoczynku w letnich domkach, że ściągnęli do stolicy z całej Republiki Czeskiej? Nazywa się Andrej Babiš, ma 64 lata i ze swoimi 3,5 mld dol. według magazynu „Forbes" jest 456. najbogatszym człowiekiem na świecie i drugim w Czechach. Babiš to potentat na rynku spożywczym, a także największy właściciel czeskich mediów. Jego gazety, portale internetowe, telewizja i radio docierają nawet do połowy Czechów. W ostatnim roku jego majątek stopniał, co nie przeszkadza mu być bogatszym od Donalda Trumpa, który z 3,1 mld dol. uplasował się dopiero na 617. pozycji na liście najbogatszych. Czechów rozzłościły pieniądze Andreja Babiša. A dokładniej to, że jako premier wykorzystuje swoją pozycję do tego, by kontrolowane przez niego przedsiębiorstwa (oddał je we władanie funduszu powierniczego, ale i tak ma na nie wpływ m.in. poprzez rodzinę) bogaciły się w nieuczciwy sposób, m.in. defraudując fundusze unijne. W Czechach Andrej Babiš dla wielu obywateli jest uosobieniem korupcji, klientelizmu i dorabiania się w niejasnych okolicznościach wielkich pieniędzy w okresie transformacji.

Nie kupuj od Andreja

Karierę polityczną rozpoczął w 2012 r., kiedy zarejestrował partię ANO 2011, czyli Akcję Niezadowolonych Obywateli (Akce nespokojených občanů). W ten sposób zainicjowany rok wcześniej ruch społeczny, który głosił hasła walki z korupcją i uzdrowienia systemu politycznego, przyjął formę partii. Pierwsze sukcesy przyszły bardzo szybko. W 2014 r. Babiš jako minister finansów i wicepremier zasiadał w rządzie Bohuslava Sobotki, a trzy lata później, kiedy jego partia wygrała wybory parlamentarne w Czechach, sam został premierem.

Nieco wcześniej na polityka spadła lawina kłopotów. Babiš jest oskarżony o malwersacje i defraudację funduszy unijnych. Słowacki Instytut Pamięci Narodowej uważa go za agenta czechosłowackiej Służby Bezpieczeństwa. Premier zaprzecza, podobnie jak oskarżeniom o konflikt interesów. A jako polityk podejmuje decyzje mające bezpośredni wpływ na dotacje, które ze skarbu państwa i kasy UE otrzymują m.in. jego firmy rolnicze. Przy tej skali zarzutów straszenie zwolnieniem dziennikarzy, którzy nie odnotowali konferencji prasowej jego partii, może się wydawać drobiazgiem.

Z niezadowoleniem niektórych Czechów Babiš musi się liczyć od dawna, ale protesty nigdy wcześniej nie przybrały tak masowego charakteru. A przecież jest już aplikacja Bez Andreje stworzona przez programistę Martina Vytrhlíka, której Czesi używają do bojkotu produktów firm należących do Babiša. Po zainstalowaniu jej na smartfonie wystarczy zeskanować kod kreskowy towaru, by przekonać się, czy po jego zakupie wzrośnie stan konta przedsiębiorstw premiera. Wskazuje to wyświetlająca się czerwona, uśmiechnięta twarz Babiša z napisem: *Andrejovo*. Jeśli to nie produkt którejś jego firmy, pokaże się zasmucona, zielona twarz.

Twórca aplikacji tłumaczył, że wpadł na ten pomysł, kiedy przyjaciel

eprasa.pl 9d8a1fa481

zapytał go, dlaczego kupuje artykuły wyprodukowane przez firmy należące do Andreja Babiša. A on nie miał świadomości, że sięgnął akurat po ich wyroby. Vytrhlík pierwotnie myślał, że tworzy aplikację dla najbliższych znajomych i liczba jej użytkowników nie przekroczy 50.

Tłumy na Letnej

Przeciwko Babišowi protestowali także artyści. Jako pierwszy „nie" powiedział Tomáš Klus. To popularny piosenkarz, autor tekstów i aktor, w 2012 r. zwycięzca konkursu Czeskiego Słowika dla najlepszych czeskich piosenkarzy. Klus słynie z zaangażowania politycznego i piosenek, które mocno krytykują klasę polityczną. Kiedyś prywatnie był związany z piosenkarką Ewą Farną.

Piosenkarz zapowiedział bojkot należących do Babiša mediów oraz imprez sponsorowanych przez jego firmy. „Myślę, że niepewne czasy, w których żyjemy, potrzebują jasnego stanowiska. Kiedy spotykam się z przyjaciółmi lub przypadkowymi ludźmi i dyskutujemy o sytuacji społecznej, często słyszę krytyczne uwagi na temat tego, co robi Andrej Babiš. W obliczu tego czuję, że muszę konsekwentnie stać za swoimi poglądami i ideami. Nikogo nie zmuszam, aby to robił. Kiedy się z kimś nie zgadzam, nie chcę czerpać korzyści z tego, co robi i w jaki sposób. Chcę być w zgodzie z tym, co mówię i robię", tłumaczył Tomáš Klus w rozmowie z Czeskim Radiem.

Do bojkotu Babiša dołączył popularny aktor Jiří Macháček, znany w Polsce za sprawą m.in. roli w kultowym filmie „Samotni" w reżyserii Davida Ondříčka. A także np. lider kapeli Monkey Business Matěj Ruppert oraz aktorka i piosenkarka Iva Pazderková.

Co sprawiło, że protesty przeciwko czeskiemu premierowi tym razem miały charakter masowy? Wyniki dwóch audytów Komisji Europejskiej, zgodnie z którymi istnieje konflikt interesów przy korzystaniu z dotacji unijnych. Komisja Europejska doszła do wniosku, że wszystkie dotacje przyznane Agrofertowi Babiša od 9 lutego 2017 r., gdy weszła w życie czeska ustawa o konflikcie interesów, są niezgodne z państwowym prawem. Babiš zaś utrzymywał, że pobierając dotacje, nie naruszył ani czeskiego, ani europejskiego prawa.

W ten sposób jedno z najbardziej eurosceptycznych społeczeństw pod europejskimi flagami i z hasłami Václava Havla i Tomáša G. Masaryka na ustach pomaszerowało na Letną. Nie przypadkiem wybrano to miejsce. Czesi najczęściej protestują na placu Wacława, tam też odbyła się wcześniejsza manifestacja, w której uczestniczyło ok. 120 tys. osób. Tym razem wybrano jednak wzgórze Letná. To kultowe miejsce ze smutną historią. Stał tam kiedyś okryty złą sławą, największy na świecie pomnik Stalina. Jego autor na krótko przed odsłonięciem w 1955 r. popełnił samobójstwo. Sam pomnik zburzono już siedem lat później. Dziś na jego miejscu stoi ogromny metronom, a wokół rozciąga się park, w którym prażanie chętnie się spotykają, jeżdżą na deskorolkach, odpoczywają i popijają piwo.

Wybór jednak padł na to miejsce nie z powodu pomnika, ale ze względu na najnowszą historię. To tutaj, w czasie aksamitnej rewolucji, w listopadzie 1989 r., odbyła się największa demonstracja w Pradze, w trakcie której 750-800 tys. Czechów i Słowaków protestowało przeciw komunistycznym władzom ówczesnej Czechosłowacji i wyraziło poparcie dla Forum Obywatelskiego z jego współzałożycielem i jednym z liderów Václavem Havlem.

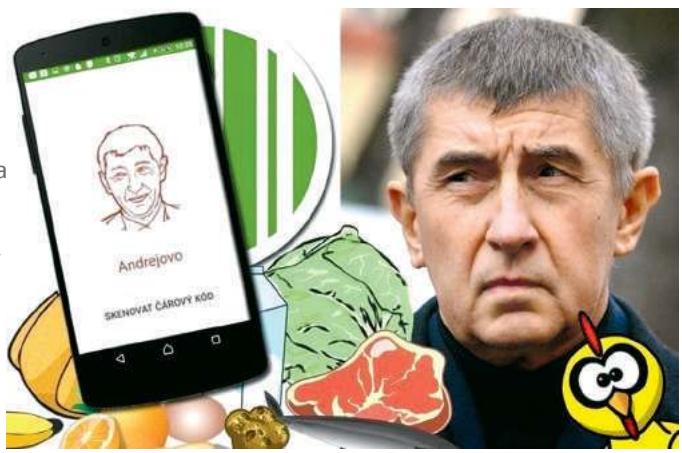

Aplikacja pozwala zidentyfikować produkty wytworzone przez firmy Andreja Babiša.

Bez wotum nieufności

Tym razem Czechów na Letną zaprowadził 26-letni student Mikuláš Minář – lider organizacji Milion Chwil dla Demokracji. Protestujących zagrzewali do działania artyści, działacze społeczni, piosenkarze, a wśród nich Tomáš Klus, który uchodzi za najpopularniejszego wolontariusza organizacji.

„Ludzie, którzy przychodzą na demonstracje, mają różne motywacje i wyobrażenia tego, jak by miało być. Przede wszystkim jednak wyrażają krytyczny stosunek do tego, jak jest – w jaki sposób sprawuje się w ich kraju władzę, co się wokół nich dzieje", mówiła w Czeskiej Telewizji Vladimíra Dvořáková, politolożka z Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Pradze. Lubomír Kopeček, politolog z Uniwersytetu Masaryka w Brnie, w ostatnich wydarzeniach w Czechach widzi analogię do sytuacji w Polsce: „Patrząc w szerszej perspektywie, w ostatnich latach dostrzegamy analogie w całej Europie Środkowej. Na przykład demonstracje z roku 2015 w Polsce, spowodowane obawą o niezależność sądów czy mediów, również były organizowane cyklicznie i miały charakter masowy. Coś podobnego nieco wcześniej działo się także na Węgrzech".

Tylko jedna trzecia Czechów uważa, że z premierem jest wszystko w porządku.

Tomáš Lebda, politolog z Uniwersytetu Palackiego w Ołomuńcu, uważa, że Andrej Babiš znalazł się w sytuacji bezprecedensowej w historii Republiki Czeskiej: „Dotychczasowi premierzy podawali się do dymisji w mniej dramatycznych okolicznościach. W ich wypadku chodziło tylko o podejrzenia, niczego im nie udowodniono. Ale

FOT. EAST NEWS/AP, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9d8a1fa481

ustąpienie ze stanowiska premiera oznaczało, że majątek polityka stawał się zagrożony. Moim zdaniem właśnie w ten sposób myśli teraz Babiš – że jeśli odejdzie z polityki, jego firma Agrofert, która tylko oficjalnie nie należy do niego, znajdzie się w niebezpieczeństwie. I dlatego nie może sobie pozwolić na to, żeby ustąpić". Zdaniem Lebdy premier przejmuje się protestami dużo bardziej, niż stara się okazywać, a tego typu demonstracje szkodzą skrupulatnie opracowanemu wizerunkowi marketingowemu.

Trzy dni po demonstracji, 26 czerwca, około wpół do piątej rano, z inicjatywy opozycyjnych partii ODS, Piratów, KDU-ČSL, TOP 09 oraz starostów odbyło się głosowanie nad wotum nieufności dla rządu Babiša. Za opowiedziało się 85 posłów, podczas gdy do przyjęcia wotum potrzeba było 101 głosów. Głosowanie poprzedziła 17-godzinna debata.

„W Republice Czeskiej jeszcze nigdy nie działo się tak dobrze jak teraz", powiedział premier Babiš i zarzucił opozycji eskalowanie napięcia oraz szkodzenie państwu. Jak skomentował wyniki głosowania Petr Fiala, szef najsilniejszej opozycyjnej partii ODS, „większość Sejmu jest w tym konkretnym momencie w tej konkretnej sprawie przeciwko większości obywateli. Poza parlamentem tylko jedna trzecia Czechów uważa, że z premierem jest wszystko w porządku i że nie trzeba zajmować się problemem ogromnego konfliktu jego interesów, który ma już wymiar nie tylko krajowy, ale i międzynarodowy".

Babiš straszył zwolnieniem dziennikarzy, którzy nie odnotowali konferencji prasowej jego partii.

Było to już drugie głosowanie w sprawie wotum nieufności dla rządu w ostatnich miesiącach. Wcześniejsze odbyło się w listopadzie zeszłego roku. Za wotum nieufności opowiedziało się wówczas 92 posłów. W ciągu ostatnich lat w Czechach spośród 14 wniosków o wotum nieufności tylko jeden przyniósł sukces. Dotyczyło to władzy ODS, KDU-ČSL i Partii Zielonych w roku 2009. Premierem był wówczas Mirek Topolánek z ODS.

Zgodnie z wynikami sondażu przeprowadzonego przez agencję Median na zlecenie Czeskiego Radia niespełna połowa Czechów (47%) uważa, że wobec rządu Andreja Babiša powinno zostać uchwalone wotum nieufności. Jednak tylko o 1% mniej popiera obecny rząd. 30% uważa, że rząd powinien pozostać, ale bez Babiša. Za zachowaniem rządu opowiadają się przede wszystkim osoby w wieku powyżej 45 lat; z kolei ludzie młodsi, między 18. a 45. rokiem życia, częściej byli zwolennikami przyjęcia wotum nieufności.

Protesty organizowane przez Milion Chwil dla Demokracji obliczone są na długie trwanie i podtrzymanie negatywnych wobec Babiša nastrojów społecznych. Kolejne zaplanowano na 16 listopada, dzień przed 30. rocznicą aksamitnej rewolucji.

Wybory parlamentarne w Czechach odbędą się jesienią 2021 r.

Łukasz Grzesiczak, Anna Maślanka

eprasa.pl 9d8a1fa481

Z Galicji

Jan Widacki

Kto ty jesteś? Polak mały

Gdy przed kilkoma miesiącami w „Gazecie Wyborczej" przeczytałem fragment książki Grzegorza Gaudena „Lwów – kres iluzji", czułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Jak to? Wydawało mi się, że o obronie Lwowa wiem wszystko, co wiedzieć można. Czytałem wiele, ale miałem też rodzinne relacje. Stryj, Stanisław Widacki, w randze kapitana dowodził nawet odcinkiem obrony (Dom Techników, szkoła Sienkiewicza, odcinek IV Snopków). Jego kuzyn, ppor. Mieczysław Widacki, dowodził w obronie Lwowa plutonem. Dwaj inni moi wujowie – wówczas kilkunastoletni chłopcy – walczyli w obronie Lwowa jako prości żołnierze. Temat tej obrony był w rodzinie żywy. Jednak ani z dotychczasowej lektury, ani z rodzinnych wspomnień nie dowiedziałem się, że bohaterskie Orlęta po zwycięskiej obronie Lwowa dokonały pogromu Żydów. Pogromu, w którym pomordowano bestialsko ludzi, obrabowano sklepy, spalono domy, a nawet synagogę. Kolejny mit prysnął.

Dlaczego nikt z moich bliskich, opowiadając mi o bohaterskich Orlętach, nawet o tym nie wspomniał? Nie wiedzieli? Nie mogli nie wiedzieć. Uważali to za coś tak normalnego i oczywistego, że nawet niegodnego wzmianki? Chyba jednak nie. Chyba wiedzieli, że było to coś, czego trzeba się wstydzić, dlatego skutecznie wypierali to z pamięci i dyskretnie przemilczali w opowieściach.

Teraz wiem, choć długo o tym nie wiedziałem, że pogromy Żydów dokonywane przez wojsko polskie w wojnie bolszewickiej były czymś normalnym. Tak się działo po zajęciu Mińska, Pińska i wielu innych miast i miasteczek kresowych. Ale historia jest skomplikowana, tak jak skomplikowane są natura ludzka i ludzkie wybory. Świat nie jest czarno-biały. Obrona Lwowa to zarówno bohaterstwo młodych obrońców miasta, jak i bestialstwo niektórych z nich okazane w czasie pogromu. I straszna zmowa milczenia pozostałych.

Gauden w książce dobrze osadzonej w realiach, opartej na rzetelnych źródłach, krok po kroku odsłania drugą, nieznaną stronę mitu. Spadną na niego gromy. W imię opacznie zrozumianego zdania Wyspiańskiego, odczytanego bez wyczucia ironii poety, że „świętości nie szargać, bo trza, żeby święte były", będą mu „prawdziwi patrioci" wypominać, że on świętości właśnie szarga. Zostanie przez bezrozumnych wyznawców polityki historycznej (czyli historii na usługach partii rządzącej) uznany za anty-Polaka, drugiego Grossa.

Jeżeli historia ma czegoś nauczyć, a nie tylko dostarczyć paru bezmyślnych na ogół haseł i symboli, musi przede wszystkim mówić prawdę. Nawet tę najbardziej bolesną. Jak mamy być lepsi, mądrzejsi, jeśli w swojej historii nie znajdziemy błędów, nie zrozumiemy ich istoty, nie odnajdziemy przyczyny, zła nie nazwiemy złem lub będziemy udawać, że go nie było? Historia zredukowana do infantylnych rekonstrukcji lub patriotycznych napisów na T-shirtach, łączących skrzydła husarskie z „żołnierzami wyklętymi", jest historią dla idiotów. Jej celem jest nie nauka życia, ale poprawa samopoczucia człowieka bezrozumnego i zakompleksiałego. Może to nawet komuś potrzebne. Niech będzie. Jednak świadome zredukowanie historii do takiego wymiaru, jej bezrefleksyjność, popularyzacja w programach szkolnych i państwowej propagandzie, jest zbrodnią na narodzie i na jego przyszłych pokoleniach.

Gdy byłem dzieckiem, mama nuciła mi piosenkę o najmłodszym poległym obrońcy Lwowa, o Jurku Bitschanie: „O mamo, otrzyj oczy / Z uśmiechem do mnie mów, / Ta krew, co z piersi broczy – / Ta krew to za nasz Lwów!... / Ja biłem się tak samo / Jak starsi – mamo, chwal!... / Tylko mi Ciebie, mamo, / Tylko mi Polski żal!…". Mama nuciła ze łzami w oczach, a ja płakałem. Pamiętam, z jakim wzruszeniem pokazywałem przed laty swoim dzieciom miejsce na cmentarzu Łyczakowskim, gdzie zginął Jurek Bitschan i jego grób na cmentarzu Orląt.

> Jak mamy być lepsi, mądrzejsi, jeśli w swojej historii nie znajdziemy błędów, nie zrozumiemy ich istoty?

Czy po książce Gaudena inaczej będziemy patrzeć na ofiarę bohaterskich obrońców Lwowa? Nie sądzę. I nie o to Gaudenowi chodziło. Ale może spojrzymy na te wydarzenia z jakąś głębszą refleksją? Miłość Polaków do ich miasta, do Lwowa, ich poświęcenie, nieraz ofiara krwi i młodego życia, zawsze będą zasługiwać na podziw i szacunek. Znajomość faktów opisanych przez Gaudena dopełni tylko wielowymiarowego obrazu. Pokaże, do czego prowadzą antysemityzm, pogarda dla innego człowieka z racji jego wyznania i narodowości. Pokaże też, że wojna, nawet sprawiedliwa, toczona z najszlachetniejszych pobudek, jednak deprawuje. Usypia sumienie, pobudza najokrutniejsze ludzkie instynkty. Zwalnia wszystkie hamulce społeczne i moralne. Książka Gaudena pokazuje, że granica między Orlętami a „bydlętami" może być bardzo delikatna. I że pilnie tej granicy trzeba strzec.

Treść książki Gaudena była dla mnie szokiem. I za to jestem mu wdzięczny.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d8a1fa481

Tomasz Skowronek

Łowcy plastiku

Hiszpańscy rybacy czyszczą Morze Śródziemne

Port rybacki Villajoyosa, prowincja Alicante we wschodniej Hiszpanii. Wczesnym rankiem flotylla tradycyjnych łodzi wypływa na Morze Śródziemne, aby łowić ryby, ośmiornice, krewetki oraz inne owoce morza, ale także... plastik.

Odpady zatopione w Morzu Śródziemnym zbiera w całej Hiszpanii ok. 3 tys. rybaków. Odzyskane tworzywa sztuczne będą poddawane recyklingowi, a powstałe w tym procesie włókna poliestrowe wykorzystywane do stworzenia wysokiej klasy linii odzieżowej.

Jednym z takich rybaków jest Paco Perez, który w czasie ostatniego połowu wydobył z wody płetwy nurka, butelki po napojach gazowanych i opakowania po jogurtach. Jak zauważa, plastiku w morzu przybywa z roku na rok: – Ludzie wyrzucają więcej, w szczególności latem, kiedy zaczyna się sezon wakacyjny.

Wyjaśnia też, dlaczego rybacy zajmują się odpadami: – Żyjemy z morza, więc musimy je oczyścić. Wszystko, co złapiemy, zamiast tak jak dawniej wyrzucać z powrotem do wody, rozdzielamy do osobnych toreb bądź pojemników i zabieramy na ląd.

Ubrania ze śmieci

Paco Perez i inni hiszpańscy rybacy współpracują z firmą odzieżową Ecoalf. Założone w 2010 r. przedsiębiorstwo z Madrytu wprowadziło już na rynek kurtki czy plecaki z materiałów pochodzących z recyklingu plastiku. Stworzyło nie tylko kolekcję ubrań, ale również akcesoria: apaszki, szaliki, czapki, torebki i portfele. Firma zatrudnia 18 osób i odnotowała w zeszłym roku obrót w wysokości 4,5 mln euro. Wyroby sprzedaje w ekskluzywnych sklepach m.in. w Londynie czy w Nowym Jorku.

Idea wytwarzania z plastikowych śmieci ubrań zrodziła się prawie 10 lat temu. Wówczas Javier Goyeneche, pomysłodawca i prezes Ecoalf, wybrał się z przyjacielem na ryby i na dnie morza zauważył mnóstwo plastikowych odpadów. – Tam, gdzie inni widzą tylko śmieci, my dostrzegamy surowiec, który dzięki zaawansowanej technologii możemy przekształcać w tkaninę – wyjaśnia. – Poprzez Ecoalf staramy się zmienić wiele nawyków wśród konsumentów. Zamiast niszczyć planetę, spróbujmy ją uratować w jak największym stopniu. Musimy szanować Ziemię, ponieważ nie mamy planety B. To jest motto naszej firmy.

Jednak aby wytwarzać ubrania z plastikowych odpadów na szeroką skalę, Javier Goyeneche musiał jakoś pozyskać te odpady z morza. Pomyślał o rybakach. W tym celu skontaktował się z José Ignaciem Llorcą, prezesem Stowarzyszenia Rybaków w Alicante. – Od razu do niego zadzwoniłem i przedstawiłem swój pomysł. Bardzo mu się spodobał, natychmiast powiedział „tak".

Początkowo rybacy nie byli przekonani do tego, aby łowić odpady dla kogoś, kto będzie na tym zarabiał. Po dłuższych rozmowach i konsultacjach doszli jednak do wniosku, że czyste morze jest w interesie zarówno ich samych, jak i właścicieli restauracji rybnych, pracowników branży turystycznej czy zwykłych mieszkańców. Poza tym mieli już dość ciągłej krytyki ze strony ekologów. Uczestnicząc w inicjatywie Ecoalf, mogli zademonstrować ekologiczną i obywatelską postawę.

Mikroplastik w owocach morza

Kutry rybackie z Villajoyosy jako pierwsze w kraju wzięły udział w tym ambitnym projekcie. Trzy lata później zebrano 260 ton śmieci z innych części Hiszpanii: Katalonii, Levante, Murcji, Kadyksu i Galicji. Rybacy stali się sumiennymi zbieraczami śmieci. Gdy wracają na ląd, ich kosze i pojemniki są wypełnione po brzegi plastikowymi butelkami, pozostałościami warstw folii, dywanów czy puszek. – Ludzie niestety tego nie zauważają, ale nasze oceany i morza stały się swego rodzaju koszem na śmieci – ubolewa Javier Goyeneche.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Porzucone w Morzu Śródziemnym śmieci duszą zwierzęta morskie, w tym gatunki chronione i zagrożone, takie jak żółwie morskie.

Kolekcja ubrań firmy Ecoalf wykonanych z plastiku pochodzącego z recyklingu.

To paradoksalne, że Morze Śródziemne – łączące trzy kontynenty i skupiające niezwykłe, unikatowe zabytki światowego dziedzictwa kulturowego, kolebka cywilizacji – stało się jednym z najbardziej zanieczyszczonych tworzywami sztucznymi miejsc na Ziemi.

Ponad 200 mln turystów każdego roku odwiedza ten region. Niestety, pozostawiają oni po sobie tony śmieci, które trafiają do morza. Jak donosi raport World Wildlife Fund (WWF) zatytułowany „Out of the Plastic Trap: Saving the Mediterranean from plastic pollution", tworzywa sztuczne stanowią aż 95% odpadów na otwartym morzu, na dnie morskim i na plażach w całym basenie Morza Śródziemnego. Odpady te pochodzą głównie z Turcji i Hiszpanii, ale także z Włoch, Egiptu i Francji. Najpopularniejsze miejscowości i regiony turystyczne – Barcelona, Marsylia, Walencja, Tel Awiw czy wybrzeże Wenecji w pobliżu rzeki Pad – są najbardziej zanieczyszczone plastikiem.

Turyści w regionie śródziemnomorskim zwiększają o 40% ilość śmieci, która każdego lata trafia do morza. Ponure prognozy wskazują, że za 30 lat w oceanach i morzach będzie więcej plastiku niż ryb. Według ONZ w 2050 r. 99% ptaków morskich będzie się odżywiać odpadami. Plastik potrzebuje 450 lat, aby zniknąć, a na razie wszystkie śmieci się kumulują.

Duże kawałki plastiku ranią, często śmiertelnie, lub duszą zwierzęta morskie, w tym gatunki chronione i zagrożone, takie jak żółwie morskie. Ale według raportu WWF Morze Śródziemne jest rekordowo zanieczyszczone mikrotworzywami sztucznymi, czyli mniejszymi, a przez to bardziej niebezpiecznymi odpadami. Stając się elementem łańcucha pokarmowego, zagrażają one nie tylko wielu gatunkom zwierząt, ale i ludzkiemu zdrowiu. Mikrocząsteczki są zjadane przez ryby lub inne morskie zwierzęta, a te trafiają na nasz talerz. W 2015 r. hiszpańscy naukowcy ostrzegali, że plastik z Morza Śródziemnego znajduje się w żołądkach ryb, ptaków, żółwi i wielorybów, a mikroplastik znaleziono również w ostrygach i małżach. Przeciętny konsument ryb w Europie może spożywać nawet 11 tys. mikrocząstek plastiku rocznie.

Maroko bez plastikowych toreb

Rocznie w Europie produkuje się 27 mln ton plastikowych odpadów, z czego tylko jedna trzecia jest poddawana recyklingowi. We Włoszech, Francji i Hiszpanii połowa plastikowych śmieci trafia na składowiska, a nie do utylizacji. Co więcej, nadal używa się jednorazowego plastiku. Ponad połowa polimerów staje się odpadem już po roku od wyprodukowania, donosi WWF. Zamiast być ponownie wykorzystywana, najczęściej jest wysyłana na wysypiska lub do spalarni.

Produkcja tworzyw sztucznych na jedną osobę jest w krajach śródziemnomorskich bardzo wysoka – wynosi aż 23 kg rocznie. We Włoszech i w Turcji opakowania stanowią co najmniej 80% całkowitej ilości wytwarzanych odpadów. W 2016 r. sama Grecja wykorzystała ok. 300 plastikowych toreb na osobę rocznie, a Włochy są największym konsumentem wody butelkowanej (178 litrów wody sprzedawanej w plastikowych butelkach na osobę).

Szacuje się, że zanieczyszczenie morza każdego roku kosztuje turystykę, rybołówstwo i sektor morski ok. 641 mln euro. – Produkcja plastiku jest o wiele za tania, a koszty gospodarowania odpadami i skutki zanieczyszczeń w dużej mierze obciążają głównie społeczeństwa i przyrodę. Wszystkie kraje muszą zmienić cały swój łańcuch dostaw. To jedyny sposób, aby utrzymać plastik z dala od Morza Śródziemnego – tłumaczy Óscar Martín, dyrektor Ecoembes, hiszpańskiej organizacji ekologicznej.

– Istniała epoka brązu i epoka żelaza, a teraz żyjemy w epoce plastiku – komentuje Andrés Cózar, biolog morski i badacz z Uniwersytetu w Kadyksie. – Z roku na rok wzrasta nagromadzenie tworzyw sztucznych, po części dlatego, że Morze Śródziemne jest półzamkniętym systemem morskim.

Morze Śródziemne to jedno z najbardziej zanieczyszczonych tworzywami sztucznymi miejsc na Ziemi.

FOT. WORLD ANIMAL PROTECTION, ECOALF

eprasa.pl 9d8a1fa481

Cózar jako członek hiszpańskiej naukowej ekspedycji oceanicznej o nazwie Malaspina spędził kilka lat na badaniu mórz w różnych zakątkach świata. W projekcie wzięło udział 400 naukowców i 60 żołnierzy marynarki wojennej, a jego celem było precyzyjne określenie wpływu zmian klimatycznych na oceany i zbadanie ich biosfery w najgłębszych wodach. – Badania z Tajlandii i Stanów Zjednoczonych pokazują, że od 25% do 40% sprzedawanych ryb i małży zawiera plastik – wylicza Cózar. – Takie badanie nie zostało przeprowadzone na wybrzeżu Hiszpanii, ale podejrzewam, że wynik byłby bardzo zbliżony.

Według ONZ w 2050 r. 99% ptaków morskich będzie się odżywiać odpadami.

Mimo że zanieczyszczenie mórz jest alarmujące, Cózar znajduje powody do optymizmu – zauważa stopniową poprawę sytuacji i to, że coraz częściej podejmuje się kroki we właściwym kierunku. Podobnie jak WWF ciągle powtarza, że można skutecznie oczyścić Morze Śródziemne i chronić je przed plastikiem. Wymaga to jednak zaangażowania i współpracy wszystkich: rządów, przedsiębiorstw i osób prywatnych.

– Takie inicjatywy jak sprzątanie plastiku z plaż są jak najbardziej potrzebne – mówi Cózar, a oprócz tego wymienia inne sposoby, które mogą zminimalizować zaśmiecanie mórz: ulepszanie technik gospodarowania odpadami, badania nad nowymi materiałami w celu zastąpienia plastiku, zachęcanie wolontariuszy do oczyszczania obszarów przybrzeżnych czy inicjatywy podobne do tej, którą rozpoczęli rybacy w Villajoyosie. Ważne jest też prowadzenie kampanii uświadamiających.

Dowodem na wzrost świadomości ludzi i rządów mają być konkretne działania. Cózar jako przykład wskazuje Maroko, które zakazało używania plastikowych toreb. Marokańskie organy kontroli i ścigania zyskały dodatkowe uprawnienia, co ma zapewnić uszczelnienie przepisów i rozprawienie się z nielegalnymi fabrykami takich toreb i magazynami.

Ekologiczne połowy

Podobnych działań jest coraz więcej. Od 2020 r. we Francji będzie obowiązywał całkowity zakaz stosowania jednorazowych tworzyw sztucznych. Na podobny krok zdecydowała się również popularna egipska miejscowość wypoczynkowa Hurghada.

Przeciętny konsument ryb w Europie może spożywać nawet 11 tys. mikrocząstek plastiku rocznie.

W listopadzie 2018 r. kwestię zanieczyszczenia wybrzeża nagłośnił izraelski bloger Gil Drori, który przez dziewięć dni sprzątał plażę Beit Yanai z plastiku. Chciał w ten sposób uświadomić, jak szkodliwy wpływ na Morze Śródziemne mają plastikowe odpady.

Izrael już od dłuższego czasu stara się prowadzić aktywny recykling – ok. 78% małych butelek i 60% dużych jest poddawanych recyklingowi przez Elah Recycling Corporation.

Włoskie organizacje pozarządowe i społeczność tamtejszych rybaków (wzorem hiszpańskich) zainicjowały pilotażowy program połowów śmieci, a pierwszym regionem, który uczestniczył w tym projekcie, była Toskania. Jej władze we współpracy z Ministerstwem Środowiska, a także z Unicoop Firenze, Legambiente (największym włoskim stowarzyszeniem ekologów) i innymi organizacjami oraz grupą rybaków wyławiały śmieci. W trakcie realizacji tego projektu zebrano 16 ton odpadów. Następnie przeprowadzono podobne inicjatywy wzdłuż innych włoskich wybrzeży, aż po Adriatyk.

Również w Grecji rybacy coraz częściej wyławiają plastikowe odpady z mórz, powstają nowe grupy oraz inicjatywy mające na celu uświadamianie konieczności ochrony śródziemnomorskiego wybrzeża.

Dobre, ekologiczne trendy na szczęście wracają, a coraz bardziej świadomi konsumenci chętnie podążają za nimi. Rośnie bowiem świadomość społeczna. Podczas zakupów konsumenci coraz częściej sięgają po płócienne torby wielorazowe. W Europie Zachodniej, podczas wyborów do PE, spory sukces osiągnęły partie Zielonych.

Ludzie stopniowo zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że mamy wpływ na środowisko, że to, co robimy, co zużywamy, a wcześniej – produkujemy, odbija się na klimacie, zwierzętach, ale i na warunkach życia nas wszystkich. – Musimy uświadamiać ludziom, że pływają w „plastikowym morzu" i że tego rodzaju tworzywa zagrażają naszemu życiu – twierdzi dr Gabriel Gorsky z Obserwatorium Oceanologii w Villefranche-sur-Mer, autorytet w dziedzinie ochrony wód przed zanieczyszczeniem. – Każdy musi przyczynić się do zmniejszenia ilości odpadów z tworzyw sztucznych.

Dlatego tak ważne są oddolne inicjatywy, takie jak akcja rybaków z Villajoyosy czy pomysł Javiera Goyeneche. Jego przedsiębiorstwo, tworząc pierwszą generację wysokiej jakości produktów z recyklingu, stało się punktem odniesienia i inspiracją dla wielu ekologicznych firm. Ecoalf stworzyła kolekcję ubrań i akcesoriów z plastikowych odpadów, ale przede wszystkim zwraca uwagę na stopień zanieczyszczenia morza i pokazuje, jak w innowacyjny sposób można walczyć ze śmieciami.

Tomasz Skowronek

W najnowszym numerze tygodnika „NIE":
Czym się zajmuje syn byłej pani premier.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Drzewa, pasy, pustosłowia

Wszystko jest polityczne, nawet to, co wydawałoby się najbardziej odległe, niepowiązane, oderwane, osobne i nieistotne. Trudno to jednak dojrzeć, choć jest tuż przed naszym nosem. Blisko, bliziuteńko, na wyciągnięcie ręki, na pierwszy rzut oka, na dotyk niemalże.

Ale najpierw napiszę o tym, co nam się wydaje, że jest polityką, a nią nie jest. Polityką nie są przede wszystkim politycy i polityczki (piszę, jak prawdziwy Polak, oczywiście o przypadku Polski). Polityką nie są ich wypowiedzi, komentarze, tyrady, wystąpienia, bon moty, żarciki, bąknięcia do mikrofonu czy przed kamerą. Polityką nie jest obecność w politykopożerczych mediach, to jest dramat mediów. Obecność polityków w mediach jest zresztą łatwo wytłumaczalna – ich elukubracje nic nie kosztują, burzą krew, rozsierdzają innych i wywołują gównoburze. Polityk ma zawsze czas i pogląd, nigdy nie wątpi, że ma coś do powiedzenia, jego elokwencja jest samoodnawialna, regeneruje się jak nastolatki po biegu. Właściwie z tego powinien wypływać wniosek, że dobrze byłoby stworzyć urządzenie, które zaabsorbuje te wykwity energetyczne i przetworzy na energię pożyteczną dla innych, niech to nawet będzie prąd. I choć będzie pochodził ze złej energii, będzie czystszy niż ten z węgla. Odzyskiwanie marnowanej energii z polityków powinno się odbywać w ciszy. Zamiast zwyczajowego sformułowania: „A teraz ma głos...", będzie pobrzmiewać: „A teraz da prąd". Cóż za wzbogacająca zmiana!

Zabijanie na pasach – polską dumą i tradycją. Brakuje słów, żeby to komentować.

Zdeprecjonowanie słowa polityka, i tym samym polityk, polityczka, nie jest oczywiście osiągnięciem ostatnich lat. Pracowano na to dekadami, ale podobnie jak ze zmianami klimatycznymi nastąpił tu wykładniczy wzrost występowania zjawisk skrajnie negatywnych.

Nawet nie chce się wymieniać ostatnich ekscesów, ale to zabójczy obowiązek felietonisty śledzić głupoty wypowiadane przez innych, żeby nie narażać ogółu na egzystowanie w groźnym dla życia i zdrowia natężeniu tychże. Dobra rada wiceministra nauki (byłego już, byłego), żeby dzieciaki, które nie dostały się do żadnej z wybranych szkół średnich, wyjechały uczyć się za granicę. Tromtadracje polskiej ekipy europarlamentarnej o zablokowaniu kandydatury Timmermansa na przewodniczącego Komisji Europejskiej, które cichły, kiedy przedstawiciele PiS odpadali w wyścigu o pomniejsze nawet stanowiska unijne. Wstydu najedli się Beata Szydło i Zdzisław Krasnodębski. W kontekście politycznym i pejzażu Parlamentu Europejskiego z jeszcze większą mocą wybrzmiewa karykaturalność zapewnień i deklaracji w zderzeniu z izolacją, kordonem sanitarnym wokół eurosceptyków, zdziwionych, że potępiane przez nich w czambuł ciało polityczne po prostu ich separuje.

Równocześnie w Polsce narasta zjawisko niedoboru leków, ponieważ prawnie dozwolony jest dużo bardziej opłacalny dla handlujących wywóz wielu preparatów w hurtowych ilościach. Z przygotowanego projektu ustawy o lekach w uchwalonej wersji znikają kluczowe słowa. Wzrasta poza tym liczba aresztowań, od lat nadużywanej formy represji. Żadną miarą nie są regulowane prawa pracownicze zatrudnianych w Polsce Ukraińców i Ukrainek. Przerasta możliwości rządzących zorientowanie się i uwzględnienie w przepisach fenomenu elektrycznych hulajnóg, dzisiaj są one jakby sandałem na nodze pieszego, a nawet całym pieszym. Naprawdę???

Oglądamy więc nieustającą komedię omyłek, nieudolności, nadużyć i braku wyobraźni, a wszystko to okraszone wypowiedziami osób bardzo z siebie zadowolonych i mówiących z pewnością siebie godną lepszej sprawy. Ale dlaczego niby to miałoby dziwić, jeśli działa? Przecież nie ponosi się za to żadnej odpowiedzialności. Ani formalnej, ani politycznej, ani jakiejkolwiek innej.

Dwie kwestie jednak szczególnie mnie bulwersują i niepokoją. Myślę o tolerowaniu złej praktyki uprzywilejowania kierujących samochodami wobec pieszych, w szczególności pieszych na pasach. Polska jest niechlubnym liderem w statystykach śmiertelności pieszych na pasach i nie są to zgony na atak serca. Równocześnie przedstawiciele ministerstwa „wyjaśniają", że zmiany tych przepisów, nakładające na kierujących autami większe obowiązki i ograniczenia w takich sytuacjach, są sprzeczne z polską tradycją, więc nie należy ich wprowadzać. Zabijanie na pasach – polską dumą i tradycją. Nawet brakuje słów, żeby to komentować. Być może po prostu zasługujemy na kordon sanitarny?

Chciałem jeszcze napisać o pladze wycinania drzew, zarówno w lasach, puszczach (ostatnio w Karpatach, Bieszczadach na masową skalę wycinane są stare drzewa), jak i w miastach, gdzie panuje istna mania cięć, wycięć, obcięć i równoczesne zaklinanie rzeczywistości nowymi „nasadzeniami", kiedy nie trzeba żadnej fachowej wiedzy, żeby rozumieć różnicę między znaczeniem i rolą dorosłego drzewa (tlen, cień, ptaki) a sadzonki.

Ale dla naszej polityki to nie są żadne tematy. Bo to żadna polityka jest. Bo to jest władza bez kompetencji i bez konsekwencji. Do czasu.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d8a1fa481

Mateusz Mazzini

Przesuń w prawo, jeśli wierzysz

Religijne aplikacje randkowe mają być przeciwwagą dla internetowych związków bez zobowiązań

Przy rejestracji trzeba koniecznie podać, czy jest się osobą koszerną. To nawet ważniejsze niż sam stosunek do religii, jak się potem przekonałam. Żydem praktykującym wcale nie trzeba być. Można zaznaczyć opcję „gotowy/gotowa do przejścia na judaizm" i to zupełnie wystarcza. Zresztą z tych niewielu osób, które w Polsce korzystają z tej aplikacji, większość i tak nie jest chyba związana z tą religią w jakiś silny sposób. Szybko zorientowałam się, że to głównie młodzi Izraelczycy, biznesmeni czy startupowcy, którzy po prostu chcą kogoś tu poznać – najlepiej z tego samego kręgu kulturowego. Zresztą ze wszystkich, których oglądałam, tylko jeden miał zdjęcie w jarmułce – opowiada Maria. JSwipe'a ściągnęła na swój telefon kilka miesięcy temu. Z nudów. Nigdy wcześniej z aplikacji randkowych nie korzystała, bo nie miała takiej potrzeby – przechodziła z jednego długiego związku w drugi. Kiedy wybuchła moda na Tindera, ona była szczęśliwa ze swoim wieloletnim chłopakiem. – Byłam tak zielona, że nawet nie miałam dobrego zdjęcia profilowego. Nie wiedziałam w ogóle, jakie mogę wrzucić. No bo skoro to aplikacja religijna, chyba nie można wrzucić nic zbyt śmiałego, przynajmniej tak myślałam na początku.

Mazel Tov, jeśli znajdziemy parę

JSwipe to aplikacja randkowa dla osób pochodzenia żydowskiego. Używając jej, trudno zresztą się nie zorientować, dla kogo została stworzona. Literka J w nazwie odnosi się właśnie do słowa *Jewish* (ang. żydowski), a biało-błękitna kolorystyka całej aplikacji wyraźnie nawiązuje do flagi Izraela. Im głębiej wejdzie się w funkcjonalności JSwipe'a, tym odniesień do judaizmu więcej. Jeśli podoba nam się oglądany w danej chwili użytkownik, przesuwamy palcem po ekranie w prawo – na zdjęciu wybranej osoby pojawia się wtedy uśmiechnięta gwiazda Dawida. Jeśli z kolei osoba nie przypadnie nam do gustu, przesuwamy palcem w lewo, a o tym, że kogoś właśnie odrzuciliśmy, informuje nas gwiazda smutna.

Weselej robi się, kiedy znajdziemy parę, czyli przesuniemy palcem w prawo na zdjęciu kogoś, kto zrobił to samo z naszym profilem. Wtedy na ekranie telefonu pojawia się rysunek kilku świętujących postaci i duży napis przywołujący tradycyjny żydowski toast z okazji sukcesu: *Mazel Tov!*

– Założyłam sobie konto trochę dla zabawy, trochę z ciekawości. Rozstałam się z chłopakiem, pierwszy raz od dawna byłam singielką, ale niespecjalnie mi się śpieszyło, żeby kogoś znaleźć – mówi Maria. – Tinder mnie odstrasza, koleżanki cały czas opowiadały mi, że to siedlisko zboczeńców, a większość facetów najpóźniej w trzecim pytaniu będzie chciała wiedzieć, kiedy pójdziemy do łóżka i co tam z nimi zrobię. Nie chciałabym, żeby moje zdjęcie tam się znalazło. Spróbowałam więc JSwipe'a.

Po raz pierwszy aplikacja została uruchomiona w kwietniu 2014 r., na przypadające wtedy święto Paschy. Twórca JSwipe'a, programista i startupowiec David Yarus, chciał za jej pomocą stworzyć platformę łączącą osoby pochodzenia żydowskiego, ale nie tylko te szukające związku czy chcące randkować. Początkowo miała to być hybryda portalu dla biznesmenów i randkowego, kanał poszerzania sieci kontaktów zawodowych i wzmacniania żydowskiej diaspory, a randkowanie miało być tylko punktem wyjścia, sposobem na przyciągnięcie nowych użytkowników. I choć rzeczywiście profile na JSwipie czasem przypominają skrócone wersje CV i listu motywacyjnego, a sami ich właściciele chwalą się, że aplikacja pomogła w stworzeniu co najmniej kilku biznesów w USA i Izraelu, to ludzie używają jej przede wszystkim w celach czysto towarzyskich.

W profilach dla muzułmańskich użytkowników trzeba zaznaczyć, jak szybko chce się wziąć ślub.

– W aplikacjach randkowych dziewczyny mają łatwiej, przynajmniej na starcie. Z reguły jest tak, że zakłada się profil, wrzuca parę zdjęć, ogląda kilkanaście osób, żeby „rozruszać" algorytm i pokazać, że jest się aktywnym użytkownikiem, a potem wystarczy czekać. Reszta dzieje się sama, można odłożyć telefon i za kilkanaście godzin zebrać żniwo w postaci sparowanych facetów – mówi Aleksandra, która JSwipe'a zainstalowała za namową koleżanki z Londynu. – Miałam dość Tindera, bo nikogo ciekawego tam nie mogłam znaleźć. Znajoma powiedziała mi o tej aplikacji, więc spróbowałam. Szczerze mówiąc, w ogóle nie myśla-

eprasa.pl 9d8a1fa481

łam, że to dla Żydów. Bardziej mnie kusiło to, że będą tam osoby z zagranicy, może chociaż poćwiczę angielski.

Najbliższy chłopak w Berlinie

W polskich warunkach JSwipe nie do końca zdaje jednak egzamin. Choć w ciągu pięciu lat od debiutu zyskał już ponad milion użytkowników w 70 krajach na całym świecie, większość jest albo z Izraela, albo z miast z dużą żydowską społecznością – Nowego Jorku, Los Angeles, Chicago czy Londynu.

– Założyłam swój profil, siedząc w knajpie na Powiślu. Kilkakrotnie musiałam zwiększać zasięg poszukiwania, bo blisko mnie nie było ani jednego użytkownika. Po mniej więcej kwadransie wyświetlił mi się pierwszy chłopak, w dodatku niespecjalnie atrakcyjny i przebywający 570 km ode mnie. Dopiero wtedy zrozumiałam, jak bardzo dwuznacznie można to interpretować: jestem w centrum Warszawy, a najbliższego Żyda znajdę w Berlinie.

Aleksandra szybko usunęła profil. Jak mówi, nie miało to większego sensu, bo aplikacja świeciła pustkami. Z kolei Maria JSwipe'a na telefonie zostawiła, ale o nim zapomniała. Parę tygodni później, w czasie weekendowego wyjazdu na południe Polski, aplikacja ożyła. – Miałam chyba szczęście, bo znalazłam jednego chłopaka z Wrocławia, jednego z Gliwic i jednego z Krakowa. Zagadałam, chciałam zobaczyć, kim są, co robią w Polsce. Żaden zresztą nie mówił po polsku, tylko ten ze Śląska mieszkał tu na stałe. Rozwijał start-up informatyczny, szukał programistów. Ale zanim się przedstawił, napisał mi, że to, że nie jestem Żydówką, nie ma dla niego znaczenia. Miał na imię David i śmiał się, że rodzice chcieli zrobić z niego stereotypowego Izraelczyka, a on się nie dał. Powiedział, że jest „świeckim Żydem", a JSwipe to po prostu jedna z wielu aplikacji randkowych, z których korzysta.

Z Davidem wymieniła kilkanaście wiadomości. Nigdy się nie spotkali – ona wróciła do Warszawy, on nie ruszał się z Gliwic, zajęty rozwijaniem firmy. Nie znaczy to jednak, że nie flirtowali. – Zaczęliśmy rozmawiać o ewentualnej randce: w jakim miejscu, co byśmy robili. Zeszło na wybór restauracji i wtedy zrobiło się poważnie. David powiedział, że w grę wchodzi tylko koszerne jedzenie. Zdziwiło mnie to, bo wcześniej dał mi do zrozumienia, że swoją wiarę i cały ten koncept „aplikacji randkowej dla Żydów" traktuje dość luźno, żeby nie powiedzieć nonszalancko. A tu taki zwrot, że musi być koszerna knajpa i koszerne wino. Chyba dlatego w końcu nie udało nam się spotkać.

Trudno ocenić, ilu użytkowników ma w Polsce JSwipe. Ponad 90% osób korzystających z tej platformy ma od 22 do 30 lat, ale bardzo wiele prowadzi mocno ruchliwy tryb życia. Jeśli logują się do aplikacji na terenie naszego kraju, najczęściej są tu przejazdem, na spotkaniach biznesowych lub krótkich wizytach zawodowych.

W skali świata JSwipe i podobne platformy zorientowane na konkretne grupy religijne przestały już być nowym zjawiskiem, a stały się realną alternatywą dla najpopularniejszych aplikacji randkowych, takich jak Tinder, Bumble czy Grindr. Wyróżniają się nie tylko docelową grupą użytkowników odbiorców, ale też sposobem interakcji. Na JSwipie sparowana osoba, czyli taka, którą my zaakceptowaliśmy i która zaakceptowała nas, na naszej liście kontaktów utrzyma się bez żadnej interakcji tylko dwa tygodnie. Potem aplikacja ją usunie. To sprawia, że użytkownicy, którzy zaczną korzystać z platformy, muszą zaglądać na nią regularnie i utrzymywać kontakt ze zdobytymi parami. Nie można po prostu trzymać kogoś na liście par albo zacząć rozmowę i zawiesić ją na wiele tygodni, bo później nie będzie do niej powrotu. Ma to sprawić, że interakcje będą mniej przypadkowe, i zachęcić użytkowników do nawiązywania bliższych znajomości.

W JSwipie na zdjęciu wybranej osoby pojawia się uśmiechnięta gwiazda Dawida.

Tylko poważne oferty

Na JSwipie czy celującym w ten sam profil odbiorców JDate religia często okazuje się tylko tłem rozmowy. Nieco poważniej tę kwestię traktują inne platformy społeczne zaprojektowane dla konkretnych grup wyznaniowych. Widać to zwłaszcza w aplikacjach randkowych dla muzułmanów, gdzie już przy rejestracji pytania dotyczące religijności determinują, kto może nam się wyświetlić jako potencjalna para i kto będzie oglądał nasz profil.

Platform skierowanych do wyznawców islamu jest całe mnóstwo. Do najpopularniejszych należą Muzmatch i buzzArab, mające po około pół miliona użytkowników. Po założeniu profilu na obu platformach trzeba odpowiedzieć na sporo pytań dotyczących naszego stosunku do religii. Jak bardzo jesteśmy wierzący, ile znaczą dla nas tradycje islamu, a nawet czy i jak dobrze mówimy po arabsku. W Muzmatchu trzeba też zaznaczyć, do jakiego odłamu islamu się należy – w aplikacji określone jest to dość nietypowo mianem smaku (ang. *flavour*).

Najwyraźniej różnicę między muzułmańskimi aplikacjami a zwykłymi portalami randkowymi widać w rejestracyjnych pytaniach dotyczących interakcji z innymi użytkownikami. Zarówno Muzmatch, jak i buzzArab czy inne platformy dla wyznawców islamu zawierają pytanie o plany

eprasa.pl 9d8a1fa481

matrymonialne. Dokładnie mówiąc, w profilu trzeba zaznaczyć, jak szybko chce się wziąć ślub, co jasno pokazuje, że nie są to aplikacje randkowe w klasycznym rozumieniu tego pojęcia. Zawierane tam znajomości mają prowadzić do ślubu. Podobnie jak w JSwipie twórcy Muzmatcha stawiają na dłuższą interakcję między zarejestrowanymi osobami, ale w przypadku platform muzułmańskich sugestia co do pożądanego zakończenia relacji rozpoczętej w internecie jest dużo wyraźniejsza.

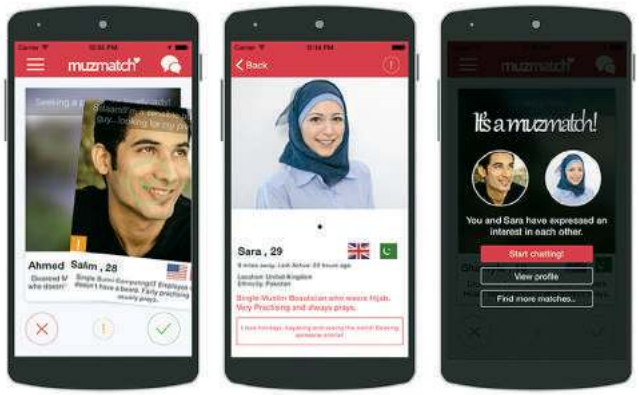

Potwierdzeniem tej tezy jest zresztą popularność innych aplikacji skierowanych do muzułmanów – takich, które od samego początku reklamują się jako platformy do zawarcia małżeństwa, a nie przestrzeń do randkowania bez zobowiązań. Przykładem jest PureMatrimony, zdecydowanie najczęściej używana platforma matrymonialna w świecie islamskim. Dostępna w 50 krajach i 12 wersjach językowych, zgromadziła już ponad 300 tys. użytkowników. Jej twórcy chwalą się, że pomagają w zawiązaniu 50 małżeństw tygodniowo.

Twórcy PureMatrimony chwalą się, że pomagają w zawiązaniu 50 małżeństw tygodniowo.

Bo na PureMatrimony chodzi tylko i wyłącznie o ślub. Nie ma tam miejsca na przygodne znajomości. Już w opisie aplikacji można przeczytać, że została ona oparta na zasadach związku kobiety z mężczyzną opisanych w Koranie. Twórcy PureMatrimony cytują zresztą świętą księgę islamu, przypominając, jak ważna w życiu muzułmanina jest czystość. Tego pojęcia z pewnością nieczęsto się używa w kontekście aplikacji randkowych.

Użytkownicy PureMatrimony, ale też Muzmatcha, ani na moment nie będą mogli zapomnieć o religijnym charakterze aplikacji. Choć ich interfejs jest typowy dla tego rodzaju platform, a funkcjonalności nie różnią się niczym od znanych nawet z Tindera, cały projekt graficzny wskazuje na rolę religii w interakcjach użytkowników. Damskie profile ilustrowane wizerunkiem kobiety w burce, męskie – mężczyzny w białym ubraniu i z brodą. W podobnej estetyce utrzymane są pozostałe przyciski i ikony, a półksiężyc jest tu wszechobecny.

Ucieczka od przymusowego małżeństwa

Zjawisko religijnych aplikacji towarzyskich: randkowych, matrymonialnych czy łączących obie te funkcje, objęło już wszystkie największe grupy wyznaniowe. Swoje platformy mają hinduiści, buddyści, sikhowie. Aplikacji dla chrześcijan w internetowych sklepach jest tyle, że trudno je zliczyć. Najwięcej powstaje w Stanach Zjednoczonych i skierowanych jest do tamtejszych odbiorców, głównie należących do Kościołów protestanckich. Są też jednak portale *stricte* katolickie czy prawosławne.

Popularność tych aplikacji różnie można tłumaczyć. Po części wynika ona z nowych sposobów zawierania znajomości, bez względu na wyznanie i stopień religijności. Randkowanie już dawno przeniosło się do internetu, a przesuwanie w lewo i w prawo zdjęć ciekawiących nas osób jest po prostu najnowszą manifestacją tego trendu.

Za fenomenem aplikacji religijnych kryje się jednak coś jeszcze. Abrar al-Heeti z amerykańskiego portalu CNET zauważa, że szukanie partnera w internecie może pozwolić wielu osobom żyjącym w rodzinach czy zbiorowościach, w których religia wpływa na wszystkie płaszczyzny życia, wyjść poza ich społeczność, nie łamiąc fundamentów wiary. Logując się na platformach przeznaczonych dla muzułmanów, mamy dużo większe szanse znaleźć kogoś, kto pochodzi właśnie z tego kręgu kultury i religii. Do pewnego stopnia potwierdzeniem jej słów są zresztą zamieszczane w internecie komentarze użytkowników. Łatwo znaleźć wśród nich wyznania osób, które dzięki aplikacjom opartym na wspólnej wierze uniknęły chociażby przymusowego, zaaranżowanego przez rodzinę małżeństwa.

W dodatku, jak pisze Abrar al-Heeti, religijne randkowanie na telefonie nie stygmatyzuje użytkowników jako nieudaczników. Osoby szukające męża czy żony w internecie robią to nie dlatego, że w realnym życiu nie znajdują kandydatów, ale by znaleźć jak najwłaściwszych, również pod kątem wiary. Aplikacje zapewniają wówczas dodatkowy filtr. Są także dowodem, że internet ani nie zabił religijności, ani nie narzucił lekkich obyczajów wszystkim jego użytkownikom. Wręcz przeciwnie – być może to sieć jest teraz najbardziej ekumeniczną przestrzenią na świecie.

Mateusz Mazzini

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9d8a1fa481

Oko w oko

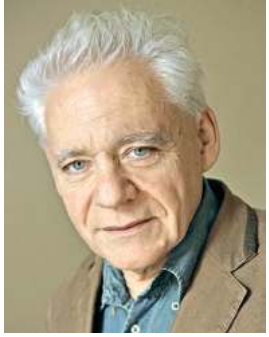

Tomasz Jastrun

Druga pocztówka z wakacji

Nadal na Kaszubach. W brzydkim, małym Choczewie widzę ogłoszenie: „Wielki bieg pamięci. Tropem wyklętych Maks i Aldona". Obłęd z „wyklętymi" trwa. Wszystko proste, wszyscy byli święci, żadnych komplikacji. Stara Kaszubka mówiła mi kiedyś: „Bardziej się ich baliśmy niż Niemców". Nie było tak zawsze, ale tak bywało. A gdzie Armia Krajowa? Już jej prawie nie ma. PiS nie buduje mitów, ośmiesza i zatruwa pamięć o tych, którzy byli naprawdę heroiczni. Jakiś polityk tej partii w związku z konfliktem o Westerplatte mówi: „Przywracamy tylko porządek w pamięci historycznej". Takie wielkie porządki już się zdarzały w XX w. w Europie.

We Władysławowie szpetny pomnik, kropka w kropkę jak pomniki gen. Świerczewskiego. Patrzę, to nowy pomnik – generała, ale Hallera. Miał zasługi dla niepodległości Polski, ale też wkład w zamordowanie prezydenta Narutowicza. Nakręcał propagandę, że Narutowicz został wybrany głosami Żydów. Chorobliwy antysemita. To obsrywanie przez PiS Polski pomnikami jest estetycznym i moralnym dramatem, przecież trudno je będzie w przyszłości usuwać, pomniki zapuszczają korzenie.

•

Zmarła mama Rafała Trzaskowskiego, Teresa. Prawicowe gadzinówki już szczekają, że była agentką. Jego ojcem był od dawna nieżyjący świetny jazzman – Andrzej. Pamiętam, to było jak wczoraj, gdy mama przywoziła małego Rafała, miał siedem lat, na plan filmowy. Występował w serialu dla dzieci, do którego napisałem scenariusz. Grał w nim małego Tomka, więc mnie małego. Być może gdyby nie ten serial, Rafał nie byłby dzisiaj prezydentem Warszawy. A Trzaskowskich poznałem w latach 70. w Chałupach na Helu. Ileż razy bywałem w tej wiosce w młodości… Odwiedzam tam teraz mojego dorosłego syna, który mieszka z dziećmi na polu namiotowym. W kontenerze, nazwanym tu szumnie domkiem, wśród innych „domków" i namiotów. Trochę to przypomina brazylijskie fawele, w ścisku, w nadmiarze ludzi, w bylejakości. Ale taki kontener kosztuje za dobę tyle co pokój w luksusowym hotelu, bo 450 zł. A na parkingu lśnią najnowsze modele porsche. Bo koczują tu niemal wyłącznie maniacy windsurfingu i kitesurfingu. Mój syn pływa na desce. Tego dnia jest silny wiatr i fala na zatoce. Z małego mola piękny widok, setki kolorowych płacht wybrzuszonych przez wiatr, drobinki ludzi ślizgają się po wodzie, niektórzy skaczą, pokonując kilkanaście metrów. To będzie na pewno mój krajobraz roku.

Setki kolorowych płacht wybrzuszonych przez wiatr, drobinki ludzi ślizgają się po wodzie. To będzie mój krajobraz roku.

Jak zwykle, gdy jestem z dziećmi i wnukami, które są w podobnym wieku, gubię się, kim one są dla siebie. I że moja mała dwójka to półbracia mojego syna Daniela, który dziarsko zmierza w stronę pięćdziesiątki. We Władysławowie byłem z Danielem niespełna pół wieku temu, miał trzy lata, pamiętam z tego pobytu tylko jedną scenę: statek kołysze, a on łapie równowagę. Widzę tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. I znowu gubię się w czasie. A miasto okropne, chaos brzydkich budynków, niemożliwy tłok, wszystko kosztuje podwójnie.

•

Jarosław Kaczyński na konwencji PiS woła, że ze strony opozycji trwa wielka ofensywa zła. Wszyscy, którzy nie godzą się z PiS, to zło. My z kolei uważamy, że to PiS jest złem. Myślę, że te dwie wizje są autentyczne i żywe. Wszelkie metody są więc dozwolone, by pokonać przeciwników. Jedni i drudzy stanowią śmiertelne zagrożenie dla Polski, dla nas osobiście, dla naszych rodzin, dla przyszłości. Świetny materiał na krwawą wojnę domową.

•

Ciekocinko – pałac i stadnina koni, a też pałac w Prusewie, z wielkimi obrazami Leona Tarasewicza, które świetnie komponują się ze starymi wnętrzami. W Ciekocinku, naprzeciw pałacowych ogrodów, stoją „czworaki", czyli dawne PGR-owskie parterowe budynki mieszkalne. Pamiętam, w jak strasznym stanie były kiedyś, a teraz poszczególne segmenty dostały nowe dachy, zostały otynkowane, rozkrzewiły się ogródkami. To już nie jest, jak kiedyś, tylko siedlisko upadku i rozpadu.

•

Pan Bogdan to Kaszub i rolnik, wynajmuje pokoje wczasowiczom, ma pokaźny brzuch i oblicze, którym można by obdarować Szwejka. Świetny gawędziarz, a PiS nie znosi. Podobnie jak jego wczasowicze – tak ich dobiera. Mówi: „Niech pan napisze, co mówi burak, prosty człowiek. Opozycja nie ma twarzy, Schetyna się nie nadaje, nie ma charyzmy. Przegrana opozycji nie będzie tragedią, bo wzięcie teraz władzy to jak podebranie kukułczego jaja, wszystko się posypie za trzy lata i spadnie na rządzących. Lepiej poczekać, wygrać prezydenta i Senat, by blokowali ich największe wariactwa i łajdactwa". Nie wiem, czy pan Bogdan ma rację, ale to wizja sprytnego chłopa, co z niejednego pieca chleb jadał.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d8a1fa481

Program telewizyjny „Teleranek", 1974 r. Nz. aktor Andrzej Antkowiak jako Niewidzialna ręka.

Niewidzialna ręka to właśnie wy

Niewidzialni prześcigali się w pomysłach. Budowali, przekopywali ziemię, naprawiali wózki inwalidzkie, łatali dachy i montowali ławki na przystankach

Maciej Wasielewski

Wybrali pierwszego prowadzącego. Został nim aktor Józef Nalberczak. Czasem będę chciał powiedzieć coś od siebie, uprzedził pana Macieja Zimińskiego. Mów tyle, Józuś, ile da się przełożyć na życie.

W niedzielny poranek zaczęło się przedstawienie. W eter popłynęły słowa:

„TU CENTRALNA BAZA NIEWIDZIALNYCH, TU CENTRALNA BAZA NIEWIDZIALNYCH. ZA CHWILĘ PIERWSZE WIADOMOŚCI".

W studiu panował półmrok i dużo trzeba było sobie wyobrazić. Prowadzący uniósł dłoń i powiedział: „witam was, niewidzialni".

Pan Maciej stał za kamerzystą i obserwował.

„Sprawa jest bardzo ważna. O tym możecie wiedzieć tylko wy i my – Sztab Niewidzialnej ręki. Nazywajcie mnie szefem. Ruszamy do akcji. W pogotowiu będziemy cały czas. W sposób niewidzialny pośpieszymy z pomocą wszystkim, którzy pomocy potrzebują. Zawsze – niewidzialnie".

Kiedy wytłumaczył zasady, lektorka przeczytała pierwszy list.

„Mam 78 lat, mieszkam w kamienicy, którą przeznaczono do rozbiórki. Jestem ostatnią lokatorką. Od mrozów pozostaję bez wody, dlatego poszłam prosić o pomoc ludzi z sąsiedztwa. Zainteresował się mną młody człowiek. Decyzję podjął niezwłocznie i naniósł mi na trzecie piętro węgla i wody. Myślałam pójść prosić raz jeszcze, ale patrzę nazajutrz – woda i węgiel pod drzwiami. I bilet niewidzialnej ręki. Wzruszyło mnie to do głębi serca. Podejrzewam, że to ten młody człowiek – nie znam jego imienia i nazwiska. Nosił mi wodę i węgiel przez wiele dni. Z wdzięczności brak mi słów".

Kamera pokazała zapisaną kartkę i zacienione telefonistki, a potem znów objęła Szefa.

„To był list od pani Marii Zając z Krakowa. Podobny nadszedł ze wsi Doły".

Podwórkowe zabawy powoli przeradzały się w ruch.

I znów lektorka czytała:

„Przeżyłem 76 lat i nie słyszałem, żeby taka organizacja Niewidzialnej ręki istniała. Ale się przekonałem. Sąsiad skosił mi zboże, poszedłem kogoś poprosić, żeby mi związał w snopki. Zachodzę do jednego domu, a tam mówią, że snopki przecież powiązane. Poszedłem więc na pole, zobaczyłem – aż popłakałem się z radości. To była niewidzialna ręka.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Innego razu poszedłem do lekarza, wracam, patrzę, a krowa uwiązana na pastwisku. Zachodzę do stajni, a tam wyzamiatane. To była niewidzialna ręka. Po wykopaniu ziemniaków sąsiad mi zbronował pole, żeby wyzbierać ziemniaki. Martwiłem się, jak ja je wyzbieram, bo się nie mogę schylić. Ktoś mi te ziemniaki pozbierał i wsypał do piwnicy. To po raz trzeci była niewidzialna ręka. Życzę jej samych piątek w szkole i dziękuję. I jeszcze raz dziękuję. Michał Gajda, wieś Doły".

Kiedy lektorka umilkła, odezwał się Szef.

„I ja wam, niewidzialni, chcę podziękować. Serdeczny uścisk dłoni. A teraz kilka krótkich wiadomości z listów.

Halo, wieś Minkowskie. Wiemy, że niewidzialny przez całą zimę rąbał i nosił na górę drewno dla pani Iwanickiej.

Halo, Bielsko-Biała. Dziękujemy za naprawę dachu altanki na działce kolejowej.

Halo, Sulęcin! Dziękujemy za drzewo i uporządkowane komórki u pani Siłskiej.

Halo, Jastrzębie-Zdrój! W czasie, kiedy pani dozorczyni wielkiego bloku opiekowała się ciężko chorym dzieckiem, niewidzialni dokładnie posprzątali klatkę schodową.

A teraz jeszcze jeden list. Nadszedł z miejscowości Szudziałowo.

Jadąc do pracy z miejscowości Szudziałowo – czytała lektorka – zostałem zapytany o dokładne godziny przyjazdów autobusów porannych w kierunku Sokółki. Niestety, ani ja, ani nikt nie był w stanie odpowiedzieć. Rozkład jazdy przepadł pół roku temu. Ktoś go zabrał. Stojąca bliżej przystanku kobieta, słysząc naszą rozmowę, ze zdziwieniem stwierdziła, że rozkład przecież jest. Nie wierząc jej słowom, poszliśmy, a było nas kilka osób, zobaczyć, czy mówi prawdę. Rzeczywiście, w metalowej ramce ładnie wypisany był rozkład jazdy autobusów PKS. Wszyscy byli zaskoczeni i nikt na razie nie zauważył zatkniętych w rogu dwóch biletów. Dopiero potem sięgnąłem po dwie karteluszki papieru z napisem »niewidzialna ręka«. Ale było dyskusji i pochlebnych opinii pod adresem niewidzialnych rąk. Musiałem wszystkich pasażerów zapewnić, że napiszę do Was i podziękuję Niewidzialnym w imieniu podróżnych. Załączam bilety i gorąco pozdrawiam niewidzialnych, którzy wykonali rozkład jazdy. Władysław Olchowik, Szudziałowo.

Właśnie takie listy są najpiękniejszym podziękowaniem za wasze działanie", powiedział Szef. „Jeśli i ty chcesz działać z nami, nadeślij zgłoszenie. A teraz pamiętajcie:

NIEWIDZIALNA RĘKA JEST ZAWSZE GOTOWA NIEŚĆ POMOC POTRZEBUJĄCYM. NIEWIDZIALNA RĘKA MOŻE ROBIĆ WSZYSTKO, CO POŻYTECZNE. NIEWIDZIALNA RĘKA ZAWSZE I WSZĘDZIE DZIAŁA NIEWIDZIALNIE".

•

Kamery zgasły, zapaliły się reflektory, twarz Nalberczaka stała się widoczna. I co, dobrze zagrałem? Spojrzał w kierunku pana Macieja. Lepiej, Józuś, nie mogłeś. (...)

•

Niewidzialni prześcigali się w pomysłach. Budowali budy dla psów i opatrywali gołębie. Stawiali ule i rozmnażali drzewa. Przekopywali ziemię i sadzili ziemniaki. Brali się do trudniejszych robót – naprawiali wózki inwalidzkie i spacerówki samotnym matkom. Łatali dachy i montowali ławki na przystankach autobusowych. W Kruszowicach podnieśli mostek tak, by woda go nie podmywała. Jak Zorro rozprawiali się z rzeczywistością i jak on pozostawiali znak. A ludzie starzy, chorzy, niedołężni, wszyscy ci, którym pomoc była potrzebna, uwierzyli, że nadejdzie.

Ludzie starzy, chorzy, niedołężni, wszyscy, którym pomoc była potrzebna, uwierzyli, że nadejdzie.

„Piszę tych kilka słów ze łzami w oczach. Ileż to dobra ma w sercu nieznana mi osoba, a zarazem tak bliska. Jestem starszą samotną kobietą, mieszkam na przedmieściu, mam niedużą działkę. Niedawno wróciłam ze szpitala, byłam tam przeszło miesiąc. Martwiłam się, że nie będę mogła robić. Gdy w niedzielę sąsiadka pomogła mi wyjść, poszłyśmy zobaczyć działkę, a tu takie zaskoczenie. Znalazłam bilet i zrozumiałam wszystko. Nie znajduję słów, jak mogłabym wyrazić swoją wdzięczność osobie, która nie tylko skopała działkę, ale też porobiła grządki, a przy każdej jest tabliczka, co jest zasiane. Zofia Burzyńska z Bydgoszczy".

Być może wiara i wyobraźnia mają ten sam zaczątek.

„Mam 82 lata i choruję na nogi. Sama przy sobie robiłam, ale do sklepu nie szłam. Sklep jest po drugiej stronie strumyka, a mostek za daleko. Byłam zdana na łaskę. Któregoś poranka zobaczyłam kartkę w oknie i bilet. »To jest kładka dla

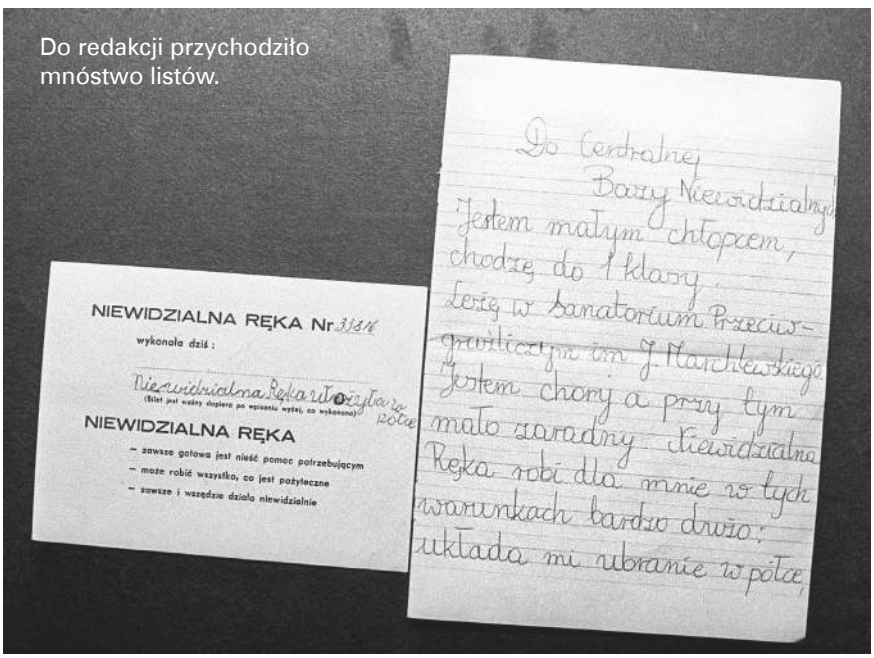

Do redakcji przychodziło mnóstwo listów.

eprasa.pl 9d8a1fa481

pani«. Boże, sama chodzę przez strumyk. Dziękuję najukochańsi niewidzialni. Maria Wąs, Warszawa".

W istocie, pokazywali cuda. (…) Uczynki namnażały się; Poznań, Sulęcin, Ruda Śląska, Łomnica, Kąty Rybackie. Jadwiga Jasny sortowała listy. Z czasem meldunków przychodziło tak dużo, że do ich układania wynajęła emerytki. (…)

Podwórkowe zabawy powoli przeradzały się w ruch. Dziennikarze pisali o bractwie Niewidzialnej ręki, o zakonie niewidzialnych, o dziecięcej solidarności z potrzebującymi. Podobno w paru miastach i wsiach proboszczowie zmienili godziny porannych mszy, bo emisja „Niewidzialnej ręki" spowodowała pustki w kościołach.

A czas płynął i poczynania niewidzialnych nabrały dynamiki. Do '67 r. nadesłano ok. 100 tys. listów, a każdy był zapisem dobrego uczynku.

„Drewno cieniutko porąbane, mleko, chleb i bułki. Schody odśnieżone. W komórce poukładane cegły. Jest mi lżej na sercu, gdy wiem, że ktoś o mnie pamięta. Bardzo się cieszę. Niewidzialna ręka numer 34 093, która mi to zrobiła, zasługuje na moją wielką wdzięczność". (…)

„A teraz wiadomość z Kielc.

Gwiazdka w Domu Małego Dziecka była szczególnie uroczysta. Dzieci otrzymały paczki z zakładów pracy, było wiele delegacji ze szkół, drużyn harcerskich i przedszkoli. Każde dziecko miało w tym dniu kogoś, kto przyszedł wyłącznie dla niego i nim się tylko zajmował. Kiedy wszyscy się rozeszli, a dzieci syte wrażeń poszły spać, jedna z pracownic zakładu spostrzegła, że pod drzwiami leży paczka z biletem niewidzialnej ręki numer 75 762. Zawartość paczki świadczyła o tym, że ofiarodawca podarował dzieciom swoją własną otrzymaną od rodziców paczkę i to nas ogromnie wzruszyło. Był to naprawdę dar serca. Paczkę dostał Piotruś, który nie chodzi od urodzenia. W jego imieniu serdecznie dziękujemy ofiarodawcy i przesyłamy zdjęcie Piotrusia. J. Miarka, dyrektor Domu Małego Dziecka numer 1 w Kielcach".

Pomysłodawca młodzieżowych programów telewizyjnych – Maciej Zimiński, 1969 r.

Jadwiga przypięła fotografię nad biurkiem.

•

Mówicie, że telewizja ma wady. Ano ma. Wysuwacie oskarżenia pod adresem twórców telewizyjnych – przypisujecie nam wzrost postaw biernych u młodych widzów. Zgadza się, panie i panowie pedagodzy, psycholodzy, redaktorzy i towarzysze. Uspokajam: wiele umysłów zatrzymuje się w tym miejscu.

Dziennikarze pisali o bractwie Niewidzialnej ręki, o zakonie niewidzialnych, o dziecięcej solidarności z potrzebującymi.

Pan Maciej wygłaszał odczyt w Radiokomitecie – właśnie przyznano mu nagrodę pierwszego stopnia. Nowy prezes Maciej Szczepański awansował go na szefa programów oświatowych.

Zarazem przekonujecie, że wszystko, co mogą uczynić pedagog z psychologiem, to udzielić przestrogi przed zbadanymi już skutkami negatywnymi. Telewizja niszczy wyobraźnię, mówicie. Daje gotowe, hamuje twórcze myślenie. Telewizja wypacza obraz rzeczywistości – to wasze słowa, koleżanki i koledzy, wasz repertuar klasyczny. Pytanie tylko, czy te negatywne skutki telewizja nieść musi z racji swojego charakteru? Czy problem nie tkwi przypadkiem w waszej, wybaczcie, ograniczonej wyobraźni? Może i wy za dużo telewizji zażywacie? (…).

Znów zebrał gorące oklaski. Tym razem nie miał powodu do złości. Szczepański na koniec uścisnął mu dłoń, powiedział, że mówi za pana Macieja milion niewidzialnych uczynków. Dotychczas nie nagradzali go za pracę, a teraz się posypało – Nagroda Prezesa Rady Ministrów, Nagroda Ministra Obrony Narodowej: „Panu Maciejowi, z uznaniem – Wojciech Jaruzelski".

A potem ta chwila – wiele oczu na to patrzyło. Michał Sumiński podał mu pucharek soku z cytryny. „Żądam, abyś na przekór wiatrom i burzom był zawsze pogodny i radość dzieciom przynosił". Wpiął mu w klapę Order Uśmiechu.

Na czele partii stał już Gierek. Czytałem o życiu na kredyt. „Mandarynki i pomarańcze", coca-cola i dżinsy. Rosły możliwości i rosły potrzeby. (…) Na Woronicza powstały nowoczesne budynki, na Starówce ludzie wrzucali do wielkiej skarbonki datki na odbudowę Zamku Królewskiego. Tymczasem pan Maciej wymyślił nowy program, „Teleranek". W czołówce piał kogut: „kukuryku!".

Coś mu już wyraźnie nie leżało. Pozwalał, by uciekały od niego po-

eprasa.pl 9d8a1fa481

mysły. Z początkiem 1980 r. oddał „Teleranek" Jadwidze Jasny, chyba po to, żeby się krzywić. Co to za język, narzekał. Współczesny. (…)

Cóż, każda bajka dobiega końca. Niewidzialni dorośli i już nie otwartą dłoń podnosili, a dwa palce w V. Rozrzucali ulotki: „SOLIDARNOŚĆ WALCZY".

Pan Maciej chyba nie przewidział, co miało wkrótce nastąpić. Z rezerwą słuchał o porozumieniu wewnątrz społeczeństwa i o robotnikach – mówili o samostanowieniu, o zrzeszaniu się, ogłaszali, że są siłą sprawczą, mają w planach zmienić kraj, Europę i świat. Pan Maciej poczuł się ograbiony. Pisał jeszcze „Niewidzialną rękę" i pisał nowy scenariusz programu dla najmłodszych. „Już za chwileczkę, już za momencik, »Piątek z Pankracym« zacznie się kręcić". Jak Ezop posługiwał się opowieściami. (…)

A potem nastała zima '81. 12 grudnia Zimińscy z młodszym synem Bartkiem snuli plany: w niedzielę wyjdziemy na sanki, a na obiad ugnieciemy leniwe. Albo usmażymy placki, jak wolisz. Skleimy czołg, a rano obejrzymy „Teleranek".

Jadwiga Jasny przygotowała temat: zlot czarownic na Łysej Górze. Wybrała piosenkę: „trzynastego, wszystko zdarzyć się może".

Nocą oddziały wojska i milicji zajęły budynki Polskiego Radia i Telewizji. Funkcjonariusze Departamentu „T" przerwali łączność. O piątej nad ranem nadano ostatni radiowy serwis informacyjny: „patriotyczne siły społeczeństwa polskiego coraz bardziej zdecydowanie domagają się udzielenia wrogom socjalizmu takiej odprawy, na jaką zasłużyli swymi występnymi działaniami".

Rano pan Maciej włączył Bartkowi telewizor. „Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zwracam się do was jako żołnierz…".

Od razu pojechał na Woronicza. On i jeszcze 11 pracowników otrzymało przepustki. Przez całe popołudnie krążył między mundurowymi i badał nastroje. Usłyszał, że odtąd program układać będą wojskowi.

Przestraszył się, że jacyś nadgorliwcy zrobią krzywdę jego niewidzialnym. Kiedy już mógł stanąć przed kamerą, słowa wypowiadał spokojnie: „Drodzy niewidzialni, wasza misja dobiegła końca. Zwalniam was z tajemnicy. Czasy nastały niepewne i choć pomoc jest nadal potrzebna, to odtąd musicie pomagać jawnie".

Nie złożył legitymacji. Twierdził uparcie, że jego uczciwości nie trzeba sprawdzać. Za to na drzwiach redakcji Telewizji Dziewcząt i Chłopców wywiesił kartkę: „Sprawdzono, nie straszy".

Wielu kolegów układało się z Solidarnością – jedni z wiarą i nadzieją, drudzy z wyrachowania. Byli i tacy, którzy mijali go na korytarzu jak obcego albo obmawiali. Jesteś po drugiej stronie. Nie jestem. Odwracasz oczy od tego kurewstwa. Całe życie sprzątam po kurewstwach. Z początku ciągnął za rękaw, pytał: czyje te połatane dachy? Stalinowskie, Gomułkowskie, Gierkowskie, Solidarności, Jaruzelskie czy nasze? Ale nie chcieli go słuchać. Byli jak ryby w ławicy.

Czuł, że wypada na aut. Miał żal do kolegów, że nagle znaleźli się po drugiej stronie. Ich postawa, mówił, wroga postawa, wydaje się sprzeczna z postulatami Solidarności. Jaki sens ma wasza rewolucja, skoro walczycie z uciskiem, a odpowiadacie dyskryminacją? Jaki sens ma wasza demokracja, skoro nie dopuszczacie innego widzenia? Siłą was nie przekonam, ale to już na starcie skazuje was na porażkę.

Pisał dalej ten swój „Piątek z Pankracym". „Pamiętaj, kiedy człowiek znajduje się w ciężkim położeniu, ma kłopot, jakąś tragedię, nieszczęście, nie wolno nigdy temu obojętnie się przyglądać. Nie wolno przechodzić obojętnie obok kogoś takiego. Pamiętaj. Zawsze pamiętam, proszę pana".

Zmiany, jakie zachodziły w jego życiu zawodowym, godziły w najczulszy punkt. Był człowiekiem zaradnym, opiekunem stada, a stado się kurczyło, widział to w tabelkach, i narastała w nim niechęć. Czerwiec '89 spędzał z panią Joanną i Bartkiem w Gulczewie, gdzie mieli domek letniskowy i gdzie uciekali po swobodę.

„Proszę państwa, 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm".

Pan Maciej siedział przed telewizorem, moczył stopy w misce i nie wierzył. A to bal! Kiedy zaszło słońce, kilku pijaczków podeszło do płotu; wznosili toasty. On wypił za demokratów: żeby nas poznali.

„Przeżyłem 76 lat i nie słyszałem, żeby taka organizacja Niewidzialnej ręki istniała. Ale się przekonałem".

Nowi ludzie stanęli na czele nowego porządku, a jesienią Lech Wałęsa pojechał do Waszyngtonu. (…) Wkrótce zaczęła się Ameryka. Postulaty Solidarności topiły się w dyskusjach i awanturach. Lech Wałęsa tłumaczył: „Nikt z nas, ja też, nie ma gotowych rozwiązań. Jeśli spokój jest u góry, to na dole jest wojna. Dlatego zachęcam państwa do wojowania".

Który to już raz, srożył się pan Maciej. Trzymał się swojego zdania jak dziecko rękawa. (…)

Po wyborach wiele się zmieniło w telewizji. Przyszedł nowy prezes Andrzej Drawicz i poprosił pana Macieja do gabinetu. Powiedział, że wyczerpała się formuła jego programów. Pańskie zabawy, tłumaczył, nie przystają do nowych czasów. Pan Maciej pozwolił sobie wtedy na uwagę: okazywanie życzliwości jest, z tego co wiem, kategorią uniwersalną. Spytał, co to za czasy idą, do których nie przystaje ludzka życzliwość? A że nie usłyszał odpowiedzi, to zabrał worki z listami – ile weszło – do fiata 500. W magazynie rekwizytów pod stertą śmieci znalazł Misia Uszatka, najlepszego przyjaciela Misia – Zajączka i kilka lalek, które leżały pokotem. W koszu na śmieci tkwiła pacynka Pankracego z naderwaną głową. Skurwysyny, skurwysyny, powtarzał szeptem. Wkrótce Wielka Kartoteka poszła na przemiał.

Pan Maciej spytał, co to za czasy idą, do których nie przystaje ludzka życzliwość.

Fragmenty książki Macieja Wasielewskiego *Niewidzialna ręka*, Wielka Litera, Warszawa 2019

FOT. MIROSŁAW STANKIEWICZ/TVP/EAST NEWS (2), ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS

eprasa.pl 9d8a1fa481

VINCENT CASSEL
– francuski aktor, reżyser i producent filmowy, laureat Cezara, znany z ról w takich filmach jak „Nieodwracalne", „Purpurowe rzeki", „Ocean's Twelve: Dogrywka" i „Ocean's Thirteen", a także „Czarny łabędź".

Rozmawia Joanna Orzechowska

Od złego bohatera do obrońcy Amazonii

Jestem fanem Instagrama – dzięki niemu można dobrze żyć i kontrolować swój wizerunek

Film z pana udziałem zamykał z pompą tegoroczny festiwal w Cannes. Gwiazdy w koliach za setki tysięcy euro oglądały społeczną komedię o autykach, w której wcielił się pan w rolę pracownika organizacji pozarządowej. Czy to nie paradoks?

– Owszem, lecz paradoks bardzo pożyteczny – w końcu stowarzyszenia pozarządowe istnieją w dużej mierze dzięki darom osób prywatnych. Początkowo zgodziłem się na udział w filmie „Poza normą" ze względu na osobowość reżyserów – Érica Toledana i Oliviera Nakache, ale ostatecznie przekonało mnie do niego spotkanie z wolontariuszami działającymi w stowarzyszeniu zajmującym się osobami dotkniętymi autyzmem. To wspaniali, bezinteresowni ludzie, którzy potrafili nadać sens swojemu życiu. Wszyscy powinniśmy od nich się uczyć.

W tym roku premierę mają cztery filmy z pana udziałem. Czy po 30 latach kariery aktorskiej nie potrafi pan zwolnić?

– Wszyscy uważają, że kręcę jeden film za drugim – nic bardziej mylnego! To często kwestia terminów, tak było i tym razem. Niektóre filmy czekają na premierę, innym udaje się je wyprzedzić w kolejce – to meandry umów z dystrybutorami. Nie we wszystkich tytułach zagrałem też główną rolę – to wiele zmienia. Kino nie wypełnia całego mojego życia i naprawdę często jestem na wakacjach. Nie narzekam.

Należy pan do nielicznych aktorów we Francji, poza Marion Cotillard, którym udało się zrobić karierę w Stanach Zjednoczonych. Hollywood to dla pana spełnione marzenie?

– Nie mogę powiedzieć, abym zrobił wielką karierę w Hollywood – w Ameryce zagrałem w filmach Davida Cronenberga i w „Czarnym łabędziu" Aronofsky'ego, który wprawdzie triumfował w trakcie Oscarów, ale na pewno nie zalicza się do typowych produkcji hollywoodzkich. W Stanach grywałem często role, które mnie interesowały, ale które nie miały nic wspólnego z gwiazdorstwem. Nigdy nie liczyłem zresztą na jakąś wielką amerykańską karierę. Nieważne, gdzie się pracuje, liczy się to, z kim i przy jakich dziełach. Wybrałem inną drogę – zamiast czekać na superprodukcje zza oceanu, które obejrzą miliony widzów na świecie, wolę grać w filmach realizatorów z całego świata. Dzięki tym rolom, nawet

eprasa.pl 9d8a1fa481

drugoplanowym, udało mi się dotrzeć do publiczności Australii, Azji czy Indii. I Chin, które są ogromnym potencjalnym rynkiem, gdzie ludzie znali dotąd wyłącznie Sophie Marceau. Nie pamiętam już nawet, w ilu językach grałem – oczywiście uczyłem się dialogów w sposób fonetyczny, ale osiągnąłem zamierzony cel: jestem znany i otwierają się przede mną wciąż nowe drzwi. Dzięki rolom poznałem niezwykłych ludzi i zakątki świata, których zapewne nigdy sam bym nie odkrył. Uwielbiam różnorodność – ludzi i kultur. To ciągła przygoda, pozwalająca mi zachować entuzjazm i pasję. W najbliższym czasie rozpoczynam zdjęcia do chińskiego filmu w Australii.

Co po tylu latach pana motywuje?

– Wybrałem ten zawód, ponieważ nie znoszę powtarzalności i rutyny. Nawiasem mówiąc, wcześniej próbowałem cyrku, pragnąłem panować nad moim ciałem. Jestem pasjonatem – niosą mnie pasja życia i pasja twórcza. Aktorstwo pozostaje dla mnie wyzwaniem, ucieczką od stabilności i nudy. Dzięki niemu mogę też eksplorować nieznane mi strony mojej osobowości, odnawiać się i wciąż odkrywać – siebie i innych. Daje mi to poczucie wolności twórczej i osobistej. Muszę czuć się wolny. Poza tym to także świetna zabawa. Wie pani, mam 52 lata i nie chcę już sobie zaprzątać głowy problemami – chcę się bawić i zachować moją ciekawość i radość życia.

Mieszkał pan przez wiele lat w Brazylii – to również ucieczka od rutyny?

– Brazylia przyszła do mnie wraz z filmem „Czarny Orfeusz", który jako dziecko obejrzałem z ojcem. To był wstrząs – tak narodziła się moja ogromna fascynacja tym krajem. Kiedy po raz pierwszy poleciałem tam w wieku 19 lat, powtarzałem sobie tylko: oby Brazylia była taka jak na ekranie, oby mnie nie zawiodła. Na szczęście okazało się, że jest jeszcze wspanialsza niż w filmie, że rzeczywistość przerasta moje wyobrażenia. Za każdym razem kiedy opuszczam Brazylię, myślę: Boże, pozwól mi tu powrócić. To mój raj na ziemi. Obecnie zanosi się na dłuższą nieobecność.

Od niedawna bowiem znowu jestem rezydentem Francji i tu mieszkają moje dzieci (dwie córki z małżeństwa z Monicą Bellucci – przyp. JO). Niedawno też się ożeniłem, moja żona jest Francuzką i na świat przyszła nasza córeczka Amazonie. Zanosi się więc, że stanę się na nowo Francuzem i osiądę tu na dłużej.

Często gra pan postacie kontrowersyjne. Czy dlatego, że fascynuje pana ciemna strona ludzkiej natury?

– To wspaniałe, że już po 35 latach wyciąga się taki wniosek (śmiech). Tak, mogę powiedzieć, że pociągają mnie bohaterowie noszący w sobie tajemnicę, z wewnętrznymi ranami, tacy, którymi kierują często mroczne instynkty. Nie lubię osób gładkich.

Ważne nie to, gdzie się pracuje, ale z kim i przy jakich dziełach.

W aktorstwie fascynuje mnie to, że poprzez postacie mogę docierać do najgłębszych i często najciemniejszych zakamarków ludzkiej psychiki, które ukrywamy także przed samymi sobą. Manipulacja, przemoc, gra w dominację – nikt nie chce o tym mówić, ale takie instynkty drzemią w prawie każdym człowieku. Wszyscy jesteśmy wielką zagadką. Fascynuje mnie docieranie do źródeł zła, również do moich własnych cech, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Uwielbiam szukać katalizatorów ujawniających nasze tajemnice, szczególnie nieakceptowane przez nas samych. Może to być pozornie banalny wypadek losowy, spotkanie. To nad tym pracuję w moich rolach, jednocześnie starając się za każdym razem odnaleźć w nich cząstkę samego siebie, wykorzystać cechy mojej osobowości, które często są dla mnie odkryciem. Zadaję sobie wtedy pytanie, jak to się stało, że reżyser wiedział o czymś, czego sam nie podejrzewałem. Być może na tym polega geniusz twórczy? To tego szukam w aktorstwie – pragnę zgłębiać tajemnice ludzkiej natury.

Mam 52 lata i nie chcę już sobie zaprzątać głowy problemami.

Pana bohaterowie nie posługują się jakimkolwiek kodem moralności. Są nielojalni, zdradzają.

– Aby kogoś zdradzić, trzeba najpierw kogoś kochać albo być kochanym. Inaczej nie mamy do czynienia ze zdradą. Tak czy owak od samych początków cywilizacji ludzie zdradzają albo są zdradzani – moi bohaterowie nie są więc wyjątkami. Zgadzam się jednak, że w ich przypadku mamy często do czynienia z kondensacją zła – odbija się w nich jak w krzywym zwierciadle. Oczywiście wszystko jest kwestią proporcji i motywacji, nie zapominajmy, że tzw. normalny świat też bynajmniej nie jest rajem.

We Francji nakręcił pan ostatnio „Władcę Paryża", w którym zagrał pan bandytę Vidocqa, jedną z najważniejszych postaci systemu władzy.

– Tytuł zainteresował mnie, ponieważ nawiązuje do tradycji nieco zapomnianych już dziś filmów z gatunku płaszcza i szpady. Jest jednak dużo bardziej współczesny – mroczny i przewrotny. Tego typu filmów – epickich, kostiumowych, opowiadających o przygodach niebanalnych bohaterów, już się nie robi. Zdecydowałem się na zagranie roli Vidocqa, ponieważ jego postać pozostaje wyjątkowa jeszcze i dziś. Trudno sobie przecież wyobrazić, żeby współczesny bandyta został przewodniczącym Senatu.

Wcześniej zagrał pan gangstera Mesrine'a. Mesrine i Vidocq są we Francji postaciami mitycznymi. Skąd ta fascynacja?

– Mesrine był gangsterem totalnym – wrogiem publicznym numer jeden, który rzucił na kolana aparat całego państwa. Ono z kolei zemściło się, zabijając go jak psa. Vidocq to z kolei bandyta, któremu udała się rzecz niesłychana – stanął na czele tajnej policji. To legenda. Już w XIX w. Balzak i Victor Hugo używali go w swoich dziełach jako archetypu – Vidocq stał się mitem już za życia, uosabiał marzenie. Był kimś absolutnie wolnym, nie znał przeszkód – nikomu innemu nie udało się uciec 27 razy z najcięższego więzienia we Francji! To nie był bandyta w pełnym tego słowa znaczeniu – oscylował na pograniczu dwóch światów, ale wybrał służbę państwu, aby wykupić swoją wolność. Dodam, że w tamtej Francji, za czasów Dyrektoriatu, było to możliwe, ponieważ po rewolucji

eprasa.pl 9d8a1fa481

Ocean's Twelve: Dogrywka

francuskiej wiele ważnych stanowisk zajmowali ludzie wywodzący się z najniższych warstw społecznych. Dziś, mimo że mamy demokrację, jest inaczej.

We „Władcy Paryża" pada stwierdzenie: „złodziej pozostanie na zawsze złodziejem". Ludzie mogą się zmienić czy pozostają na zawsze sobą? Czy pan sam ewoluował jako artysta i człowiek?

– Nie sądzę, żebyśmy mogli radykalnie się zmienić, w każdym razie nie bez wytężonej pracy i wielu poświęceń. To wyjątkowo trudne wyzwanie. Jak bowiem zmienić naszą naturę, wszystko, co sprawia, że jesteśmy sobą? Myślę raczej, że z wiekiem i z upływem czasu uczymy się akceptować samych siebie, ewentualnie korygując tę czy inną cechę.

Nawet najbardziej fantastyczne role należy budować, opierając się na rzeczywistości.

sam staram się pozostać sobą – być wiernym temu, co odczuwam, mojemu wewnętrznemu „ja". Nie zawsze bywało to proste, ale dziś mogę powiedzieć, że osiągnąłem wewnętrzny spokój i idę drogą, którą wybrałem. To najważniejsze.

Czym kieruje się pan przy wyborze ról? Co jest ważne – postać czy reżyser?

– Bez najmniejszej wątpliwości – reżyser. Pragnę, aby mnie zaskoczył. Musi być kimś wyjątkowym, posiadającym swój własny świat i wizję rzeczywistości. Kimś, kogo nie muszę rozumieć – jego tajemnica staje się dla mnie wyzwaniem.

Kino nie wypełnia mi całego życia i naprawdę często jestem na wakacjach. Nie narzekam.

Czasami udaje nam się schować pazury, wytonować, ale nasze głębokie „ja" pozostaje wciąż to samo. Aby móc stać się kimś innym, w założeniu lepszym, należałoby móc rozpocząć wszystko od nowa: zmienić otoczenie i kontekst, skorygować schematy, według których działamy. Czy można jednak np. całkowicie wyleczyć się z traum dzieciństwa? To bardzo skomplikowane pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Ja

Chodzi o to, aby mnie z sobą porwał. Z biegiem lat dochodzę jednak do wniosku, że nawet najbardziej fantastyczne role należy budować, opierając się na rzeczywistości – należy starać się nadać im realność, muszą zawierać prawdę zdeterminowaną przez psychologię postaci. Zadanie polega na zbliżeniu się do prawdy istoty ludzkiej jako takiej, nawet jeśli wizerunek nas samych, jaki posiadamy, rzadko odpowiada wizerunkowi naszej osoby, który posiadają inni.

Pomówmy o wizerunku – jest pan bardzo często obecny na Instagramie, sam i w towarzystwie żony (ślub z młodszą o ponad 30 lat modelką Tiną Kunakey wywołał wiele krytycznych uwag – przyp. JO). Czy w ten sposób prowadzi pan swój intymny dziennik?

– Instagram jest jednym z wirtualnych narzędzi, które oferuje nam współczesny świat. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że można dzięki niemu zupełnie dobrze żyć i że pozwala, co bardzo ważne, na kontrolę naszego wizerunku. Dzięki Instagramowi mogę np. wyeliminować paparazzich – zamieszczam w sieci zdjęcia i wideo, które sam wybieram i które przedstawiają estetyzującą, wysublimowaną stronę mojego życia. Image stanowi nieodłączną część kariery każdego aktora. Instagram ma przy tym coraz więcej odbiorców – dziennikarze i publiczność często operują wybranymi przeze mnie zdjęciami, a po kolejnych takich działaniach zgłasza się do mnie coraz więcej osób – właśnie o to chodzi. Instagram dostarcza mi też przeżyć czysto artystycznych – organizuje konkursy filmów, festiwale, jest ludyczny, wciąż się rozwija. Korzystają z niego osoby, które nigdy nie chodzą do kina, dzięki niemu można więc nawiązać z nimi kontakt. Naprawdę jestem jego fanem!

Istnieje też Vincent Cassel, który walczy z barbarzyńską eksploatacją amazońskiej puszczy i sprzeciwia się budowie zapory wodnej Belo Monte w Brazylii. Jak narodziło się to zaangażowanie?

– Jak już powiedziałem, od 35 lat mieszkam w Brazylii. Kocham ten kraj, mimo że boryka się z mnóstwem problemów. Jeśli skorumpowane władze zniszczą Amazonię i naturalne środowisko, Brazylia, jaką znałem, przestanie istnieć. Dlatego z moim przyjacielem reżyserem Janem Kounenem zrealizowaliśmy krótki film na ten temat – to moja cegiełka w walce o przyszłość, nie tylko Brazylii, ale również moich dzieci.

Joanna Orzechowska

FOT. REX/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9d8a1fa481

Magnetyzm Antosia

Edward Mikołajczyk

Jak dawniej kuciem kos przed żniwami, gromadzeniem zapasu sznurka do snopowiązałek i stosownych haseł w rodzaju „Każdy kłos na wagę złota", tak dzisiaj, w połowie lipca, nasza ludność, w tym chłopi z Marszałkowskiej, zajmuje się głównie układaniem koalicji. Nie powiem, co z tego wychodzi, bo znowu redaktorka się skrzywi.

Na razie tylko jednemu Antosiowi z Bielan udało się coś zawiązać, choć, prawdę mówiąc, kogut ten w ogóle nie umie „rozmawiać z Polakami". Po informacji w gazecie ludzie zgłosili się ochotniczo, żeby obronić ptaka przed zarżnięciem, i tak ta koalicja powstała.

Bielany to część kiedyś rozległej wsi Pólków, która zmieniła nazwę, kiedy przeszła na własność kamedułów, bo tak sobie zażyczyli nowi właściciele, zakonnicy noszący się na biało. Do Warszawy wieś przyłączono w roku 1916, Antoś naraził się zaś tutejszym mieszczanom, bo piał już o czwartej rano. Zamiast worka pszenicy i podziękowań za czujność od lokatorów blokowiska Antoś dostał od straży zakaz używania tego, co ma najpiękniejsze, bo ktoś na niego doniósł. Straż dzisiaj się wypiera, że żądała dekapitacji, ale wiadomo, że spuściła z tonu, dopiero kiedy koalicja pokazała muskuły, a Mazowsze przypomniało mieszkańcom Bielan, skąd ich ród. Co światlejsi uznali, że przyda im się jeszcze żywy kogut, bo nikt w zastępstwie nie zapieje na konieczną odmianę.

Kogut ma przewagę nad innymi ptakami w herbach. Niełatwo mu dorysować drugą głowę, co różne narody zrobiły np. orłu.

Przeglądam listę koalicjantów, którzy się skrzyknęli w obronie Antosia bez uprzedniego wygłaszania partyjnych zaklęć do kamery telewizyjnej, i widzę, to znaczy nie widzę nikogo ze stronnictwa, w którym nosi się koniczynkę w klapie, zamiast pieścić koguty, które od wieków przepowiadają pogodę na wsi i dają znać, kiedy należy wyjść w pole. Ta nieobecność bije w oczy i kryje poważną przestrogę dla przyszłych poszukiwaczy sznurka do zawiązywania następnych koalicji.

Antoś ma charakter i dobre CV. Kurczęciem będąc, wpadł do baseniku i jeszcze chwila, a by się utopił. Był zimny i ledwo oddychał; jak mówiła właścicielka reporterowi stołecznej „GW", wygrzała go pod piersią, a później pod kołdrą. Kto ma za sobą takie przeżycie, zapomina o strachu i słucha tylko zewu własnej krwi. Nie zważa nawet na śmiertelne niebezpieczeństwo. Prze do czynu, pieje, skoro świt, choć wokół zawiązują się spiski na jego życie.

W tym zachowaniu Antosia powinni znaleźć podpowiedź polityczni sztabowcy, trawiący czas na deliberowaniu, zamiast organizować „poruseństwo", jak mówi pewien gazda. Ludzie stanęli za Antosiem, bo ich zabolało, co mu grozi. Obronili jego prawo do życia i radosnego piania. Dlaczego nie potrafią tego zrobić w odniesieniu do siebie, w obliczu zagrożenia własnej wolności?

Kogut w ogóle zasługuje u nas na więcej szacunku. Narodowe święto Francuzów jest dobrą okazją do upomnienia się o tego ptaka, a właściwie byłoby, gdyby nie pewien incydent na kilka dni przed obchodami. Francuski Chantecler o imieniu Maurycy sam ledwie uszedł z życiem, chociaż budził nie śpiących w mieście, tylko przyjeżdżających na wieś. Poza tym piał dwie godziny później niż Antoś na Bielanach, ale i to go nie uchroniło przed oskarżeniem.

Francuzom zazdroszczę, że zburzyli Bastylię w lipcu, kiedy przyjemnie się świętuje, co nam nie wyszło 4 czerwca, bo niestety zawiodła dostawa krwi i nie odebrano życia żadnemu „żołnierzowi wyklętemu". Nie zazdroszczę im koguta, bo mamy swojego, a ich, jak się zdaje, wylądował na godle dość przypadkowo, podczas rewolucyjnej zawieruchy. Mogło coś się pomieszać, bo po łacinie *gallus* to zarówno kogut, jak i mieszkaniec Galii.

Kogut ma przewagę nad innymi ptakami w herbach. Niełatwo mu dorysować drugą głowę, co różne narody zrobiły np. orłu, albo wetknąć w szpony jakieś żelastwo, a nawet dokleić ciężarek do ogona. Po odlocie Antosia (chyba do ks. Drozdowicza w Lasku Bielańskim) potrzebujemy nowego ptaka. Radzę zarekwirować Francuzom, żeby sobie nie myśleli, że tylko państwom starej Unii wszystko wolno. Wart polecenia jest także kogut muzułmański. Kiedy Prorok ujrzał go w pierwszym niebie, był tak wielki, że grzebieniem czesał drugie. Ten egzemplarz zabójczo pieje. Wyrywa ze snu „wszelkie stworzenie" z wyjątkiem człowieka. Na Bielany jak ulał. ■

FOT. DEMOTYWATORY.PL

eprasa.pl 9d8a1fa481

KURTYNA W GÓRĘ

DOOKOŁA WOYZECKA

Dramat Georga Büchnera od lat fascynuje reżyserów. Brak zakończenia, szkicowość ujęcia i wpisany w los bohatera rys tragizmu przykuwają uwagę. Mimo pozornej prostoty fabuły: biedny fryzjer, odkrywszy zdradę żony, w desperacji morduje niewierną, a sam staje się ofiarą nagonki. W adaptacji, a właściwie w nowym utworze napisanym przez Marcina Ceckę na podstawie dramatu Büchnera, te wątki społeczne zniknęły. Ich miejsce zajął interesujący reżysera problem dorastania i mierzenia się z wzorcem męskości. Żonę zastąpiła nadopiekuńcza, dominująca matka (wyśmienita rola Marii Maj), a kolegów z wojska rówieśnicy z kapeli garażowej. W dramat włączone zostały bowiem także piosenki zespołu Gówno (który nosi tu bardziej nobliwą nazwę Łupież), ilustrujące rozterki wieku dojrzewania. Powstał spektakl ciekawy, choć niejako obok dramatu Büchnera, ale wykorzystujący fragmenty jego dialogów.

Cecko dopisał do tekstu poruszający poemat „Logika psa", najwyraźniej przenośnie ujmujący okres „zrywania się ze smyczy" młodego człowieka, odkrywania swojej indywidualności. W roli tak odmienionego Woyzecka obiecująco debiutował student aktorstwa Mateusz Górski, a jako jego *alter ego* – odległy wzorzec i tajemniczy mentor, pojawiała się postać androgyniczna, którą niepokoił młodego bohatera Tomasz Tyndyk. Przedstawienie budzi ciekawość również za sprawą zbudowanego przez Grzegorza Jaremkę, laureata Nagrody Debiut TR, oryginalnego języka teatralnego, służącego opisowi męskiej tożsamości.

Tomasz Miłkowski

„Woyzeck" według sztuki Georga Büchnera, przekład Sława Lisiecka, dramaturgia Marcin Cecko, reżyseria Grzegorz Jaremko, scenografia Natalia Giza, TR Warszawa, premiera 10 maja 2019

NA POWAŻNIE

W OBRONIE WYKLUCZONYCH

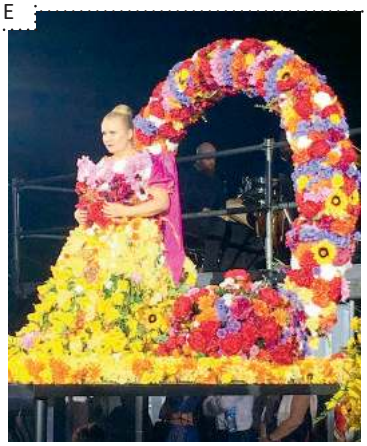

„Paria" Moniuszki zyskała w Poznaniu nowe oblicze. Przestała być staroświecką operą, przekształciła się w przypowieść o bezsensie wykluczania kogokolwiek. Spektakl maksymalnie zaktywizował widownię – nikomu nie pozwalano usiąść, publiczność, jak w happeningu, została zmuszona do uczestnictwa w przedstawieniu i do przemieszania się z wykonawcami. Nie robiono więc różnicy między chórem żołnierzy, braminów czy kapłanek, wszystkich solidarnie przepędzano z jednej części hali sportowej Arena do drugiej. Przy okazji można było obejrzeć miejsca odsiadki najbardziej napiętnowanych, takich jak Homo, Zdrajca, Obcy, Menda, Ateistka, Lewaczka itd. Inscenizację można obejrzeć na platformie streamingowej Operavision.

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Moniuszko, „Paria", kierownictwo muzyczne Gabriel Chmura, reżyseria Graham Vick, Teatr Wielki w Poznaniu, premiera 28 czerwca 2019

MIĘDZY OKŁADKAMI

Lina Bengtsdotter
OBCA

tłum. Marta Rey-Radlińska
Burda Książki, Warszawa 2019

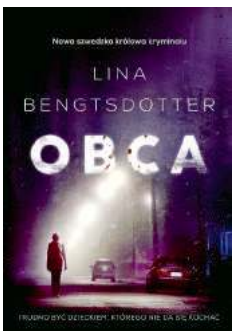

Maleńka, zapyziała miejscowość, z której chce się uciec, bo „marzenia są w mieście". Charlie uciekła – od biedy, od szalonej matki, do której miała się za nic nie upodobnić. I od czegoś jeszcze. Ale Gullspång nie daje o sobie zapomnieć. W „Annabelle", pierwszym kryminale z inspektor Charlie Lager, sprawa zaginionej dziewczyny obudziła upiory przeszłości, a „Obca" pozwala im hasać w najlepsze. Lata przed zniknięciem Annabelle w okolicy doszło do innego, niewyjaśnionego nigdy zaginięcia nastolatki, tym razem z bogatej, dbającej o pozory rodziny. Obie książki mówią o wyobcowaniu, boleśnie osobne są i policjantka, i dziewczyny, których los próbuje poznać, zwłaszcza ta z „Obcej", przekonana, że jej jedyny przyjaciel nie popełnił samobójstwa. W Sztokholmie ludzie żyją (i umierają) niewidzialni dla reszty, ci na biednej prowincji zapijają brak perspektyw. Tak, tu też jest pijacka ławeczka pod sklepem, ale to nie Wilkowyje, tu nic nie wywoła uśmiechu.

Aleksandra Pańko

eprasa.pl 9d8a1fa481

NA EKRANACH

DIEGO

reż. Asif Kapadia, prod. Wielka Brytania, premiera 19 lipca

Reżyser Asif Kapadia wyrasta na mistrza filmowej biografii, gatunku, który dziś, w czasach mediów społecznościowych i YouTube'a, jest wyjątkowo trudny. Już nie tylko paparazzi grzebią się w życiu sław, ale i one same niezwykle chętnie dzielą się jego szczegółami, udostępniając zdjęcia i filmiki zza kulis. Wyzwaniem jest znalezienie w tym oceanie czegoś interesującego, a co dopiero powiedzenie czegoś nowego. A jednak Kapadii udało się to zarówno w „Amy" o zmarłej z przedawkowania piosenkarce Amy Winehouse, jak i w „Diegu" o piłkarzu wszech czasów. Struktura obu filmów jest podobna. Reżyser kreśli obraz trudnej drogi do sukcesu i spektakularnego upadku, ale nie interesuje go perspektywa bulwarówek. Z wprawą detektywa docieka, co czai się pod powierzchną. W wątkach dotyczących używek nie napawa się chwytliwymi obrazkami odurzonych bohaterów, tylko pyta, skąd brali towar i dlaczego otoczenie im na to pozwoliło. Gdy zaś mówi o ich dołkach, winni poczujemy się także my, widzowie. Bo kto z nas nie kliknął nigdy w medialne doniesienia o potknięciu Amy Winehouse czy Maradony? Ale spokojnie – filmom Kapadii daleko do moralizowania.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

HERTA MÜLLER
Tam gdzie nie można mówić
Słowo jako obraz, obraz jako słowo

Herta Müller, laureatka Literackiej Nagrody Nobla, tworzy kolaże od końca lat 80. Najpierw, tak jak u Wisławy Szymborskiej, były one pocztówkami wysyłanymi do przyjaciół i znajomych. Z czasem przekształciło się to w działalność artystyczną. Niezmienne pozostały jednak format pocztówki oraz kompozycja oparta na tekście dopełnianym przez obraz. Artystka nie ogranicza się do gotowych wyrażeń lub przedstawień. Często wykorzystuje pojedyncze sylaby, litery i fragmenty obrazów, tworzy neologizmy. Kilkadziesiąt kolaży z lat 2005-2018 to pierwsza prezentacja tych prac w muzeum sztuki współczesnej.

KRAKÓW, MOCAK, DO 22 WRZEŚNIA

FESTIWALE

25. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
CHINA MOSES GROUP

Córka wokalistki jazzowej Dee Dee Bridgewater po matce przejęła tembr głosu, nieprzeciętną dynamikę i ekspresję. Gwiazda jazzu, muzyki soul i R&B, kompozytorka i autorka tekstów, a także aktorka i modelka, ma na koncie sześć albumów, ale to „This One's for Dinah", wydany przez Blue Note, podbił serca publiczności i sprawił, że jej głos uznano za jeden z lepszych jazzowych wokali kobiecych. Dziś China Moses jest twarzą wydawnictwa Blue Note i wymienia się ją obok takich sław jak Cassandra Wilson i Norah Jones. Choć koncertuje okazjonalnie, jest atrakcją największych festiwali i prestiżowych estrad.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 20 LIPCA, GODZ. 19

(ap)

DOKUMENT W TV

PIONIER

Serial dokumentalny HBO Europe przedstawia hiszpańskiego polityka, działacza sportowego i magnata rynku nieruchomości Jesúsa Gila. Jego życie to – jak się okazuje – samograj. Ekscentryczny Gil potrafił zaskarbić sobie łaskę opinii publicznej, był ulubieńcem hiszpańskich mediów, a jednocześnie łamał wszelkie zasady, naginał prawo, przez wiele lat był ścigany przez hiszpańską prokuraturę, która interweniowała w końcu w klubie Atlético Madrid, należącym do niego przez 16 lat, i pozbawiła go funkcji burmistrza Marbelli. Mało?

HBO GO OD 14 LIPCA, HBO OD 1 SIERPNIA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, MARCIN OLIVA SOTO

eprasa.pl 9d8a1fa481

Niesamowicie wrażliwy plotkarz

Ze swoją ciętą ironią Jan Lechoń był prawdziwym postrachem towarzystwa

Jan Lechoń (drugi z lewej) zawsze obracał się w dobrym towarzystwie. Tu w Warszawie przed odjazdem na wieczór literacki do Pragi z Jarosławem Iwaszkiewiczem, Antonim Słonimskim, Kazimierzem Wierzyńskim oraz towarzyszacymi im paniami.

Maciej J. Nowak

W czasie jednego ze wspólnych spacerów Tadeusz Boy-Żeleński spytał niespodziewanie Irenę Krzywicką: „Czy nie chciałaby się pani czegoś napić? Może pójdziemy do Ziemiańskiej?". Dla ambitnej publicystki była to wygrana na loterii: usiąść przy jednym stoliku ze skamandrytami! Bez wahania wyraziła zgodę. Gdy w kawiarni skierowali się na słynne półpiętro, zauważyli siedzącego tam samotnie Lechonia. Poeta zerwał się na równe nogi i zaraz przyklęknął na jedno kolano, zamiatając podłogę wyimaginowanym kapeluszem. Boy skłonił się równie dostojnie, po czym wskazał partnerkę: „Mam zaszczyt zakomunikować: Irena Krzywicka, Boy-Żeleński chodzą razem!". Na to Lechoń wydał z siebie jedynie: „Aaaa!".

Ten jeden dźwięk w pełni wystarczał. Boy i Krzywicka mogli mieć pewność, że tej nocy o ich związku wiedzieć będzie cała warszawka. Sprawca owego zamieszania, Jan Lechoń, to kłębowisko wszelkich możliwych sprzeczności. Niesamowity plotkarz i bezlitosny nawet wobec najbliższych przyjaciół kpiarz. Jednocześnie człowiek przeżywający życiowe tragedie i wybitny poeta zmagający się przez dziesięciolecia z niemocą twórczą. Z jednej strony, szorstki w obyciu, a z drugiej, ogromnie wrażliwy. Kim tak naprawdę był za czasów młodości, w latach II Rzeczypospolitej?

Obsesja twórczeaj niemocy

Leszek Józef Serafinowicz urodził się w roku 1899. Pochodził ze szlacheckiej rodziny o tatarskich korzeniach. Jeszcze przed maturą wydał dwa tomiki wierszy. Jako student polonistyki współtworzył czasopismo „Pro Arte et Studio", stanowiące zalążek przyszłego Skamandra. Święcił triumfy Pod Pikadorem. Za jego dorosły debiut uznaje się wydany w 1920 r. „Karmazynowy poemat". Niezależnie od tego królował w kawiarnianym życiu Warszawy, choćby w słynnej Ziemiańskiej. W 1930 r. popłaciły mu związki z sanacją – został attaché kulturalnym polskiej ambasady w Paryżu. Jednak nie ta kariera zawodowa była najważniejsza. Nigdy nie pomyślimy o nim jako o urzędniku. Zaryzykujmy zresztą tezę, że w dyplomacji nie święcił nadmiernych triumfów...

Aby poznać życie przeciętnych ludzi, trzeba prześledzić ich linearne biografie. Reguła ta nie sprawdza się jednak w wypadku Lechonia. U niego mniej ważne będzie ustalenie, ja-

eprasa.pl 9d8a1fa481

ką funkcję w którym roku piastował, z którym czasopismem kiedy współpracował. Znacznie więcej o tym, kim i jaki był, powiedzą nam dotyczące go wybrane historie.

Uchodził za wybitnego poetę, może nawet następcę Mickiewicza i Słowackiego. Mało kto zresztą potrafiłby stworzyć słynne „Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma". Tymczasem ów utalentowany artysta odczuwał ogromną presję dalszego sukcesu. Panicznie obawiał się, że po napisaniu świetnych wierszy nie sprosta rosnącym oczekiwaniom. Że gdy napisze coś słabego, to krytycy będą dla niego bezlitośni, a koledzy po piórze złośliwi. Zresztą nie oszukujmy się, miał rację. Ale było w tym coś więcej. Zdzisław Czermański słusznie określał go jako wielkiego neurotyka, osobę często popadającą w depresję. W konsekwencji tych obaw Lechoń popadał w twórczą niemoc, a w roku 1921, również z tych powodów, podjął nieudaną próbę samobójczą. Nie udało mu się zabić za pierwszym podejściem – dawka weronalu była zbyt silna i organizm jej nie przyjął. W następstwie rozpoczęła się, jak to ujmował Iwaszkiewicz, „odyseja po sanatoriach i szpitalach".

Zanim jednak do niej doszło, trzeba było przekonać samego pacjenta. Tej desperackiej próby podjął się Kazimierz Wierzyński. Wspominał: „Zależnie od nastrojów Lechoń wyśmiewał decyzję lekarską, bawił się dowcipami, że nikomu nie uda się zrobić z niego wariata, albo zapadał w depresję, z której nie można go było otrząsnąć i z maniackim uporem trwał przy swoim sprzeciwie. Wreszcie, pod wpływem matki, zgodził się wyjechać. Nie była to łatwa podróż. Wiozłem człowieka tak bezwładnego, że nie był zdolny do najprostszego wysiłku, nie poruszał się bez pomocy, nie umiał się w wagonie sypialnym rozebrać, a potem na drugi dzień w hotelu umyć". Mimo że nie było lekko, kuracja zakończyła się sukcesem. Nie na zawsze – w latach 50., w znacznie bardziej tragicznych okolicznościach, Lechoń podjął kolejną próbę samobójczą – tym razem udaną. Zginął 8 czerwca 1956 r., skacząc z 12. piętra hotelu Hudson w Nowym Jorku.

Cerber w Ziemiańskiej

O tym wszystkim trzeba pamiętać, gdy oceniamy, jak poeta odnosił się do innych. A było z tym, szczerze mówiąc, różnie. Wspomniany Iwaszkiewicz już po latach wypominał mu, że dla dobrego żartu gotów był zrobić bardzo wiele, w tym oczywiście poświęcać przyjaciół. Przy słynnym stoliku w Ziemiańskiej to on odgrywał rolę Cerbera, wypędzającego wszelkich śmiałków, którzy zbliżyli się tam nieproszeni. I nie bójmy się powiedzieć: ze swoją ciętą ironią był prawdziwym postrachem towarzystwa. Pewnego razu nawet słynny Wieniawa-Długoszowski z poważną miną przybiegł do Lechonia i zaczął gorączkowo mu wyjaśniać, dlaczego zabrał ze sobą na półpiętro jakiegoś nieznanego towarzysza. „Człowiek z Kresów – tłumaczył przepraszającym tonem – jechał całą noc. Był zmęczony. Wojewoda. Posadziłem go tutaj na chwilę. Jak odpocznie, to pójdzie".

Bywał wobec ludzi bardzo kapryśny. Osobę, z którą miał dobre relacje, mógł z błahego powodu poniżyć i ośmieszyć. Czasami wstydził się nawet najbliższych przyjaciół, którzy jego zdaniem mogli nie pasować do konkretnego towarzystwa poprzez choćby zbyt skromny ubiór. Dodajmy bowiem jeszcze jedną cechę. Lechoń to nie tylko humorzasty plotkarz, ale także gigantyczny snob. Fascynowali go bezgranicznie ludzie sławni. Nie tylko arystokraci, ale nawet podrzędne aktoreczki. Antoni Słonimski przytoczył jeszcze jedną anegdotę. Oto pewnego razu w Podkowie Leśnej grali sobie biletami wizytowymi. Gra polegała na tym, kto wylosuje bilet dotyczący bardziej „wartościowej" osoby (lub osób). Słonimski wspominał: „Ja wyciągnąłem bilet wizytowy Jackowskiego, a Lechoń Jackowskich. »Wygrałeś« – powiedziałem, bo wydawało mi się, że Jackowscy to więcej niż Jackowski. »Nie – odpowiedział Lechoń. – Tyś wygrał, bo Jackowski popełnił mezalians«. Było coś proustowskiego w odczuciu tej hierarchii towarzyskiej".

Dla dobrego żartu gotów był zrobić bardzo wiele, w tym oczywiście poświęcać przyjaciół.

Lechoń przykładał dużą wagę do swojego ubioru.

Nie róbmy jednak z Lechonia diabła wcielonego. Po prostu – ze swoimi cechami był bardzo widoczny. Ale nie można jego charakteru sprowadzać tylko do złośliwego snoba. Czermański przypominał choćby, że poeta miał syjamskiego kota o imieniu Mustafa. Kot pewnego razu pogryzł połowę palta jakże wrażliwego przecież na swój ubiór Lechonia. Znajomi zaczęli buntować poetę przeciw niesfornemu Mustafie. Doradzali, żeby go wyrzucił. Ale twórca „Karmazynowego poematu" ani myślał ich posłuchać. Już następnego dnia zabrał kota na obiad w „ważnym towarzystwie", gdzie co chwilę poklepywał ręką dziurę w palcie i łebek winowajcy.

Przyjaźnił się również z innymi zwierzętami. Ludwik Morstin opowiadał, jak Lechoń bawił u niego w domu. Po południu próbował pisać i uskarżał się, że gdy jakiś ciekawy pomysł już, już przychodzi mu do głowy, ktoś woła go na podwieczorek i wybija ▸

FOT. NAC

eprasa.pl 9d8a1fa481

z rytmu. Morstin obiecał, że zakaże wołać go na podwieczorek. Mimo to następnego dnia Lechoń również się zjawił, z dwoma znajomymi psami. Na pytanie, co się stało, odrzekł: „Psy po mnie przyszły, bo zawsze im daję przy podwieczorku kawałek chleba z masłem. Nie chciałem im dziś odmawiać tej przyjemności i przerwałem pisanie". Odtąd prosił, żeby ze względu na psy (nie chciał robić im przykrości) wołać go jednak na podwieczorek. Kto wie, może ogromny wilczur i mały cocker przyczyniły się w ten sposób do niepowetowanych strat w kulturze polskiej...

Przy trumnie Słowackiego

A czym jak czym, ale kulturą Lechoń niesamowicie się fascynował. Traktował ją śmiertelnie poważnie. W roku 1927 uczestniczył na cmentarzu Montmartre w Paryżu w ekshumacji prochów Juliusza Słowackiego. Pełnił wartę honorową przy trumnie poety w czasie przewożenia jej statkiem do Gdańska. Ferdynand Goetel wspominał, jak bardzo poruszyła go wówczas postać Lechonia, „który stał przy trumnie, pełniąc straż honorową. Musiał trwać bardzo długo na swym posterunku, gdyż twarz miał osmoloną dymem z jarzących się na statku pochodni. Dzień nie był ciepły. Lechoń, mając na sobie tylko frak, stał z odsłoniętą głową. Zdumiał nas. Odziani w palta, gotowi do uchylenia kapeluszy na krótką chwilę, widzieliśmy w jego postawie patetyczny gest, który jednych wzruszał, innych gniewał, a głupców śmieszył".

Wraz z upływem lat stawał się coraz bardziej pryncypialny. Wielbił (autentycznie, nie koniunkturalnie) Piłsudskiego, zawdzięczał sporo sanacji, choćby wyjazd na długie lata do Paryża jako attaché kulturalny ambasady polskiej. Zapewne więc w mniejszym stopniu niż choćby Słonimski dostrzegał niuanse w dziejach Rzeczypospolitej w 20-leciu. Różne perspektywy miały swoje konsekwencje. W czasie II wojny światowej relacje między skamandrytami coraz bardziej się rozluźniały. Jednym z ważniejszych w tym kontekście wydarzeń był jego słynny list do Tuwima z 1942 r., w którym zrywał stosunki z przyjacielem. Pisał tam: „Nieludzkość właśnie Twojego stosunku do bolszewickich nikczemności i spieniona nienawiść do tych, którzy brali rany za Polskę, gdyś Ty zarabiał ciężkie pieniądze, bawiąc zresztą świetnymi piosenkami »krwiopijców i wrogów ludu«, odbiera mi wszelki smak przyjaźni z Tobą, pielęgnowanej przeze mnie tyle lat i będącej dla mnie bardzo cennym uczuciem". Od myślenia o Tuwimie czy później także o Słonimskim nie potrafił jednak się uwolnić do śmierci. Najlepiej to widać w pisanych po wojnie tragicznych dziennikach, gdzie regularnie przywoływał dawny świat skamandrytów.

Widzimy więc postać pełną sprzeczności. A nie można ominąć innych ważnych związanych z nim wątków, choćby świetnie przedstawionych przez Krzysztofa Tomasika problemów, które w minionej epoce musiał wywoływać homoseksualizm Lechonia. W dzisiejszych czasach zauważalna jest tendencja dostosowywania poety do bieżących potrzeb politycznych. Ba, niektórzy próbują robić z niego wzorzec konserwatysty, któremu rzecz jasna zdarzało się błądzić. Niestety, a raczej na szczęście, artysta wymykał się poza dominujące dziś schematy. Nie da się poety poddać linearnemu porządkowi. Zarówno w życiu, jak i w twórczości poruszał różne tony. Swoją drogą warto odnotować, że znalazło to odzwierciedlenie u innych. Poświęcono mu ogromną liczbę wierszy. I to chyba on, wraz z Tuwimem i Słonimskim, w największym stopniu reprezentuje cały koloryt II Rzeczypospolitej.

Maciej J. Nowak

Kiedy przychodzi wiosna, wszystkie fiołki rozkwitają równocześnie

Aldona Dunicz, Andrzej M. Bugaj

Żyjący w pierwszej połowie XIX w. János Bolyai był węgierskim oficerem, wziętym szermierzem, tancerzem, skrzypkiem i szachistą. Znał dziewięć obcych języków, w tym chiński i tybetański. Pisywał dzieła filozoficzne, poezje i recenzje ze spektakli Opery Wiedeńskiej. Opracował też projekt zmian podatkowych, który wysłał do cesarza Austrii.

Był jednak przede wszystkim wybitnym matematykiem. W wieku 23 lat stworzył podstawy tzw. hiperbolicznej geometrii nieeuklidesowej, która charakteryzuje się m.in. tym, że przez punkt nieleżący na danej prostej można przeprowadzić nieskończenie wiele prostych do niej równoległych, podczas gdy w geometrii euklidesowej – tylko jedną. Gdy jednak okazało się, że już dwa lata wcześniej geometrię tę odkrył profesor uniwersytetu w Kazaniu, Nikołaj Iwanowicz Łobaczewski, życie Bolyaia stało się nie do zniesienia. Wszędzie dostrzegał intrygantów i szpiegów, którzy ukradli jego odkrycie, podejrzewał o zdradę nawet własnego ojca, również znakomitego matematyka, który całe swoje życie poświęcił pracy nad geometrią hiperboliczną, a jako przyjaciel „księcia matematyków" Carla Gaussa prowadził z nim na ten temat ożywioną korespondencję. Bolyai uważał, że Łobaczewski to tylko pseudonim, pod którym ukrywa się Gauss. Dlatego ojciec tuż przed śmiercią powiedział do niego: „Nie rozpaczaj, kiedy przychodzi wiosna, wszystkie fiołki rozkwitają równocześnie".

Zastanówmy się nad tym w dobie bezpardonowej walki o własność intelektualną i prawa autorskie. Ta sama myśl nie musi być od razu plagiatem i naruszeniem świętego prawa własności intelektualnej, osiągnięcia nauki i techniki powinny zaś służyć całemu społeczeństwu, a nie wybranym grupom, jednostkom lub instytucjom. A fiołki... niech zakwitają.

Źródła:
L.I. Ponomariew, *O kwantach rzeczy ciekawe*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1981,
J. Przystawa, *Odkryj smak fizyki*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011,
A.K. Wróblewski, *Uczeni w anegdocie*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999

eprasa.pl 9d8a1fa481

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Lisy w pudłach

Niektóre kobiety chowają jeszcze na strychach, na dnie pudeł, lisie skóry. Te upiorne – ze szklanymi oczami i ogonami. Raz do roku jedna czy druga pani wyjmuje lisa, trzepie go ostrożnie na balkonie jak staroświecki dywanik. Zdarza się, że to prezent od zmarłego męża, ślubna pamiątka. Czasem lis zostaje po cioci, razem z żelaznymi świecznikami i zepsutym zegarem. Jeszcze 30, 40 lat temu te lisy – w funkcji szalika – cierpliwie otulały szyje uczestniczek mszy świętych. Co niedzielę tysiące martwych lisów słuchało homilii, milcząco brało udział we wspaniałych adoracjach. Teraz lis szyjny to już, wiadomo, wstyd; nikt nie obnosi się czule z lisem. Pochowano je głęboko w szafach. Parę miesięcy temu przypadkiem na strychu u jednej cioci znalazłam takiego. – Ma obcięte łapy – zauważyłam. Przednie łapki dyndały smutno, a z tyłu wisiał przykurzony ogon. – Kiedyś syn się na mnie obraził i z zemsty obciął tylne łapy lisa. Nawet chciałam je przyszyć, ale jakoś się nie złożyło, a potem się zgubiły – wyznała ciocia z odrobiną rozrzewnienia, odpalając papierosa.

Nasze dzieci krzywią się z niedowierzaniem, kiedy słyszą, że lis zombie był niedawno symbolem luksusu w Polsce. I kryształy – dodajemy z nostalgią. Kryształy. Grubo rżnięte wazy i wazony, w których więdły imieninowe goździki. Meble z jasnej sosny, boazeria. Zrywaliśmy ją potem ze wstydem, kładąc regipsy i gładzie, burząc ścianę między salonem i kuchnią. Czerwone złoto, które na naszych oczach straciło wartość, próbowaliśmy przetopić na ażurowe celebrytki. Bezskutecznie. Ponura brunatna czerwień przebijała się, świeciła i przypominała o starych szufladach, gdzie między żyletkami, na wpół wypalonymi świecami i blaszanymi pojemniczkami z maścią tygrysią poniewierały się grube obrączki po jakichś naszych zmarłych.

Niektóre przedmioty do nas wróciły, ale wróciły ironicznie, przeskalowane, w innych wersjach. Żaluzje – ale tylko drewniane. Lodówki wyglądające jak sprasowane trabanty – różowe i błękitne, żeby było wiadomo, że to żart. Nawet marszczone, materiałowe, olbrzymie gumki do włosów, ale jedynie jako cytat stamtąd, z tamtego świata.

Współczesność ma już inne fetysze, kapitalizm śni inny sen. Jak pisał Walter Benjamin – nowinki inspirują zbiorowe rojenia o bajkowej krainie obfitości. Autor „Pasaży" pisał o nieświadomości zbiorowej kapitalizmu we Francji między rokiem 1927 a 1940. Robił klasyfikację szyldów, identyfikował moment, kiedy po raz pierwszy pojawił się męski sprzedawca (zwany subiektem), studiował zachowania konsumenta w domu towarowym i pasażu. I nawet mu się nie śniły pliki *cookie*s, śledzące nas w internecie, szyjące reklamę specjalnie dla nas, znające nasze najskrytsze upodobania lepiej, niż znamy je my. Mówiące tylko do nas, tylko w naszym języku, w kolorach, które lubimy.

Śmiejemy się niby, oglądając ordynarne wstawki *product placement* w polskich filmach z lat 90., kiedy aktorka robi kanapki z ketchupem i przez pół minuty świeci nam po oczach dziwnie ustawioną etykietą. Żeby kamera nie przeoczyła żadnych szczegółów. Ale nasz kochany, upadający od stuleci kapitalizm ma już nowe sposoby, żeby nas wikłać w sen o utopii, nowościach, które tylko po cichu cytują prehistorię.

Co będziemy wstydliwie zdejmować z półek za 20 lat? Może smartfony będą symbolem nowobogackiej nerwicy, a telewizory szczytem obciachu?

Nasze symbole luksusu, nasze fetysze, też będą tylko przebrzmiałym grepsem. Co będziemy wstydliwie zdejmować z półek za 20 lat? Z czego będą czule żartować nasze dzieci? Może smartfony będą symbolem nowobogackiej nerwicy, samochody – zbrodnią przeciwko ludzkości, a telewizory szczytem obciachu? Torby na laptopa staną się *corpus delicti* zbrodniczej antyekologicznej opresji, a papierowe kubki na kawę niewybaczalnym grzechem przeciwko planecie? Chociaż zaraz… to już się dzieje. I może tu powinien nastąpić zbawienny regres: w PRL nasze mamy myły reklamówki. Jedna reklamówka obsługiwała tygodnie zakupów. Szanowano ją, rozwieszano na sznurku na pranie, wycierano ścierką – żeby przetrwała jak najdłużej. Jedna reklamówka na miesiąc – jako cytat z przeszłości – nowy symbol nowoczesności. Co Państwo na to? Ja spróbuję.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d8a1fa481

Rozmawia Anna Brzeska

Wisła to mój Jukon

Nie rzuciłem się do rzeki od razu. Z trenerami pływania przez cztery lata uczyłem się porządnego kraula

Ma pan na koncie sukcesy w najzimniejszych wodach świata. Skąd pomysł, by przepłynąć Wisłę?

– Od pewnego czasu chciałem zimą przepłynąć jakąś dużą rzekę. Wymyśliłem, że będzie to Jukon na Alasce. Płynie przez cały półwysep, są na niej bardzo dzikie odcinki. Woda zawsze jest tam zimna, a ja najlepiej się czuję właśnie w takiej. Dlatego pomyślałem, że trzeba od czegoś zacząć, by się przygotować do tego wyzwania.

Dlaczego chciał pan, by była to rzeka?

– Były już morza, jeziora, zatoki – chciałem mieć i rzekę, zwłaszcza że pływałem w rzekach wcześniej, w Czechach, jako zawodnik klubu z Pragi. Na początku sądziłem, że u nas w Polsce tego się nie robi, bo musi być w tych rzekach bardzo brudno. Ale potem zacząłem o tym czytać i stwierdziłem, że spróbuję. Zaplanowaliśmy z Łukaszem Tkaczem próbny odcinek z Warszawy do Modlina. Gdy popłynęliśmy, byliśmy bardzo miło zaskoczeni. Nie powiem, że woda w Wiśle na tym odcinku jest I klasy czystości, ale przyznam, że jest naprawdę w porządku – bezzapachowa i przezroczysta. Dlatego gdy zaraz za Warszawą zaczęły się piaszczyste ptasie wyspy, pomyślałem, że to jest właśnie mój Jukon. Oficjalnie ogłosiłem wtedy Odyseję Wiślaną, a Łukasz Tkacz również zadeklarował, że przepłynie całą rzekę.

Śmiertelna pułapka

Od którego miejsca da się płynąć Wisłą?

– Zaczynaliśmy od tamy w Goczałkowicach – wcześniej rzeka jest zbyt płytka. Są tam różne przeszkody, kamienie, wypłycenia, które trzeba przejść, ale przez większość odcinka da się już płynąć. To jest jednak naprawdę dzikie i trudne pływanie. Zdarzyło nam się wpadać na zwalone drzewa – a pływamy przecież tylko w kąpielówkach i czepkach. Początkowo używaliśmy więc sonaru. Nie jestem pewien, czy gdybym wiedział, ile będzie nas kosztował ten pierwszy odcinek, jeszcze raz próbowałbym go przepłynąć. Ale się udało. Prawdę mówiąc, nie wierzę, że ktoś to powtórzy!

LESZEK NAZIEMIEC
– pionier zimowego pływania w Polsce. Współzałożyciel klubu Silesia Winter Swimming, mistrz Czech w pływaniu zimowym. W sztafecie przepłynął Bałtyk i kanał La Manche, w listopadzie 2018 r. pokonał dystans 1 km w wodach Antarktydy o temperaturze minus 1,5 st. C. Popularyzator pływania na otwartych akwenach. Wraz z Łukaszem Tkaczem postanowił przepłynąć etapami całą Wisłę, realizując autorski projekt Odyseja Wiślana.

Od lewej: Leszek Naziemiec i Łukasz Tkacz – Dzikie Pływanie.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Ile etapów już za wami?

– Około 25. Zwykle mają po 30-50 km, zimą mniej, po kilka kilometrów. Nasza Odyseja Wiślana rozciąga się więc w czasie – płyniemy już drugi rok, ale sądzę, że również dzięki temu udaje nam się wzbudzić coraz większe zainteresowanie i promować pływanie w otwartych wodach.

Przepłynięcie 50-kilometrowego odcinka musi trwać bardzo długo. O czym wtedy się myśli?

– Zajmuje nam to osiem-dziewięć godzin Oczywiście z przerwami. Pływam z boją, bo w razie czego można się jej złapać, schować tam coś do picia, także jedzenie czy ubranie. Dzięki niej jest się też lepiej widocznym. Nawet jeśli znajdę się pod wodą – bo np. dostanę zawału – to asekurujący zobaczy tę bojkę i będzie widział, gdzie jestem. Myślę natomiast przede wszystkim o technice pływackiej, bo ważne jest, by była dobra, by nie tracić rytmu. I podziwiam przyrodę, czuję z nią harmonię. Czytam tę rzekę, zatracam się w niej. Czasem moja uwaga musi być bardziej napięta – gdy woda jest wzburzona, coś z niej wystaje lub nurt jest nietypowy. To nadzwyczajna przygoda, nieporównywalna z kolejnymi długościami na basenie. Doświadczam jedności z przyrodą i radości. Również dlatego, że mogę robić coś, co mało kto może robić. Bo większość ludzi jest przekonana, że rzeka jest niebezpieczna. A przecież stopniowo, powoli, może się stać dostępna dla wielu z nich.

Nie boi się pan, że ktoś to przeczyta, pomyśli: „To ja też spróbuję" i rzuci się do rzeki tam, gdzie nie powinien, mając małe umiejętności?

– Dlatego przede wszystkim trzeba uczyć się pływać – i to staramy się promować. Najpierw basen, instruktor, technika. Ja nie rzuciłem się do rzeki od razu. Z trenerami pływania przez cztery lata uczyłem się porządnego kraula. Miałem 34 lata, gdy zacząłem.

Panowie płyną jednocześnie, obok siebie?

– Startujemy razem, ale w praktyce jest tak, że płyniemy osobno, bo pływam szybciej od Łukasza. Czasem zdarza się też, że Łukasz nie może w danym terminie płynąć, więc robi ten sam odcinek w innym. Na trudniejszych odcinkach asekuruje nas dr Michał Starosolski – mój przyjaciel, ratownik wodny i medyczny, a także konsultant krajowy ratownictwa medycznego. Pomagają nam też miejscowe WOPR-y. Zdarza się jednak, że miejscowi nam nie pomagają (śmiech).

Jak to?

– Gdy Odyseja przepływała przez Kraków, dostała dwa mandaty. Za pływanie po Wiśle.

Czyli pływanie po Wiśle jest nielegalne?

– W Polsce stawia się bardzo dużo tablic z zakazem pływania. Tablica powinna być okrągła, standardowa, ustawiana przez tego, kto ma do tego prawo. U nas jest jednak tak, że stawiają je wszyscy – każdy możliwy podmiot, łącznie z osobami fizycznymi. I jeśli taki zakaz stoi – policja wlepia mandat. Mimo że mieliśmy pełną ratowniczą obstawę i nikomu nie zagrażaliśmy, ktoś nas zgłosił. Przypłynęli policjanci i powiedzieli, że muszą nam dać mandat, bo tam jest zakaz pływania. Tyle że my tego nie mogliśmy wiedzieć, bo zakaz był na brzegu, a my płynęliśmy środkiem. Dali nam więc tylko 50 zł mandatu. Założyłem nawet fundusz mandatowy. Tyle dobrego, że zrobili nam reklamę. Napisała o nas wtedy „Gazeta Wyborcza".

Co ciekawego jeszcze panom się przytrafiło?

– Spotkania z ludźmi są świetne. Dołączają do nas i płyną z nami niektóre odcinki, sporo tych ludzi już się przewinęło przez Odyseję. I dzięki tym wspaniałym spotkaniom zdecydowaliśmy z żoną, że kupujemy łódź płaskodenną i zostajemy flisakami. Ale zdarzyła nam się też jeszcze inna, przykra historia. W Rudołtowicach za Pszczyną – gdzie Wisła jest jeszcze dość wąska – był na mapie zaznaczony mostek na rzece. Okazało się, że ten mostek to w rzeczywistości rury wrzucone do rzeki wzdłuż nurtu. Jakieś 9-12 sztuk. Przez nie przepływa rzeka, a na górze są betonowe płyty, po których przejeżdżają ciężarówki z kopalni na hałdę. Prowizoryczna przeprawa, na którą ponoć wydano pozwolenie. W tym miejscu przy wyższej wodzie powstaje podciśnienie. Rury zasysają wszystko. Kiedy je ujrzałem, postanowiłem, że nie dam się wciągnąć. Uderzyłem klatką piersiową w mostek między nimi. Jedną nogę nurt już zaczął wciągać, ale zaparłem się, bo pomyślałem, że w środku rury może być jakaś krata i nie będę już w stanie wypłynąć.

Śmiertelna pułapka.

– Właśnie – dla każdego, kto chciałby tam się kąpać czy pływać kajakiem. W końcu ktoś, kto stał na mostku, razem z pewnym wędkarzem wyciągnął mnie na mostek. Potem się okazało, że mam złamane dwa żebra. Parę chwil wcześniej ten nurt porwał jednak mojego ratownika, płynącego kajakiem. Rura go wciągnęła, wywróciła, ale przepłynął przez nią. Przyśpieszony nurt „wypluł" go na krzaki przy brzegu. Wisiał potem na tych krzakach, poturbowany, z raną na głowie, ale nic poważnego mu się nie stało.

Michał Starosolski, nasz ratownik, jest teraz legendą. Człowiekiem, który przeszedł przez rurę (śmiech). Koleżanka, która była świadkiem zdarzenia, mówiła mi potem, że kiedy jeszcze wisiałem na tym moście, powiedziałem: „Pomóżcie mi. Michał już nie żyje". Byłem przekonany, że on tam umarł. Ale oni już wtedy wiedzieli, że wisi na krzakach i nic mu nie jest. On mówił zaś podobno: „Co ja powiem żonie, jeśli umrę?".

Misją Odysei Wiślanej jest przywrócenie rzeki ludziom i zwierzętom, zamiast stawiania zakazów i tablic.

Teraz się śmiejemy, ale przecież ta przygoda mogła się skończyć tragicznie. Dlaczego panowie to robią?

– Chcemy promować pływanie na otwartych wodach, które u nas praktycznie nie istnieje. Uważam, że właśnie dlatego Polacy tak często toną. Misją Odysei Wiślanej jest więc przywrócenie rzek ludziom i zwierzętom, zamiast stawiania zakazów i tablic. Człowiek zawsze będzie przecież dążył do tego, by się kąpać w rzekach czy jeziorach. Jedyne, co można zrobić, to uczyć ludzi pływać – i to na różne sposoby. Przede wszystkim na obowiązkowych lekcjach pływania w szkołach – najpierw na basenie, potem w otwartych akwenach.

Sądzi pan, że to poprawi statystyki?

– Kiedy się popatrzy na statystyki utonięć, dominują dorośli. W zeszłym roku zdarzyło się w Polsce ponad 500 utonięć. W Niemczech w tym samym czasie 300 – a Niemców

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 9d8a1fa481

jest 80 mln. W Wielkiej Brytanii – ok. 400 utonięć na 60 mln ludzi. W UE jesteśmy, niestety, krajem numer jeden. Jeżeli chodzi o grupy wiekowe – tu też jest bardzo ciekawie. Do 18. roku życia – 33 utonięcia. 18-30 lat – już ponad 90. Kolejne grupy – ponad 100, czyli coraz więcej. Najwięcej tonie mężczyzn od 35 do 45 lat. Dlaczego? Bo dorośli rzadziej umieją dobrze pływać. W tym roku – jak słyszałem w telewizji – od początku czerwca zdarzyło się 37 utonięć. I jak zwykle słyszymy potem komentarze, że przyczyną są „brawura i alkohol". Tymczasem co mamy w statystykach? Cztery osoby na pięć były trzeźwe w momencie utonięcia.

Jednak mówi się też, że przyczyną są wiry czy prądy.

– Każda otwarta woda jest niebezpieczna, jeśli umiejętności pływającego są niedostateczne. Na Wiśle nie ma takich wirów, które by wciągały człowieka. Nie ma żadnych wirów ludojadów. To mit. Te naturalnie występujące wiry mogą najwyżej trochę przesunąć człowieka, ale da się normalnie przez nie płynąć, o ile się nie spanikuje.

Oczywiście nie powinno się pływać w niektórych miejscach – np. tam, gdzie jest budowa, wejście do portu, ujęcie wody pitnej czy własność prywatna. Tam powinny być tablice ostrzegawcze. Chodzi o to, by uczyć ludzi odpowiedzialności. Jeżeli dorośli i dzieci będą się uczyć pływać, rozwiniemy kulturę pływacką. Tymczasem my robimy coś zupełnie przeciwnego. A w Wielkiej Brytanii nastała moda na pływanie w otwartych akwenach i już widać poprawę statystyk.

Kaskady zabijają rzekę

Sądzi pan, że nasze wody są dostatecznie czyste, by w nich pływać?

– To kolejny temat. Dzięki temu, że ludzie idą do wody, zaczyna się częściej myśleć o ekologii. Płynę Wisłą i w miejscu, gdzie dopływają do niej Pszczynka oraz Przemsza, nagle ta woda robi się słona. To nic innego jak odwodnienie kopalni, mimo że te zapewniają, że dbają o ekologię. Albo spotyka się odpływ ścieków komunalnych i robi się okropnie. Od ujścia Przemszy zaczyna się natomiast system progów, tzw. Kaskada Górnej Wisły. Przed zaporami jest strasznie brudno, bo osiadają przed nimi zanieczyszczenia. Pływanie tam to żadna przyjemność. My z Łukaszem już jesteśmy przyzwyczajeni, ale dwie osoby, które do nas dołączyły na tamtym odcinku, miały potem żołądkowe dolegliwości przez trzy dni.

Jak panowie sobie radzą z tymi kaskadami? Nie da się przecież ich przepłynąć.

– Dopływamy do śluzy, wychodzimy i wchodzimy do wody z drugiej strony. Trudniejsze są dla nas właśnie te zanieczyszczenia. To ważny temat. Rzeka, która dopływa do takiej kaskady, nie ma szans sama się oczyścić. Jeżeli płynie dziko, wystarczy kilkanaście kilometrów, by się przefiltrowała – dzięki temu, że w dzikich rzekach jest piasek, rosną wierzby, mamy tam cały naturalny ekosystem. Nawet jeśli wpuszczamy do rzek ścieki, oczywiście w pewnych granicach, rzeka potrafi sobie z tym poradzić. Jeżeli jednak prostujemy tę rzekę, budujemy zapory, traci ona możliwość samooczyszczania. Jest jeszcze jeden problem – tam, gdzie rzeka jest pogłębiona i wyregulowana, płynie szybko i nie nawadnia okolicznych gruntów.

Po co więc się reguluje rzeki, skoro już tyle wiadomo na temat szkodliwości tych działań?

– To idea z lat 30. XX w., a w wielu przypadkach nawet wcześniejsza. Na całym świecie powstawały wtedy plany kaskadyzacji rzek, bo uważano, że to będzie świetny sposób na transport wielkogabarytowy. Przykładem tak urządzonej rzeki jest Dunaj. My mamy zaporę we Włocławku, prowizoryczną i niebezpieczną. Mamy też tę wspomnianą Kaskadę Górnej Wisły. Rząd chce teraz kontynuować dzieło rozpoczęte w latach 30. Zbudować kaskady na całej długości Wisły, w ramach drogi wodnej E40. Tylko że taki plan nie jest właściwy w naszej epoce, kiedy już wiadomo, że w ten sposób niszczymy rzeki, pogłębiamy problem susz i powodzi.

Musimy też się zastanowić, co tą Wisłą będzie płynąć. Węgiel ze Śląska? Na barkach? Przecież tego węgla już się nie wydobywa tak dużo.

Raczej się importuje.

– Właśnie. Na przykład z Rosji. Poza tym koszty środowiskowe tej inwestycji są zbyt duże. Eksperci są tu zgodni – jeżeli chcemy odciążyć drogi i zabrać z nich tiry, rozwijajmy transport kolejowy, zamiast niszczyć rzeki. My jednak wciąż nie potrafimy dostrzec, że rzeka jest takim samym skarbem jak Tatry, polskie góry w ogóle, czy Białowieski Park Narodowy. A nasza Wisła jest przecież piękna, dzika, szczególnie w jej środkowym biegu.

Odyseja Wiślana jest więc manifestem przeciwko planom rządu?

– Tak. Droga wodna E40 to sztandarowy plan Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, realizowany przez Wody Polskie. Obejmuje przerobienie Dolnej Wisły na kanał dla dużych statków. Według tego planu obok rzeki ma być zbudowany tzw. kanał lateralny, na wysokości Modlina, wzdłuż Bugu, łączący Wisłę z Prypecią, Dnieprem i w końcu z Morzem Czarnym. Planuje się w to zainwestować ogromne sumy. Wielka inżynierska wizja, projektowana zgodnie z zasadą, że „moja budowla musi być widoczna z kosmosu". Nowy jedwabny szlak czy coś w tym rodzaju.

Kolejna utopia.

– Tak. Stan Wisły zwykle jest niski. Jeśli zrobimy kanał lateralny – skąd będzie brała się w nim woda? Osuszy Bug, okoliczne wody gruntowe, trudno będzie w nim osiągnąć dostateczny poziom wody. Jak mówi wielu naukowców, to będzie wielka katastrofa ekologiczna. Natomiast prace już trwają, a w mediach do niedawna nikt o tym nie mówił. Dopiero teraz, po ostatniej fali wezbraniowej, w „Teleekspressie" przeciwko inwestycji wypowiadał się prof. Roman Żurek z Instytutu Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Nauk. Nie wiem, czy pojawienie się w telewizji publicznej profesora walczącego z E40 to było czyjeś przeoczenie czy błąd systemu. Pewnie już ktoś za to został wyrzucony (śmiech).

Jest pan związany z jakimś stowarzyszeniem czy fundacją, która działa w tej sprawie?

– Formalnie nie, ale jestem zaprzyjaźniony z Koalicją Ratujmy Rzeki oraz z inicjatywą Siostry Rzeki.

Człowiek zawsze będzie dążył do tego, by się kąpać w rzekach czy jeziorach. Jedyne, co można zrobić, to uczyć ludzi pływać.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Ale nie jestem typowym aktywistą. Podam przykład. Do Siarzewa koło Ciechocinka, gdzie ma powstać tama, przyjechał premier, przekonywać ludzi do tej inwestycji. Zrobili piknik – bo będzie ładne nadbrzeże, most, piękna marina i ogromny zalew. To niewątpliwie szansa na rozwój dla miejscowości i okolic. Ale „zieloni" aktywiści urządzili pikietę, by wyrazić swój sprzeciw, taką z megafonami i hasłami na banerach. Ich argumenty są słuszne, ale pomyślałem, że to nie jest dobra droga. Bo mieszkańcy tej gminy mogą pomyśleć, że protestujący to „lewaki", które nie mają niczego do zaproponowania.

Ekoterroryści.

– Właśnie. Pomyślałem więc, że jeśli do nich się jedzie, dobrze byłoby napisać jakiś alternatywny program, zgodzić się na jakieś ustępstwo. Może nawet dałoby się tam pływać, choć łodziami innego kalibru, niż jest planowane? Może marina mogłaby powstać wraz z planem wykorzystania rzeki w celach turystycznych? Pogłębienie jej w małym stopniu to coś zupełnie innego niż tama, zalew i wielki transport. Dodam, że w okolicach Kazimierza Dolnego, na Powiślu Lubelskim już inaczej na to wszystko patrzą. Cenią wartość dzikiej rzeki, tradycyjnego flisactwa, turystów. Mimo że wielu mieszkańców tego regionu to wyborcy PiS, powiedzieli mi, że nie pozwolą na zrealizowanie rządowych pomysłów.

Mała retencja jest bardzo potrzebna, ale w zupełnie innej technologii.

Morsowanie to nie dla mnie

Wróćmy jeszcze do przyjemniejszego tematu. Jaka jest temperatura wody w Wiśle?

– Zimą woda w rzece zamarza. Ostatnio – w połowie czerwca – woda miała ok. 17 st. C. Tydzień wcześniej 13 st., jeszcze tydzień wcześniej 11. Odyseja trwa już drugi rok – pływamy minimum co dwa tygodnie, o ile rzeka nie jest zamarznięta. Chciałbym do listopada przepłynąć już całą Wisłą.

Jak pan się przygotowywał do tego? Był pan wcześniej morsem?

– Nigdy nie morsowałem. Kocham pływanie i nie rozumiem, że można wejść do wody i tylko w niej się taplać (śmiech). Wierzę, że to może być przyjemne, ale nie dla mnie. Zaczęło się od tego, że zobaczyłem w internecie, jak w Czechach ludzie zimą organizują wyścigi pływackie na jeziorze – pływają w samych kąpielówkach i czepkach, na różnych dystansach. To mnie zafascynowało. U nas nikt tego nie robił, zimowe pływanie nie istniało, nawet morsowanie było w powijakach. Pojechałem z kolegą, Arturem Kubicą, sprawdzić, jak to będzie. I tak się wciągnęliśmy. Pierwszy raz zimowo pływałem w 2007 r. w Jaskini Punkvy na Morawach. Woda nie była tam jeszcze taka zimna, bo miała ok. 9 st. C, ale na następnych zawodach, w których brałem udział, już tylko ok. 4 st. C. Zapisałem się do klubu i potem już regularnie, tydzień w tydzień, jeździłem do Czech. Zaczęliśmy pływać coraz dłuższe dystanse. Na pełną odporność trzeba jednak poczekać trzy-cztery lata. Potem zaczęliśmy organizować zawody w Polsce. Efekt naszych starań jest taki, że w 2021 r. w Katowicach odbędą się mistrzostwa świata w zimowym pływaniu.

Od czego zacząć?

– W pierwszym roku zaleca się pływać 100-250 m. W drugim roku treningów można już przepłynąć 500 m, w następnym nawet 1000 m, jeżeli umiemy dobrze pływać. Ale ważne jest, by pływać, a nie morsować. Jeśli się morsuje, ręce pozostają delikatne, bo morsy ich nie zanurzają. A jeśli od razu się pływa, jest to na początku bolesne, ale potem organizm się przyzwyczaja.

Wydaje się, że łatwiej pływać, niż morsować, bo w ruchu jest nam cieplej.

– Nie. Pływanie jest trudniejsze, bo bolą twarz i ręce, szybciej też się wychładzamy, jeśli zanurzamy całe ciało. Ale jeżeli tego się skosztuje, już nie chce się przestać. Wydaje się, że morsowanie jest naturalnym wstępem do pływania, ale to fałszywa ścieżka, bo morsy zyskują komfort bycia w grupie, skakania sobie w tej wodzie i nigdy nie zaczynają pływać. A ja jestem ideologicznie nieugięty! Choć oczywiście nie zwalczam morsowania. W ten sposób ludzie hartują przecież organizm, zachowują zdrowie.

Czyli nie umawiacie się z nimi na ustawki?

– Jasne, że nie!

Lepiej robić cokolwiek dla zdrowia, niż siedzieć na kanapie, popijając piwo.

– Właśnie.

Anna Brzeska

Każda otwarta woda jest niebezpieczna, jeśli umiejętności pływającego są niedostateczne.

Czyli pan jest pokojowym aktywistą.

– Myślę, że nie do końca, bo wszystko zależy od tego, na jakim etapie jest inwestycja. Jestem konsekwentny. Jeśli teraz w Siarzewie zobaczę buldożery, wykorzystam to, że jestem obecny w mediach i zrobię coś mocniejszego, z jakąś prowokacją włącznie. Ale myślę, że dopóki się da, trzeba rozmawiać.

Jest tu jeszcze jedna kwestia, o której nie wspomniałem – zbiorniki retencyjne zwiększają parowanie, co jeszcze bardziej pogłębia problem suszy. Wiemy to już choćby z doświadczeń z Nilem – gdy powstała nowa tama, tereny żyzne zmniejszyły się o jedną trzecią. To wszystko już od dawna wiadomo.

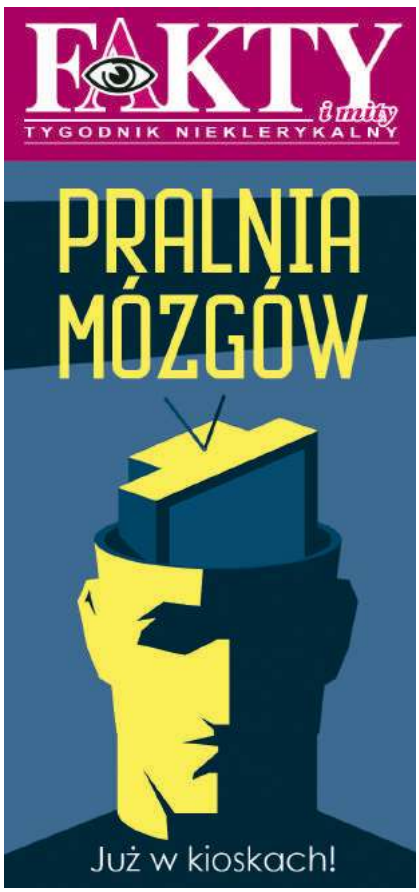

eprasa.pl 9d8a1fa481

Peter Zuckerman,
Amanda Padoan

Etniczni celebryci

Teraz, kiedy trzecie pokolenie Szerpów żyje z turystów, są oni jedną z najbogatszych i najbardziej znanych narodowości spośród ok. 50 grup żyjących w Nepalu

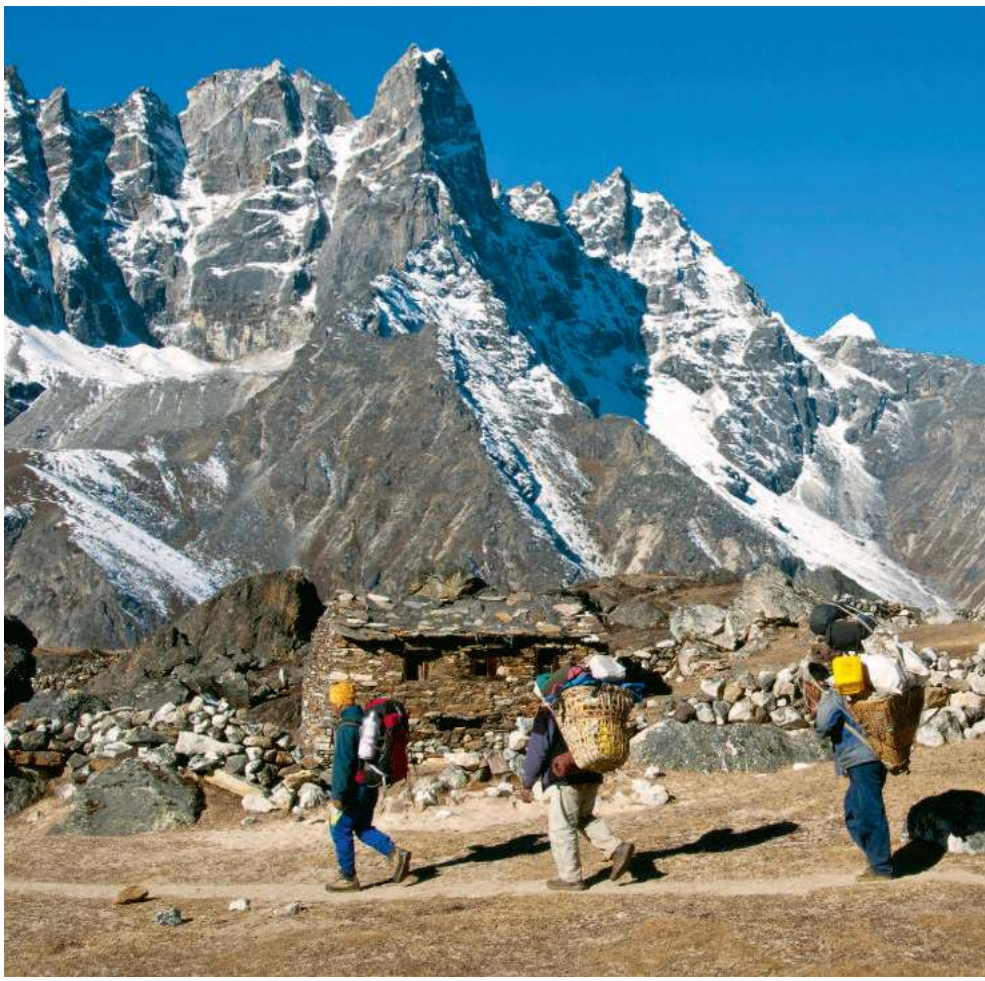

Mieszkańcy Płaskowyżu Tybetańskiego, w tym Szerpowie, żyją na dużych wysokościach od co najmniej 11 tys. lat, a badania fizjologiczne sugerują, że są znakomicie przystosowani do niedoboru tlenu. W porównaniu z innymi badanymi grupami – często białymi mężczyznami po aklimatyzacji – Szerpowie są bardziej odporni na choroby i uszkodzenia mózgu, jakie mogą powstać w rozrzedzonym powietrzu. Na dużej wysokości śpią spokojniej i są niezwykle wytrzymali.

Skąd bierze się ich przewaga? W przeciwieństwie do tego, co mówi jedna z popularnych teorii, przyczyną nie jest wcale duża liczba czerwonych krwinek w ich krwi. Szerpowie mają nawet mniej erytrocytów na litr krwi niż przedstawiciele białej rasy. Różnic nie sposób też wyjaśnić dietą, aklimatyzacją, metabolizmem, niedoborem żelaza ani czynnikami środowiskowymi. Na poziomie morza u Szerpów stwierdza się tak mało czerwonych krwinek, że właściwie można u nich zdiagnozować anemię, ale, co ciekawe, nie wykazują żadnych jej objawów. Ogólnie rzecz biorąc, potrzebują takiej samej ilości tlenu jak reszta ludzi, ale ich krew jest nim mniej nasycona.

Naukowcy początkowo nie wiedzieli, co o tym myśleć. Czerwone krwinki odpowiadają za transport tlenu. Inni ludzie dobrze przystosowani do wysokości, tacy jak andyjscy Keczua czy Ajmara, mają ich dużo. Jak Szerpowie dają sobie radę z mniejszą liczbą erytrocytów na znacznie większej wysokości niż ta, na której żyją mieszkańcy Andów?

Prawdopodobnie dzięki szybszemu krążeniu krwi. Ich naczynia krwionośne są szersze. W spoczynku wykonują więcej wdechów na minutę, dostarczając organizmowi więcej tlenu, i wydychają więcej tlenku azotu, znacznika efektywnego krążenia w płucach. Jest także wyjaśnienie genetyczne: za niski poziom erytrocytów w ich krwi odpowiada czynnik indukowany hipoksją 2-alfa, odpowiadający na niski poziom tlenu i włączający inne geny. Ponadto Szerpowie odziedziczyli po przodkach dominującą cechę genetyczną, która poprawia nasycenie hemoglobiną, pozwalając ich czerwonym krwinkom absorbować większą ilość tlenu. Rozrzedzona krew zapobiega powstawaniu zakrzepów, czyli chroni ich przed losem, jaki spotkał na K2 Arta Gilkeya.

Genetyczna przewaga pogłębia tajemnicę, jaka otacza Sierpów. Ludzie z nizin, którzy naczytali się przewodników Lonely Planet, są przekonani, że muszą zatrudnić „szerpę", nawet jeśli nie wiedzą, co to oznacza. Teraz, kiedy trzecie pokolenie Szerpów żyje z turystów i ich dolarów, są oni jedną z najbogatszych i najbardziej znanych narodowości spośród ok. 50 grup etnicznych żyjących w Nepalu. Nie zawsze jednak tak było.

Przodkowie najstarszych klanów Szerpów pochodzą z tybetańskiego regionu Kham. W XIII w. Mongołowie, którzy mieli do dyspozycji katapulty i konnych łuczników, podbili większą część Azji Środkowej. Oblężeni Khampowie uciekli w głąb Tybetu. W XVI w. muzułmanie z Kaszgaru najechali Tybet od zachodu, znów wypierając Khampów. Ci uciekli pieszo przez Himalaje. Schronienie znaleźli na południe od Everestu, w regionie znanym jako Khumbu. Podczas wędrówki zaczęli mówić o sobie *szarpa*

eprasa.pl 9d8a1fa481

Edmund Hillary i Tenzing Norgay.

(ludzie ze wschodu), a ich nowa nepalska ojczyzna zyskała nazwę Shar Khombo. W ślad za nimi pojawiło się kilka fal imigrantów. Niektórych wygnały z Tybetu głód, choroby i wojny, inni przenieśli się skuszeni możliwością założenia faktorii handlowych. Nowi przybysze, pochodzący z różnych regionów i klas społecznych, zamieszkali w już istniejących osadach lub założyli własne, tworząc więcej klanów. Wioski oddzielały wysokie przełęcze, więc rozwinęły się w nich odrębne kultury. Poszczególne dialekty różniły się np. aż w 30% – dość, żeby dochodziło do nieporozumień i dało się z tego żartować, za mało jednak, by uznać je za osobne języki.

Mimo przeszkód geograficznych Szerpowie z różnych klanów handlowali ze sobą i zawierali małżeństwa. Sposób nadawania przez nich imion nadal wywołuje powszechną konsternację. Zgodnie z obyczajem podstawowym imieniem człowieka jest nazwa jednego z siedmiu dni tygodnia. Chłopcy i dziewczęta urodzeni w poniedziałek nazywają się Dawa, we wtorek – Minima, w środę – Lhakpa, w czwartek – Phurbu, w piątek – Pasang, w sobotę – Pemba, a w niedzielę – Nima. Nazwisk się nie używa, a transkrypcje fonetyczne na język angielski różnią się od siebie. Podczas wypełniania formularzy większość Szerpów wpisuje jako imię odpowiedni dzień tygodnia, a jako nazwisko Szerpa (lub w wersji żeńskiej Szerpani). Czasami zamiast Szerpa używają nazwy klanu – Chiawa, Lama albo Lhukpa.

Taki system sprawdza się w odizolowanej wiosce, ale w mieście zupełnie nie ma sensu. Tysiące Szerpów w Katmandu nazywają się dokładnie tak samo. Książki telefoniczne są bezużyteczne, bo nikogo nie można w nich znaleźć. Plotkarze muszą szczegółowo opisać tego, kogo chcą obgadać. Pseudonimów jest mnóstwo, ale nie są nadawane konsekwentnie. Coraz więcej rodziców nadaje więc swoim dzieciom inne, indywidualne imiona, ale i tak nigdy nie będzie to system tak zróżnicowany jak ten obowiązujący na Zachodzie.

Jakby tego było mało, imię może się zmieniać w zależności od tego, co dzieje się w życiu dziecka. Jeśli zachoruje, rodzice mogą mu zmienić imię na Chhiring (długie życie), żeby zmylić złe duchy. Jeśli umrze, zmieniają czasem imię jego brata na takie, które oznacza coś niepozornego, np. Kikuli (szczeniak), żeby złe duchy nie zwracały na niego uwagi. Mogą również poprosić lamę o nowe imię, nadane z boskiej inspiracji. Na długo przed zdobyciem Everestu Tenzing Norgay nazywał się Namgyal Wangdi, rinpocze z klasztoru Rongbuk stwierdził jednak, że jest on reinkarnacją bogatego i pobożnego człowieka. Nadał mu więc miano, które oznacza „bogaty wyznawca religii". Chhiring dostał drugie imię – Dorje (błyskawica, grom) – musiało się wydawać aż nadto odpowiednie dla dziecka, które podpaliło wzgórza.

Szerpowie mogą się również nazywać na cześć rozmaitych cnót, często reprezentowanych przez świętych. Takie miano dodaje się do podstawowego imienia, dzięki czemu właściciel zyskuje szczególne atrybuty. Żona Chhiringa, Dawa, nosi imię Da Futi – błogosławieństwo na poczęcie syna. Kuzyn Pasanga nazywa się Lahmu – obrońca bram świątynnych. Czasem takie określenia opisują również człowieka. Żeby odróżnić córkę od matki o tym samym imieniu, ta pierwsza nazywa się Ang – „młoda". Szerpa, który wygłosi porywającą mowę, może zostać Lhakhpą Gyalginem, „odważnym oratorem". Czasami ten sam Szerpa używa różnych imion w zależności od sytuacji. Lama zwraca się do Chhiringa Dorje, ale przedstawiając się Tybetańczykom, Chhiring mówi, że nazywa się Tsering.

Szerpowie używają także nazw ok. 20 klanów, z których mogą pochodzić. Dzieci otrzymują imię na cześć klanu ojca. Przyjęło się, że nie należy wiązać się osobami z tego samego klanu ani z klanu matki do trzech pokoleń wstecz. I tak jak na Zachodzie nazwisko Rockefeller

Szerpowie żyją na dużych wysokościach od co najmniej 11 tys. lat i są znakomicie przystosowani do niedoboru tlenu.

FOT. WIKIPEDIA, ONLY/EAST NEWS

eprasa.pl 9d8a1fa481

oznacza przynależność do lepszej klasy, niektóre klany Szerpów, takie jak Lama, cieszą się większym prestiżem. Inne, jak Bhote, są postrzegane jako obce i gorsze, a ich członków w ogóle nie uznaje się za etnicznych Szerpów.

Jak więc rozpoznać Szerpę? Kiedy w XIX w. Europejczycy zetknęli się z nimi po raz pierwszy, Szerpowie mówili o sobie *sharpa*, co przybysze zapisali jako Sherpa. Słowo to pojawiło się znów w spisie ludności prowincji Dardżyling z 1901 r. Szerpów sklasyfikowano w nim jako jedną z czterech podgrup ludu Bhotiow, czyli Tybetańczyków. Najnowszy spis ludności przeprowadzony w Nepalu uznaje, że należą do grupy etnicznej, której przedstawiciele sami nazywają siebie Szerpami, co oznacza, że każdy może twierdzić, że do niej należy.

Szerpowie z najstarszych i najbogatszych klanów, mieszkających w pobliżu Everestu, woleliby tę definicję zawęzić. Podobnie jak potomkowie rodzin, które przybyły do Ameryki na statku „Mayflower" uważają się za lepszych od innych, wielu członków starych szerpijskich klanów twierdzi, że tylko oni są autentycznymi przedstawicielami tej grupy etnicznej. Uważają, że Tybetańczycy – zarówno ci, którzy mieszkają w samym Tybecie, jak i ci z nepalskich wiosek – nie zasługują na to, żeby nazywać się Szerpami, podobnie jak ci, którzy niedawno zamieszkali w szerpijskich wioskach. (…)

•

Tenzing Norgay, według magazynu „Time" jeden z najbardziej wpływowych ludzi XX w., przyszedł na świat w namiocie pasterza jaków w Tsechu, miejscu pielgrzymek w rejonie Charta w Tybecie. Był 11. z czternaściorga dzieci, jednym z sześciorga, które przeżyły niemowlęctwo. Rodzice, Kinzom i Mingma, pasterze z regionu Ghang La, posłali go do klasztoru, żeby nauczył się pisać, jednak zakonny tryb życia mu nie odpowiadał. Kiedy lama zbił go kijem, uciekł.

W wieku siedmiu lat miał okazję zobaczyć, jak będzie wyglądała jego przyszłość, choć wówczas jeszcze o tym nie wiedział. Wiosną 1921 r. legendarny brytyjski wspinacz, George Mallory, rozbił w regionie Charta kilka obozów. Badał północną stronę Everestu. Trwało to łącznie cztery miesiące. Jeden z nich Mallory spędził na pastwiskach Ghang La. Zatrudnił miejscowych zwiadowców, kupował masło i śmietanę z mleka jaków od pasterzy z Ghang La i Dangsar, gdzie mieszkała rodzina Tenzinga. Zginął trzy lata później pod szczytem Everestu, ale Tenzing nigdy nie zapomniał nabijanych ćwiekami butów, które zostały w wiosce po jego ekspedycji. (…)

W 1935 r. Tenzing był jeszcze w Dardżylingu. Wciąż szukał pracy przy wyprawach wspinaczkowych, a tymczasem doił krowy, zajmował się murarką i wróżył z liści słynnej na cały świat odmiany herbaty Darjeeling. Wreszcie dostał ofertę. Wspinacz Eric Shipton wybierał się na Everest i zamierzał przeprowadzić rekonesans przed brytyjską wyprawą. W ostatniej chwili podjął decyzję o zatrudnieniu dodatkowych ludzi.

Nie miał zbyt dużego wyboru, ponieważ najbardziej doświadczeni Szerpowie zginęli rok wcześniej na Nanga Parbat. W pośpiechu postanowił rozszerzyć poszukiwania i zachęcić do zgłaszania się Tybetańczyków. Tenzing czym prędzej pobiegł na werandę Darjeeling's Planters

eprasa.pl 9d8a1fa481

Club, gdzie Shipton oglądał tłumy kandydatów. „Był tam jeden tybetański chłopiec, lat 19, nowicjusz. Wybrałem go głównie ze względu na piękny uśmiech – napisał później Shipton. – Nazywał się Tensing Norkay albo Tensing Bhotia, jak o nim mówiono". Tenzing miał wreszcie wejść na Everest. (…)

W roku 1953 mógł już powiedzieć, że na Evereście spędził więcej czasu niż jakikolwiek inny śmiertelnik [Tenzing zbliżył się do szczytu w 1952 r. wraz ze szwajcarskim partnerem Raymondem Lambertem; dotarli wówczas do wysokości 8600 m, od wierzchołka dzieliło ich zaledwie 248 m]. Brytyjczycy złożyli mu propozycję nie do odrzucenia: miał pójść z nimi w góry jako *sirdar*, nadzorca tragarzy i pomocników i pełnoprawny członek zespołu. Byłby pierwszym rdzennym wspinaczem, któremu Brytyjczycy nadaliby taki status. Rzucił palenie i zaczął stale nosić przy sobie wór kamieni. Miała to być jego siódma wyprawa na Everest i tym razem zamierzał dotrzeć na szczyt.

Szybko zaprzyjaźnił się z Edmundem Hillarym, pszczelarzem z Nowej Zelandii. Pewnego dnia Hillary próbował przeskoczyć przez szczelinę, wylądował jednak za blisko. Zerwał lodowy gzyms, zaczął spadać w przepaść, próbując czegoś się złapać. Tenzing chwycił łączącą linę, owinął ją dookoła czekana i wbił jego dziob w lód. Lina natychmiast się napięła. Czekan Hillary'ego i jeden rak spadły w głąb szczeliny. Tenzing „zaparł się z całej siły i w końcu wyciągnął Hillary'ego. Ten pomagał mu, jak mógł, odpychając się jedynym rakiem, jaki mu pozostał", napisał syn i biograf Tenzinga, Jamling Tenzing Norgay. Tak zaczęła się przyjaźń, która doprowadziła Hillary'ego i Tenzinga na dach świata.

Podczas ataku szczytowego Hillary miał okazję zrewanżować się Tenzingowi za pomoc. Wycinał stopnie na drodze do ostatniej przeszkody, 12-metrowego uskoku niemal pionowej skały, który nosi dziś nazwę Stopień Hillary'ego (Hillary Step) [Stopnia Hillary'ego już nie ma – zniknął, najprawdopodobniej w wyniku trzęsienia ziemi w 2015 r., a w jego miejscu pojawiła się śnieżna rampa]. Szerpowie nazywają go co prawda Uskokiem Tenzinga, ale w rzeczywistości to Hillary prowadził na tym odcinku. (…)

Był 29 maja 1953 r., godz. 11.30, kiedy jako pierwsi w historii stanęli na najwyższym punkcie Ziemi. Tenzing powiedział: „To był ten wspaniały moment, na który czekałem całe życie, moja góra była dla mnie czymś więcej niż tylko pozbawioną życia lodową skałą, była ciepła, przyjazna, żywa. Była jak kwoka, a pozostałe góry były jak pisklęta pod jej skrzydłami". Hillarym również zawładnęły silne emocje, ale wyraził je nieco inaczej: „W końcu załatwiliśmy skurczybyka".

Tenzing złożył w śniegu ofiarę z czekolady. Próbował zrobić Hillary'emu zdjęcie, ale nie umiał obsługiwać aparatu. Przekazał go więc towarzyszowi i tak powstał ikoniczny obraz brytyjskiej wiktorii: Tybetańczyk z uniesionym czekanem z czterema flagami, w tym najlepiej widoczną – brytyjskim Union Jackiem [Tenzing miał cztery flagi w następującej kolejności: Organizacji Narodów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Nepalu i Indii. Brytyjskiego Union Jacka widać na zdjęciu najwyraźniej. Twarz Tenzinga zasłania maska tlenowa. Ed Douglas pisze, że dzięki temu powstał anonimowy ikoniczny obraz, z którym każdy naród może utożsamiać własne marzenia]. Cieszyli się swoim osiągnięciem przez 15 minut, a potem zeszli w powrotem do obcego świata.

Nagła sława zaskoczyła Tenzinga. „Występowałem w telewizji, a nie miałem jeszcze telewizora". Królowa Elżbieta usłyszała o ich triumfie i odznaczyła go Medalem Króla Jerzego. Król Tribhuvan przyznał mu Order Gwiazdy Nepalu, najwyższe cywilne wyróżnienie nadawane przez władców z dynastii Shah. Mickey Mantle przysłał mu kij bejsbolowy z autografem i pozdrowienia od drużyny New York Yankees. Premier Indii, Jawaharlal Nehru, nie chciał być gorszy, więc zaoferował Tenzingowi paszport i garnitury z własnej szafy.

W dolinie Katmandu wielbiciele otaczali Tenzinga, skandowali jego imię i nosili go na ramionach. Krążyły pogłoski, że ma trzy płuca. Razem z Hillarym odbyli przejażdżkę pozłacanym rydwanem Shahow. Próbowali ignorować wiszące nad ich głowami transparenty: widniał na nich rysunek Mount Everestu z brązowym mężczyzną na szczycie i białym poniżej. Pojawili się łowcy autografów. Tenzing, który nie potrafił czytać ani pisać, brał od nich długopisy i kreślił na kartkach swój znak. Wszystko to w niczym nie przypominało życia w Tybecie, nic więc dziwnego, że był oszołomiony.

W obliczu tego postkolonialnego widowiska koledzy z zespołu zaczęli sarkać, zwłaszcza kiedy jeden z autografów Tenzinga trafił na pierwsze strony gazet. Tenzing nieświadomie podpisał oświadczenie, w którym oznajmiał, że to on jako pierwszy stanął na szczycie Everestu. Hillary nie chciał tego komentować, więc Brytyjczycy zmobilizowali się sami. Płk John Hunt, szef ekspedycji, zwołał konferencję prasową. Postanowił utrzeć nosa nowej gwieździe. Ogłosił, że Tenzing Norgay nie jest himalaistą tego samego kalibru co Hillary, że brakuje mu umiejętności technicznych niezbędnych do prowadzenia wyprawy wspinaczkowej. To nie Szerpa był pierwszy na szczycie Everestu: ten honor należy się obywatelowi Wspólnoty Narodów.

Reakcja Katmandu była natychmiastowa – i brutalna. Zwolennicy Tenzinga zaczęli rozpuszczać plotki, jakoby Hillary był bufonem, który dotarł na szczyt wniesiony w lektyce. Hunt przeprosił i wycofał swoje oświadczenie. Hillary wydał własne: oznajmił, że on i Tenzing wspięli się na szczyt „prawie razem". Obaj zdobywcy podpisali deklarację i przekazali ją prasie, ale nie udało im się zażegnać sporów.

„Nie mam pojęcia, dlaczego Hillary dodał to »prawie« – powiedział później syn Tenzinga, Jamling. – Od tamtego dnia mój ojciec i Hillary zgodnie twierdzili, że wspinali się razem i razem dotarli na szczyt. Ludzie wciąż pytają, kto był pierwszy, a to przecież nie ma znaczenia".

W 1953 r. Tenzing mógł już powiedzieć, że na Evereście spędził więcej czasu niż jakikolwiek inny śmiertelnik.

Fragmenty książki Petera Zuckermana i Amandy Padoan *Pochowani w niebie*, przekład Kaja Gucio, Marginesy, Warszawa 2019

eprasa.pl 9d8a1fa481

Nie wiedzą, że mają HIV

Przybywa zakażonych kobiet

Barbara Jagas

Dziś wystarczy wziąć jedną tabletkę dziennie i jeśli dba się o zdrowie, z wirusem HIV można dożyć sędziwych lat. Poza tym chorzy, którzy biorą leki, nie zakażają już innych. Można więc prowadzić życie seksualne bez zabezpieczenia, rodzić dzieci.

Jedna tabletka dziennie

HIV to nabyty niedobór odporności (*human immunodeficiency virus*), do zarażenia którym dochodzi przez krew, kontakty seksualne lub z matki na dziecko. Choroba prowadzi do stałego zmniejszania się liczby krwinek białych oraz intensyfikacji namnażania się wirusa. Nowe leki bardzo to zmieniły, blokując wirusa i chroniąc układ odpornościowy. Jeżeli jednak nie bierze się leków, po kilkunastu latach może dojść do rozwoju zespołu nabytego niedoboru odporności, czyli AIDS (*acquired immunodeficiency syndrome*).

W leczeniu HIV wiele się zmieniło od lat 60., gdy choroba została zidentyfikowana. Jeszcze na początku lat 80. chorzy szybko umierali. Dopiero w 1992 r. opracowano skuteczną kurację, ale jej stosowanie powodowało objawy uboczne. Początkowo trzeba było brać 22 tabletki dziennie, potem ich liczba spadała. – Dziś bierze się jedną tabletkę dziennie, nie mają one też istotnych działań niepożądanych. Pacjenci żyją tyle co inni, a nawet dłużej, bo są regularnie badani. Chodzi tylko o utrzymanie zdrowego trybu życia: niepalenie, przestrzeganie diety, uchronienie się przed kiłą i rzeżączką – mówi dr n. med. Bartosz Szetela, specjalista chorób zakaźnych z Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.

Coraz starsi nosiciele

Według statystyk Państwowego Zakładu Higieny mamy w Polsce 24 tys. osób z HIV, z czego 11 tys. jest leczonych. I chociaż rozpoznawanych zakażeń przybywa, to o nosicielstwie wirusa nie wie 30% zakażonych. To wynik tego, że za rzadko robimy sobie testy na HIV.

Szczególny brak czujności wykazują starsi nosiciele. Dlaczego? – Większości ludzi trudno przyjąć, że HIV może dotyczyć również ich albo ich bliskich. To dlatego mamy tyle późnych rozpoznań. Od jakiegoś czasu przybywa zakażonych powyżej czterdziestki – mówi dr Szetela. I nie są to homoseksualiści, lecz najczęściej heteroseksualne kobiety. Niestety, często zgłaszają się do lekarza, gdy już mają AIDS. Mieliśmy dotąd ponad 3,6 tys. zachorowań na AIDS, ok. 1,4 tys. osób zmarło.

Dzięki nowym lekom osoby poddające się terapii już nie zakażają.

Niestety, wiedzą o tym nieliczni. Nawet wśród chorych. – 13% osób z HIV powiedziało, że nie chce mieć dzieci, by ich nie zakazić. A przecież zakażona wirusem kobieta, która bierze leki, nie zakazi dziecka. Takie osoby mogą teraz w sposób naturalny zachodzić w ciążę – podkreśla dr Magdalena Ankiersztejn-Bartczak, prezes Fundacji Edukacji Społecznej, która zajmuje się badaniem życia pacjentów z HIV.

Kobieta zakażona wirusem, która bierze leki, nie zakazi dziecka.

Stygmatyzacja z niewiedzy

Osoby z HIV są nadal stygmatyzowane. Pracownicy służby zdrowia niechętnie nimi się zajmują, stomatolodzy niejednokrotnie odmawiają leczenia, twierdząc, że nie mają do tego warunków. – To dziwne, ale również lekarze nie wiedzą, że dzięki nowoczesnym lekom wirus się nie namnaża, więc leczeni pacjenci nie zakażają – przypomina dr Szetela.

Są także leki PrEP (profilaktyka przedekspozycyjna), zapobiegające zakażeniu w razie ryzykownego kontaktu seksualnego: bez prezerwatywy, z osobą nieznaną lub niezbadaną albo zakażoną HIV, ale nieleczoną. Stosuje się je przed seksem oraz przez jakiś czas po nim.

W przyszłości lek na HIV będzie podawany w zastrzykach, raz w miesiącu. Już praktykuje się to w niektórych krajach europejskich, polscy pacjenci na razie czekają. Można też spodziewać się implantów, z których lek powoli będzie się uwalniał. Lekarze czekają też na szczepionkę terapeutyczną. – Ale to jeszcze odległa przyszłość – mówi dr Szetela.

Ostatnio mówi się o możliwości wyleczenia z HIV i AIDS. Już w 2016 r. zespół prof. Kamela Khalilego z Uniwersytetu Temple w Filadelfii przeprowadził eksperyment, w którym udało się wyeliminować wirusa HIV z genomu w warunkach laboratoryjnych. Zdaniem naukowców, będzie można wyeliminować HIV także w organizmie ludzkim. Ale dopóki nie mamy takich leków, chorzy muszą brać tabletki lub zastrzyki do końca życia. I dbać o swoje zdrowie. ■

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 9d8a1fa481

Afisz

Jeśli nie potrafisz, nie pchaj się na afisz.

Nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych chce iść z duchem czasu, więc prezentuje się na Twitterze. I wykorzystuje to narzędzie do prowadzenia kroniki, odnotowując, gdzie był minister i co zrobił. Mogliśmy zatem się dowiedzieć, że 11 lipca „Min. Czaputowicz rozpoczął wizytę w Republice Mołdawii. Minister złożył wieniec pod tablicą upamiętniającą śp. Prezydenta Jarosława Kaczyńskiego". Hmm, Jarosław Kaczyński nie jest ani prezydentem, ani świętej pamięci. A komu jak komu, ale MSZ takie pomyłki nie przystoją.

Podobnie jak nie przystoją pomyłki innego rodzaju, kadrowe.

Oto bowiem byliśmy nie tak dawno świadkami wielkiej awantury związanej z odwoływaniem ambasadora RP w Japonii Jacka Izydorczyka.

Trzeba zaznaczyć, że to ambasador „dobrej zmiany". Profesor prawa z Łodzi, czyli z miasta Witolda Waszczykowskiego. Izydorczyk przedstawiany był posłom w styczniu 2017 r. przez ówczesną wiceminister Renatę Szczęch. Zachwalała go wówczas tak: „W latach 2005-2007 przebywał na stypendium na Uniwersytecie Kiusiu. W czasie pobytu na stypendium odbył także intensywny, sześciomiesięczny kurs języka japońskiego, co pozwala mu się komunikować w tym języku. Oprócz tego warto również wspomnieć, że pan profesor czynnie uprawia kendo, czyli japońską szermierkę, co poświadcza jego zrozumienie zwyczajów i mentalności Japończyków".

Przypominamy – wiceminister mówiła nie o pilocie wycieczek, ale o kandydacie na ambasadora.

Dodajmy też, że w Polsce jest zarejestrowanych ok. 450 zawodników uprawiających kendo. Okazuje się, że są to wybitni znawcy japońskich zwyczajów i mentalności. Ta umiejętność, podobnie jak stypendium sprzed 10 lat, pozwala czuć się ekspertem w sprawach Japonii i jej polityki.

Z perspektywy ponad dwóch lat słowa pani wiceminister możemy rozumieć też inaczej – po prostu niczego innego o przyszłym ambasadorze nie można było powiedzieć.

Życie dopisało ciąg dalszy tej historii. Wysłanie amatora na daleką placówkę nie skończyło się dobrze. Były awantury i donosy, dlatego w marcu do Tokio udał się dyrektor generalny MSZ Andrzej Papierz. Były oficer UOP (bo UOP nie ma), szara eminencja resortu, główny kadrowy, kolega Mariusza Kamińskiego. No i Papierz stanął przed dylematem. Bo Izydorczyk był lojalnym ambasadorem „dobrej zmiany". Sprawdzał życiorysy zastanych na placówce pracowników, a nowych zatrudniał tylko po linii politycznej lojalności. A przy każdej okazji atakował opozycję.

Ale zarzuty (a może osoba, z którą zadarł) były mocniejsze. Papierz wrócił więc do Warszawy, a parę tygodni później, w czerwcu, do Tokio powędrował kwit odwołujący Izydorczyka z funkcji ambasadora.

Ten jeszcze próbował się bronić. Pisał do Warszawy listy. „Za całą akcją dyskredytacji mojej osoby stoi A. Papierz oraz grono jego najbliższych znajomych, oraz podległych mu urzędników – tłumaczył. – Miało to na celu, po pierwsze: usunięcie z MSZ mnie jako osoby nowej w tej instytucji; po wtóre: zwolnienie miejsca na stanowisku ambasadora RP w Japonii".

Ale wołanie pozostało bez echa.

Tak oto zakończyła się przed czasem przygoda profesora prawa z Łodzi. A Andrzej Papierz pokazał swoją siłę. Natomiast „dobra zmiana" po raz kolejny dowiodła, jak pięknie rozwiązuje problemy, które sama stwarza.

Attaché

Bezkrwawa korrida w Denii w hiszpańskiej prowincji Alicante. Uczestnicy gonitwy Bous a la Mar (Byki do Morza) usiłują zapędzić zwierzęta nad zatokę i wepchnąć do wody. Często bywa na odwrót.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 9d8a1fa481

JOLKA

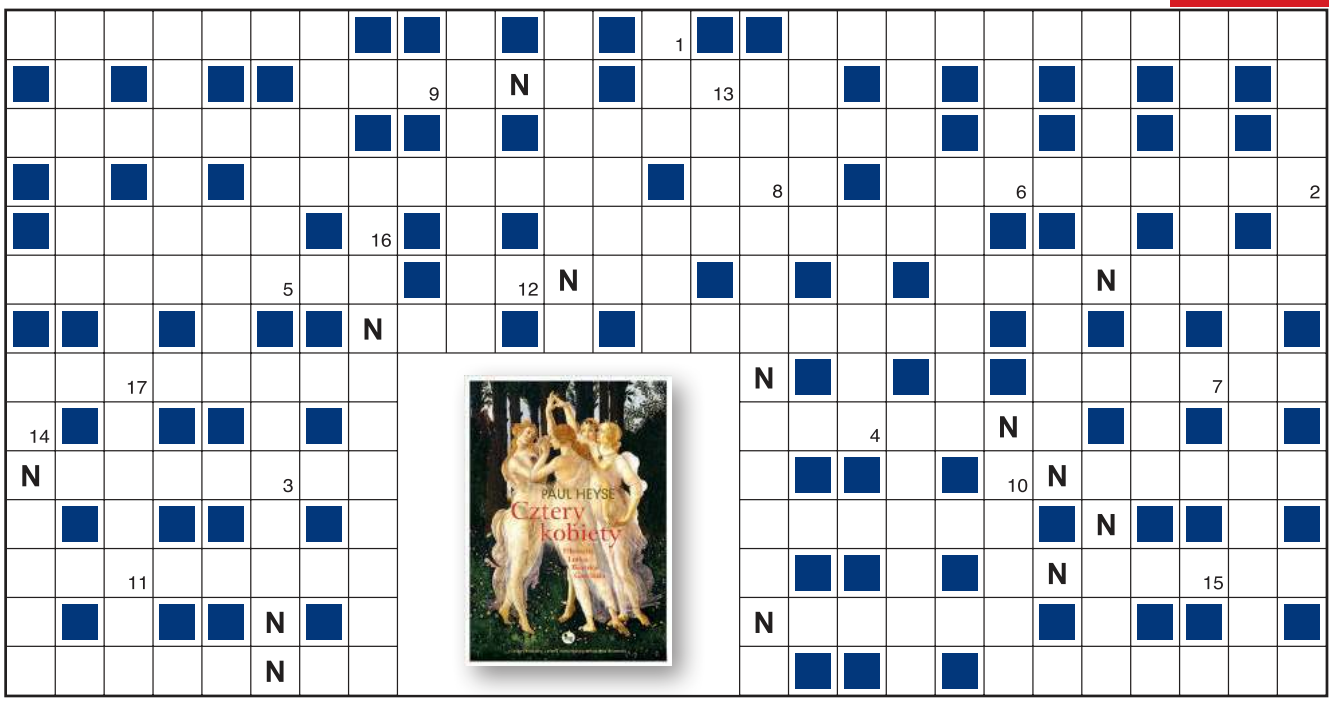

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- imię 16. prezydenta USA
- reżyserzy Laco i Katarzyna
- krewny po mieczu z łaciny
- wtór instrumentalny
- wąska wstążka na szyję
- aktorka i pani premierowa
- gdy z różkami, to urwis
- głośna oznaka uznania
- w nich ofensywa niemiecka na przełomie 1944 i 1945 r.
- jego przebojem „Wonderful life"
- wydzielona część w stajni, szatni
- robi się na nie kobieta
- nieobecność lub niedociągnięcie
- wstrzemięźliwość płciowa, bezżenność
- Janek Kos, Gustlik albo Czereśniak
- suchy – z wodoszczelnymi wrotami
- i odległość, i rezerwa
- sąsiad Kolumbii i Peru
- jego dyrektorem był J. Edgar Hoover
- stan USA z Boise i Nampą
- układanie kwiatów w Kraju Kwitnącej Wiśni
- gulgoczący samiec
- znane jest krawcowej i karciarzowi
- rodacy jak cięcie
- zdrowia lub czekowa
- szybuje na trójkątnym skrzydle
- zwykle ma się je pod pachami
- do rozdrabniania, mieszania i ubijania
- niejadalny kapuśniaczek
- gdy grono siada i gada
- brudas, fleja
- długa sieć rybacka
- ma łeb i zakuwkę
- odróżnia krzesło od taboretu
- przełożony klasztoru cystersów
- i areszt, i skrzynia
- próba dla silnej woli
- dużo słabsza od blasku
- chleb niedwukrotny?
- tam statki czekają na wejście do portu
- aktywny wypoczynek na świeżym powietrzu
- dywersant
- poobiedni sen
- właściwe harpagonowi
- duża kromka, pajda
- przez przeszkody i do wody
- żar i duchota
- sygnalizuje, że ryba bierze
- toastowa liczba
- potrzebny był do snopowiązałek
- polskie miasto z gazoportem
- stolica Estonii
- np. na fortepian, skrzypce i wiolonczelę
- kłąb lub głąb
- konsekwencja obżarstwa
- octowa do marynat
- język środowiskowy

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-917". Do rozlosowania książki „Cztery kobiety" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 lipca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-914" z 30 czerwca: *Kaprys rządzi światem.*
Nagrody otrzymują: Andrzej Grochowski z Warszawy, Ewa Klajsek z Cieszyna, Wojciech Kulig z Bielska-Białej.

eprasa.pl 9d8a1fa481

PENETRACJE

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ, REDAKTOR NACZELNY

Wielka fala strajków lat 1991-1993, choć pozbawiona politycznego wsparcia i koordynacji, była na tyle silna, że wysadziła z siodła dwa rządy postsolidarnościowe, wynosząc do władzy postkomunistów z SLD. Ale waga tego ruchu jest większa. Dzięki masowym protestom polski kapitalizm nie poszedł w stronę oligarchii w stylu rosyjskim czy latynoamerykańskim, a przecież opcja taka była realna. Ostrzegał przed nią np. Karol Modzelewski.

PIOTR KUCZYŃSKI, EKONOMISTA

Ogólnie rzecz biorąc, PiS zdecydowanie ma szczęście. Trafiło w doskonały moment gospodarczy. W latach 2016-2018 koniunktura globalna znalazła się na szczycie w porównaniu z kryzysem po 2008 r. Polityka rządu wstrzykiwania kolejnych sum pieniędzy podkręca gospodarkę. Tylko że tego typu transfery to nic innego jak palenie ogniska słomą. Owszem, można z tego wygenerować bardzo duży ogień, ale długo się go nie utrzyma. Żeby móc utrzymać go przez dłuższy czas, trzeba rozkręcać inwestycje. Byłem, jestem i będę przeciwny tego typu transferom socjalnym, które proponuje rząd. Te pieniądze powinny zostać wstrzyknięte w edukację i służbę zdrowia. To byłaby prawdziwa inwestycja społeczna, ona w dłuższej perspektywie potężnie by zaprocentowała.

HENRYK MARTENKA, KOMENTATOR

Czy rządzący mają problem z głową, czy tylko z oczami? Andrzej Zybertowicz, ciągle uchodzący za doradcę prezydenta Dudy, twierdzi: „Grupa Wyszehradzka pokazała, że nie na wszystko mogą sobie pozwolić giganci Unii". Rzeczywiście? Co widzi Zybertowicz, skoro my dostrzegamy co innego? Głowa, oczy, kompetencje… To megaproblem polskich władz. „Szczyt pokazał – brawurowo wywiódł rzecznik prezydenta Spychalski – że potrafimy budować różnego rodzaju sojusze". Jego zdaniem Polska otrzyma nie jedną tekę unijnego komisarza, ale dwie, co dowodzi, że rzecznik ma problem z głową, oczami i kompetencjami.

MIROSŁAW BAKA, AKTOR

Przy okazji sesji zdjęciowych do czasopism większość fotografów prosi, żebym się uśmiechnął. Bo to rozświetla twarz, no i w ogóle… Sympatyczniej jest. Ale ja mam taką facjatę, która chyba lepiej odnajduje się w powadze niż w radości. Nie jestem ponurakiem. Jednak bliżej mi do takiego Mirosława Baki, który o czymś sobie rozmyśla, zatopiony jest we wspomnieniach, uśmiecha się do nich, ale delikatnie – jest uśmiechnięty w głębi duszy. I uspokojony.

Radość na różne sposoby. Reakcje Amerykanki Sereny Williams i Czeszki Barbory Strýcovej po zwycięskich ćwierćfinałowych pojedynkach wielkoszlemowego turnieju Wimbledon 2019.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

ALEKSANDER SMOLAR O GRZEGORZU SCHETYNIE

Otoczył się starymi kolegami, których codziennie widać w telewizji i którzy nie mają nic do powiedzenia, a jedynie zanudzają.

PROF. JAN DUDA O SYNU ANDRZEJU

Bywa, że lubi się zdenerwować, trzasnąć drzwiami, powiedzieć brzydkie słowo.

TOMASZ RACZEK O BRACIACH KACZYŃSKICH

Chodzili do mojego liceum na Żoliborzu, ale go nie ukończyli, bo jeden z nich nie otrzymał promocji do klasy maturalnej z języka polskiego.

MARIOLA BOJARSKA-FERENC O MĘŻU

Jest z Poznania. On jest tak perfekcyjny, że każda perfekcyjna pani domu przy nim wysiada.

ADAM ZAGAJEWSKI O TVP

To jest medium, z którego codziennie wylewa się pogarda, w którym obowiązuje brak elementarnego szacunku do prawdy.

KRYSTYNA JANDA O EMERYTURZE

Jestem za dobrą aktorką, żeby nie grać. Jestem w formie. Umiem zagrać tak, że widza to dotyka.

BARTEK KASPRZYKOWSKI O ŻONIE TAMARZE ARCIUCH

Wydobyła ze mnie siłę, odwagę, opiekuńczość. Wcześniej byłem zajęty sobą.

MAGDALENA SCHEJBAL O POWROTACH DO DOMU

Najpierw natykam się na zadowolone, najedzone i zadbane dzieci, potem na Sławka oglądającego mecz znad deski do prasowania.

GABRIELA MUSKAŁA O POPULARNOŚCI

Z ludźmi wolę rozmawiać, niż rozdawać autografy.

ANDRZEJ GRABOWSKI O WADZE

Osiągnąłem wagę 140 kilo, ale ubyło mnie ponad 40. Teraz nie czuję, że mam dwa sztuczne biodra.

MICHALINA OLSZAŃSKA-ROZBICKA O SOBIE

Nigdy nie potrafiłam być miła. Jak uwielbiam, to całym serduchem. Ale jak mi ktoś nadepnie na ogon, to użrę.

eprasa.pl 9d8a1fa481

Reklama à rebours

Linie lotnicze KLM zaapelowały do potencjalnych klientów, aby jeśli to tylko możliwe, rezygnowali z podróży samolotami. W ramach kampanii Lataj Odpowiedzialnie narodowy przewoźnik Holandii zachęca m.in. do częstszego zadawania sobie pytania, czy dana sprawa wymaga spotkania „twarzą w twarz", a jeśli tak, to czy nie lepiej pojechać koleją, czyli środkiem transportu bez porównania bardziej przyjaznym dla klimatu. Szanujemy tę postawę, która ma w sobie coś z podcinania gałęzi, z której kala się własne gniazdo. Czy jakoś tak.

Głośniki zamiast sprayu

Szwedzka sieć farmaceutyczna Apotek Hjärtat stworzyła składankę nowych wersji tradycyjnych piosenek dla dzieci. Dzięki specjalnej mieszance wysokich i niskich częstotliwości ma ona podobno odstraszać komary. Playlista Smashing Mosquito Summer Edition 2019 jest dostępna m.in. na platformach Spotify i YouTube.

Kto pyta, ten siedzi

33-letni mieszkaniec Włocławka zgłosił się na posterunek w Piotrkowie Kujawskim i poprosił o sprawdzenie, czy jest poszukiwany. Policjant wylegitymował go, a następnie wklepał jego personalia do policyjnej bazy danych. Okazało się, że mężczyzna ma do odsiadki trzy lata za udział w bójce, w związku z czym prosto z posterunku trafił do zakładu karnego. A podobno nie ma głupich pytań...

Bycie trendy to ostatni etap przed byciem tandetnym – tak mawiał Karl Lagerfeld. Kreacje wiosna-lato 2020 na pokazie Mercedes-Benz Fashion Week w Madrycie.

Porządek panuje w Jinan

Władze miasta Jinan we wschodnich Chinach zakazały tamtejszym mężczyznom noszenia tzw. pekińskiego bikini, czyli podwijania koszulek powyżej brzucha. Ich zdaniem taki sposób radzenia sobie z upałem, bazujący na zaleceniach tradycyjnej chińskiej medycyny, jest niecywilizowany, razi uczucia estetyczne części mieszkańców i szkodzi wizerunkowi metropolii. Miasto zakazało także m.in. publicznych kłótni oraz wpychania się bez kolejki.

Nie mamy pańskiego paszportu i co pan nam zrobi?

Obywatelom Zimbabwe, którzy ubiegają się o paszport, urzędnicy zalecają, by zgłosili się ponownie w 2021 r. Na rozpatrzenie czeka obecnie ponad 300 tys. wniosków paszportowych, a każdego dnia wydawanych jest dosłownie kilka dokumentów, głównie dyplomatom. Pozostali mieszkańcy mogą je otrzymać tylko w „specjalnych przypadkach", za zgodą szefa MSW. Problem paszportowy wynika z deficytu dewiz w kraju pogrążonym w kryzysie, z powodu którego nie jest on w stanie importować specjalnego atramentu, papieru i innych materiałów niezbędnych do drukowania paszportów.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 9d8a1fa481

Bitcoiny albo five o'clock – wybór należy do ciebie

Naukowcy z Uniwersytetu w Cambridge alarmują, że wytwarzanie bitcoinów pochłania ok. 0,3% światowej konsumpcji energii, czyli tyle, ile zużywa Szwajcaria. Na stronie projektu Cambridge Bitcoin Electricity Consumption Index prezentują oni aktualizowane na bieżąco szacunki zużycia prądu przez infrastrukturę informatyczną obsługującą tę najpopularniejszą kryptowalutę. Badacze podkreślają, że energia pożerana przez bitcoiny każdego roku wystarczyłaby Brytyjczykom na 11 lat gotowania wody na herbatę.

Piłka jest okrągła, a Ziemia... nie

Hiszpański klub piłkarski Móstoles Balompié po awansie do IV ligi zmienił nazwę na Flat Earth FC, czyli Płaska Ziemia. – Naszą misją jest zjednoczenie głosów milionów zwolenników teorii płaskiej Ziemi i głosów ludzi szukających odpowiedzi na ważne pytania – ogłosił prezes klubu, a jednocześnie jego piłkarz, Javi Poves. Nasza rada dla pana prezesa: rzadziej uderzać piłkę głową.

Piłeś? Nie jedz

34-letni Australijczyk, ojciec trzech córek, dał się namówić podczas zakrapianego przyjęcia na zjedzenie gekona. Już nazajutrz zaczął się uskarżać na ból brzucha, a dwa dni po imprezie jego rodzina zdecydowała się wezwać pogotowie. Dziesięć dni po feralnym posiłku mężczyzna zmarł z powodu niewydolności organów, prawdopodobnie będącej efektem zatrucia bakteriami salmonelli obecnymi w jelitach gekona.

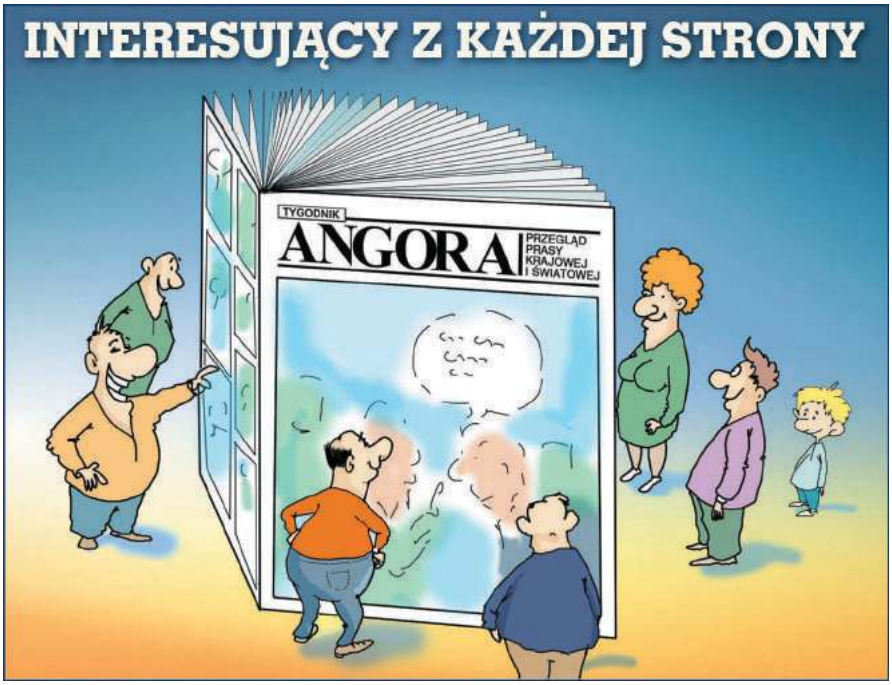

FOT. MEM NEWS.PL, FB.COM/SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), AFP/EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Natalia Czarnecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTYBUCJI PRASY

eprasa.pl 9d8a1fa481

Chelsea Culprit, Cheeseburger w raju

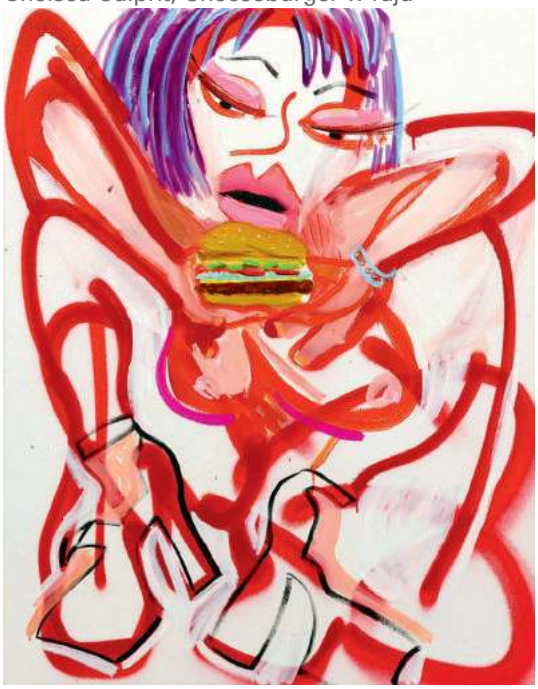

Farba znaczy krew

Jenna Gribbon, Obserwując mnie jak pływam

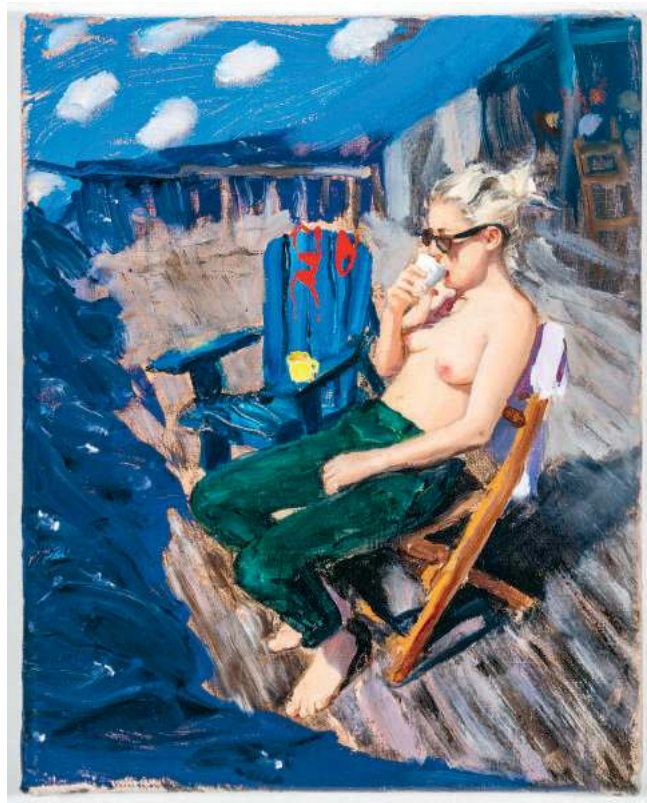

To pierwsza tak obszerna międzynarodowa wystawa malarstwa poświęcona twórczości kobiet, które przewartościowują stereotypy na temat uległości i dominacji. Współczesne malarki coraz częściej tworzą obrazy prywatne i oparte na introspekcji, nasycone niepokojącą seksualnością, niekiedy obsceniczne, zuchwałe, a jednocześnie niepozbawione humoru czy efektów groteskowych. Nie jest to jednak malarstwo, które na siłę uprawia publicystykę czy poucza – raczej domaga się alternatywnych scenariuszy, a przede wszystkim swobodnej ekspresji.

Muzeum nad Wisłą
Warszawa,
Wybrzeże Kościuszkowskie 22
do 11 sierpnia

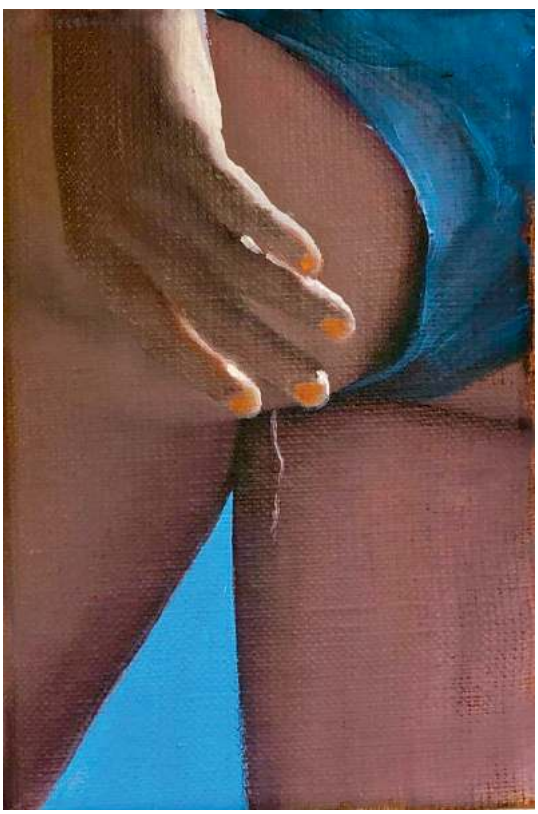

Jenna Gribbon, Autoportret jako voyeurka

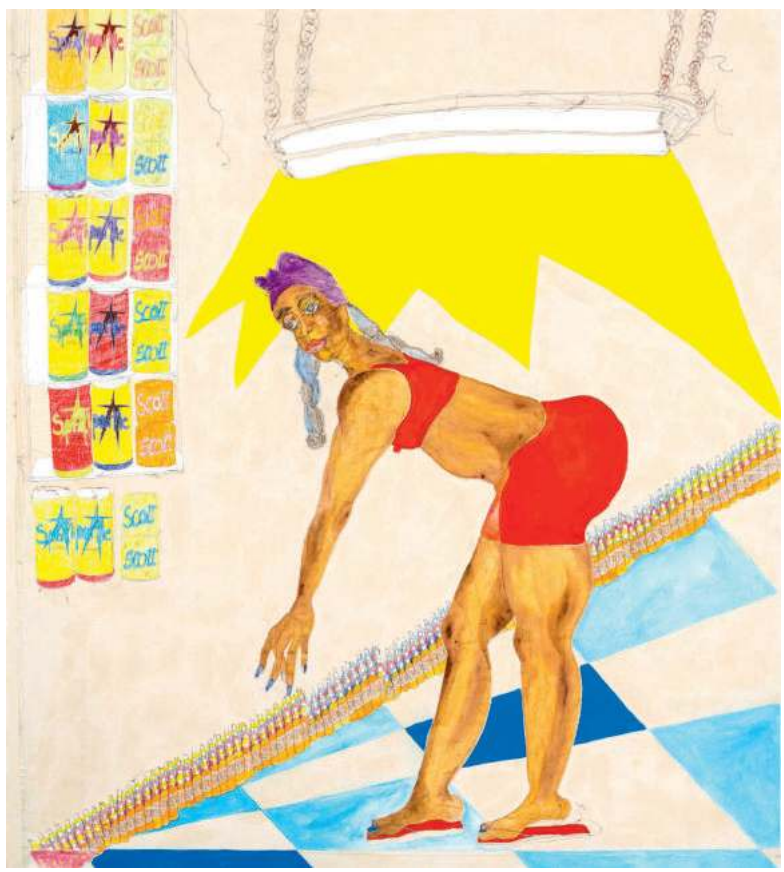

Tschabalala Self, Pop

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9d8a1fa481

BRUNO GANZ
JAKO ZYGMUNT FREUD
AUSTRIACKIE NAGRODY FILMOWE
4 NOMINACJE
AKTORKA DRUGOPLANOWA
AKTOR DRUGOPLANOWY
KOSTIUMY, MUZYKA
TABAK
TABAK
TABAK-TRAFIK
Zigarren
Zigaretten
Rauchrequisiten
Zeitungs
Verschleiss
Ansichtskarten
ADAPTACJA BESTSELLEROWEJ POWIEŚCI
ROBERTA SEETHALERA
TRAFIKANT
REŻYSERIA NIKOLAUS LEYTNER
W KINACH OD 19 LIPCA
Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"
AURORA

PROBLEMY DOROSŁYCH TO CIĘŻAR DLA DZIECI.

Razem możemy to zmienić.

SOS Wioski Dziecięce to **opieka zastępcza** oraz **działania profilaktyczne** w ramach **Programu SOS Rodzinie**.

Dowiedz się więcej na: **www.wioskisos.org**

Partner kampanii: onet

Patronat medialny: TVP 2

eprasa.pl 9d8a1fa481